CEZARY ŁAZAREWICZ

NIC OSOBISTEGO

SPRAWA JANUSZA WALUSIA



CEZARY
ŁAZAREWICZ

NIC OSOBISTEGO

SPRAWA JANUSZA WALUSIA

post FACTUM

Nic osobistego.
Sprawa Janusza Walusia

Projekt graficzny okładki: Tomasz Majewski
Zdjęcia na okładce: © Oryx Media Archive / Gallo Images / Contributor
Zdjęcie autora: © Adam Tuchliński
Autor map: Zbigniew Gręziak

Redakcja: Grażyna Lubińska
Korekta: Grzegorz Krzymianowski, Iwona Wyrwisz , Edyta Malinowska-Klimiuk

ISBN: 978-83-8110-980-2

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2019

Konwersja: eLitera s.c.

MOTTO:

Światu grożą trzy plagi, trzy zarazy.

Pierwsza – to plaga nacjonalizmu.

Druga – to plaga rasizmu.

Trzecia – to plaga religijnego fundamentalizmu.

Te trzy plagi mają tę samą cechę, wspólny mianownik – jest nim agresywna, wszechwładna, totalna irracjonalność.

Do umysłu porażonego jedną z tych plag nie sposób dotrzeć. W takiej głowie pali się święty stos, który tylko czeka na ofiary. Wszelka próba spokojnej rozmowy będzie mijać się z celem. Nie o rozmowę mu chodzi, tylko o deklaracje. Żebyś mu przytaknął, przyznał rację, podpisał akces. Inaczej w jego oczach nie masz znaczenia, nie istniejesz, ponieważ liczysz się tylko jako narzędzie, jako instrument, jako oręż. Nie ma ludzi – jest sprawa.

Ryszard Kapuściński (*Imperium*)

Początek

Czy zabić może tylko psychopata, świr, prymityw, zwyrodnialec, szaleniec czy potwór? Nic z tych rzeczy. Janusz Waluś jest sympatycznym i otwartym człowiekiem, a rozmowa z nim to przyjemność. Jak ja lubi historię, jest oczytany i rzuca co jakiś czas cytatami z literatury. Ma dystans do siebie i autoironiczne poczucie humoru, gdy opowiada mi więzienne anegdotki ze swego życia. Typ kumpla, z którym już po krótkiej rozmowie czuję się tak, jakbyśmy znali się całe życie.

Podobnie czuła się Lindiwe Hani, gdy z zażenowaniem i lekkim wstydem odkryła, że w pewien sposób polubiła tego strasznego człowieka, który zamordował jej ojca.

Jak więc taki sympatyczny człowiek mógł z zimną krwią pozbawić życia męża i ojca trzech córek, tylko dlatego, że się z nim politycznie nie zgadzał? Przez dziesiątki przegadanych z nim godzin próbowałem odkryć tę tajemnicę. Dlaczego człowiek, który sam kocha życie, jedzie z pistoletem na osiedle Dawn Park w Boksburgu, by odebrać życie komuś, kogo w ogóle nie zna?

Niech nas nie zmyli, że rzecz się dzieje dziesięć tysięcy kilometrów stąd, na innej półkuli, w egzotycznym świecie. To też opowieść o współczesnej Polsce, o tym, jak dzieli się ludzi i wykorzystuje ich łatwowierność. O tym, że łatwo rozbudzić gniew i nienawiść, a trudniej nad nimi zapanować.

Cezary Łazarewicz

Jest jak w dworcowej poczekalni przy zmianie turnusu. Chaos, tłum, nerwy.

Twarde drewniane ławki i oblegane biurko spoconego zawiadowcy w oliwkowym mundurze. Należy podejść do niego, powiedzieć „dzień dobry" i „jak się masz", pokazać paszport, podać numer skazanego i stopień pokrewieństwa. Piszę „kuzyn", bo tak się umówiliśmy, by nie robić dodatkowych kłopotów ani mnie, ani jemu.

Trzeba czekać. Jedni krążą, inni podpierają ściany, ja siadam w pierwszym rzędzie i uważnie się wsłuchuję, bo wywołują z nazwiska. Wtedy należy podejść do oliwkowego munduru, odebrać ostemplowaną przez biuro cenzora przepustkę i trzymając ją w dłoni, przecisnąć się przez obrotowe stalowe drzwi, które kręcą się tylko w jedną stronę. Po ich przejściu nie ma powrotu.

Z niewielkiego pokoiku, do którego wchodzę, jest tylko jedno wyjście.

Trzeba opróżnić kieszenie i wejść za kotarę. Podnoszę ręce, a ten w oliwkowym mundurze sunie dłonią po moich biodrach, pośladkach, ramionach, piersiach, plecach, brzuchu. Sprawdza każdą kieszeń, fałdkę, zgrubienie i zagniecenie. Nie można wnosić telefonów, dyktafonów, jedzenia, kwiatów (lista zakazanych przedmiotów wisi na tablicy przed wejściem).

Ja mam tylko kolorowe zdjęcie wnuczki Marysi i odręcznie napisany list od córki. To nie budzi wątpliwości, więc mogę przejść dalej, na zewnątrz, do zaparkowanego za bramą autobusu. Gdy zapełni się dziewczętami z koralikami we włosach i kobietami w kolorowych chustach, ruszamy asfaltową drogą przed siebie. Zza szyby cały kompleks wygląda jak wielki zamknięty ośrodek sportowy z kortami, boiskami piłkarskimi i do koszykówki. Jest nawet basen z turkusową wodą. Tylko nigdzie nie widać ludzi. Są za to płoty, mury, kraty, kamery, szlabany i druty kolczaste.

Po prawej szare blokowisko, po lewej parterowe baraki i domki z niewielkim ogródkiem. Na wprost coś, co przypomina otoczony murem

średniowieczny angielski zamek z dwiema kamiennymi basztami. Nie ma zwodzonego mostu, ale jest masywna drewniana brama zamykana na klucz. To najstarsza część kompleksu, wybudowana pod koniec XIX wieku, zaraz po powstaniu miasta.

My jedziemy trochę dalej. Kierowca otwiera drzwi autobusu tuż za szlabanem. Zmierzamy do przyklejonego do zamku kremowego pawilonu, nad którego wejściem wisi tabliczka *Medium security C*.

Tam w uchylonych drzwiach stoi człowiek w mundurze, wyczytuje kolejne nazwiska:

– Polima Maslema.

– Lusi Kamudala.

– Mansyna Mugebi.

Wręczam mu podstemplowaną przepustkę i pod blaszanym dachem chowam się przed palącym lutowym słońcem.

Czekam.

Moja przepustka wędruje teraz na trzecie piętro do sekcji G4. Pod numer trzydzieści, gdzie czeka na mnie jeden z najbardziej znanych w tej części świata Polaków. Dwa miesiące temu rozmawiałem z nim krótko przez telefon. Obiecał opowiedzieć mi historię swojego życia.

Tam, na górze, każą mu się przygotować na spotkanie, a mnie, na dole, wywołują spod nagrzanego dachu.

Zapraszają znów za kotarę i znów każą wywracać kieszenie. Potem otwiera się przede mną krata. Za nią wielkie, brzęczące podwórko. Sześć rzędów drewnianych ławek wmurowanych w beton. Siedzą na nich kobiety w barwnych sukienkach, a naprzeciwko – mężczyźni w pomarańczowych uniformach. Nie wolno się dotykać, głaskać, przytulać, całować, przychodzić w odwiedziny w legginsach, minispódniczkach ani w prześwitującej bluzce. Wszystkie zakazy wypisane są zieloną farbą na otaczającym podwórko murze. Kto złamie regulamin, będzie natychmiast usunięty. Tego pilnują krążące między nami oliwkowe mundury.

Wszyscy pomarańczowi wchodzą na podwórko przez niewielkie drzwiczki w murze po lewej. Podchodzą do drewnianego masywnego biurka, meldując się przed bujającym się na krześle mundurowym. Ten wręcza im kartonik z numerkiem i włącza stoper.

Od tej chwili mają, w zależności od przyznanej kategorii, od trzydziestu do sześćdziesięciu minut na rozmowę z gościem. Numer 3616101, na który wciąż czekam, jest w najbardziej uprzywilejowanej kategorii „A", bo jest karny i zdyscyplinowany. Można go odwiedzać w soboty, niedziele i święta narodowe od ósmej do czternastej. Czterdzieści pięć razy w roku, nie więcej niż pięć razy w miesiącu, nie dłużej niż sześćdziesiąt minut na jeden raz.

Mnie obiecał poświęcić dziesiątą część rocznego przydziału, by opowiedzieć, jak tu trafił.

Ma sześćdziesiąt sześć lat. Biały, szczupły, wysportowany, przyprószony siwizną. „Wzrost: 183 cm, włosy: ciemny blond, oczy: niebieskie" – napisał trzydzieści osiem lat temu w podaniu o paszport.

W Polsce nazywają go ostatnim żołnierzem wyklętym albo rasistowskim zbrodniarzem.

Zacina się trochę i ma kłopot z artykulacją głoski „r".

Każe mówić do siebie „Kuba", choć w paszporcie ma zapisane „Janusz".

CZĘŚĆ 1

Pretoria. Kgosi Mampuru II

Jest sobota, 4 lutego 2018 roku.

W centralnym więzieniu Kgosi Mampuru II Janusz spędził dwieście dziewięćdziesiąt osiem miesięcy; dziewięć tysięcy sześćdziesiąt sześć dni; dwieście siedemnaście tysięcy pięćset osiemdziesiąt cztery godziny. I nikt nie wie, jak jeszcze długo.

To nasze pierwsze spotkanie. Siadam naprzeciwko Janusza Walusia i słucham.



Brama wjazdowa do centralnego więzienia Kgosi Mampuru II w Pretorii.
Fot. Cezary Łazarewicz

***

Miałem wtedy czterdzieści lat. Od dwunastu mieszkam w Republice Południowej Afryki, od pięciu jestem jej obywatelem. Formalnie w Radomiu mam żonę, ale jakbyśmy byli po rozwodzie. Ja nie planuję powrotu, Wanda – przyjazdu do mnie. Brakuje mi naszej córki Ewy, ale wiem, że jest za wcześnie, żeby próbować ją tu

sprowadzić. W Polsce otrzyma o wiele lepsze wykształcenie, a ponadto sytuacja tutaj robi się niepewna.

Od dziesięciu lat mam dziewczynę, Afrykanerkę, Mariję. Mieszkamy osobno, ale spotykamy się w weekendy. Ja mieszkam w Pretorii, a ona koło Rustenburga. Raz ja jadę do niej, raz ona do mnie.

Czasem zabieram ją w podróż, bo jako kierowca TIR-a jeżdżę w długie trasy do Zimbabwe i do Botswany. Ale najwięcej jeżdżę po kraju, więc widzę, jak tu się wszystko zmienia na gorsze. Na moich oczach kraj się pogrąża. Rozpada się stary porządek. Nie ma już wątpliwości, w jakim kierunku to zmierza, że coś trzeba zrobić, żeby to powstrzymać. Tylko nikt nie ma pomysłu – z wyjątkiem Clive'a, bo to łebski facet.

Mieszka w Krugersdorpie. Zaprosił mnie wtedy na kolację, a po niej poszliśmy do jego gabinetu. Mówił to, co sam już wiedziałem. Że nie może się temu bezczynnie przyglądać, że trzeba to jakoś powstrzymać i że nie wszystko jeszcze stracone. Bo albo my ich, albo oni nas. Partia musi podjąć zdecydowane działania – mówił.

Ale tylko on miał pomysł. „Trzeba zmobilizować i zjednoczyć ludzi, i przygotować ich na wojnę" – powiedział.

Ja miałem jedynie uruchomić mechanizm, by zmobilizować ludzi. „Czy mógłbyś to zrobić?" – tak, chyba, o to zapytał.

***

We wrześniu 1992 roku pojechałem do Polski. Byłem tam pierwszy raz po jedenastu latach. Zupełnie inny kraj. W sklepach wszystkiego pełno – świeże pieczywo, czekolada, dobre wędliny. W najmniejszym kiosku w naszej wsi możesz sobie piwo żywieckie kupić. Trudno było uwierzyć w taką przemianę. I ludzie też jacyś inni, milsi, wszyscy uprzejmi dla siebie. Bardzo mi się te zmiany podobały.

Tylko nadal wszędzie te straszne, ponure i szare blokowiska, te same dziurawe, źle oznakowane drogi, ten sam cień komunizmu wiszący nad Polską. Nie mogło się to równać z kolorową Południową Afryką. To tak, jakbyś pojechał do Botswany. Niby wszystko to samo, ale jakieś bledsze, brudniejsze, smutniejsze.

Nie czułem z Polską już związku. Przeciwnie, ciągnęło mnie do domu, do Afryki. A tu trwała regularna wojna.

W Polsce „Solidarność" mogła pozwolić sobie na pokojową walkę, ale tu nie wchodziło to w grę. Tu była przemoc na każdym kroku. Terroryści z ANC[1] *podkładali bomby na ulicach i w sklepach.*

Ginęli bezbronni ludzie – biali i czarni. A liberalny rząd de Klerka, zamiast atakować ich bazy w Mozambiku, zaczyna się z nimi dogadywać. Gorzej! Chce im przekazać władzę. Ja już wtedy czuję się częścią tego wspaniałego, zdeterminowanego narodu Afrykanerów [potomków holenderskich kolonistów w Południowej Afryce] *i tej walki, którą od prawie dwustu lat oni tu toczą, by istnieć. To jest moja ojczyzna z wyboru.*

***

Więc gdy Clive zapytał, czy zrobię to, nawet się długo nie zastanawiałem. Od razu wyraziłem gotowość do wykonania zadania. Nie trzeba mnie było do niczego namawiać. Wiem, że w życiu trzeba zdecydowania.

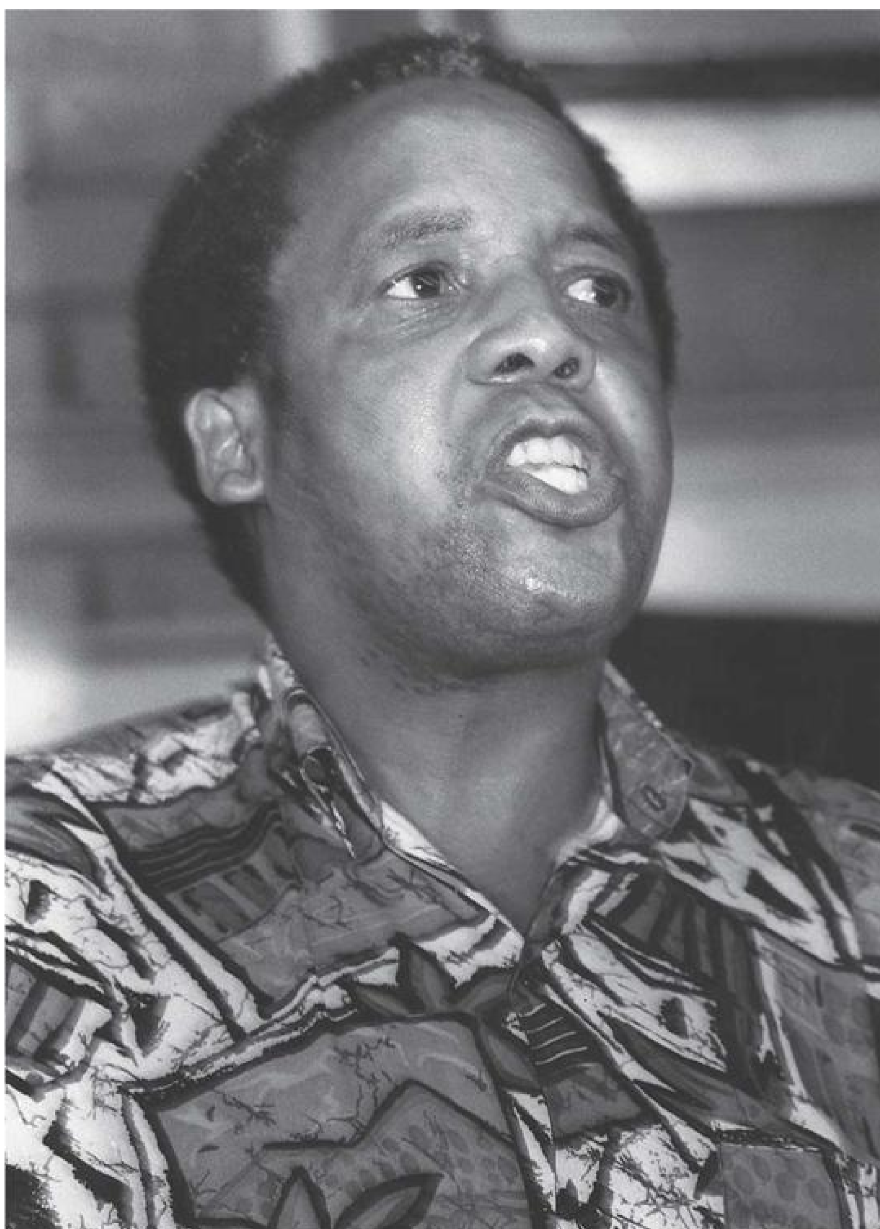
Nie dopytuję o szczegóły, bo rozumiem, że to jest konspiracja. Wiem, że partia nie może wystawić mi zlecenia, ale domyślam się, że powstała tam jakaś tajna grupa, w której Clive jest jednym z najważniejszych liderów. Dobrze znam Clive'a i ufam mu. Mnie to wystarcza.

Wtedy on przyniósł kartki z nazwiskami tych, którzy najbardziej szkodzą. Był tam Mac Maharaj, Pik Botha, Richard Goldstone. Nie wszystkich znałem. Zaczęliśmy ich wtedy grupować pod względem wrogości do naszej partii. Clive podawał numery, a ja wpisywałem je przy odpowiednich nazwiskach na kartce. Numer jeden to był Mandela, numer dwa – komunista, Joe Slovo.

„Skupmy się na numerze trzy" – powiedział.

Trzy, to Chris Hani. Został wybrany ze względu na wysokie stanowisko i największą szkodliwość. Był terrorystą. Dowodził terrorystyczną armią – Umkhonto we Sizwe. Kolor skóry raczej nie miał tu znaczenia. Znaczenie miały jego komunistyczne poglądy i aktywność terrorystyczna.

Bo ja nie mam do czarnych jakichś uprzedzeń. Trzeba traktować ich z szacunkiem, widzieć ich takimi, jacy są. Ale historia dowodzi, że ich rządy się nie sprawdzają.



Chris Hani. Copyright: Media24

Między styczniem a kwietniem [1993] *spotykamy się z Clive'em kilka, może kilkanaście razy. Omawiamy techniczne szczegóły – jak najlepiej to zrobić?*

Brzydzę się terroryzmem. Od razu mówię, że mnie podkładanie bomb w ogóle nie interesuje. Bomba jest ślepa i nie wybiera ofiar. Przy najlepszym nawet planowaniu przeważnie giną postronne osoby. Z krótką bronią natomiast czuję się całkiem kompetentny. Clive ma dostarczyć nierejestrowaną broń, a ja w tym czasie staram się jak najwięcej o Hanim dowiedzieć. Ile ma lat? [51]. *Gdzie się urodził?* [Wieś Sabalele w rejonie Cofimvaba na południe od Pretorii]. *Gdzie kończył szkołę?*

[University of Fort Hare w Ciskei, rok ukończenia 1962]. *Gdzie był szkolony?* [Związek Radziecki, NRD, Zambia]. *Gdzie walczył?* [Angola i Rodezja].

Wiem, jak wygląda, bo jego zdjęcia są ciągle w gazetach. Jest najważniejszy, zaraz po Mandeli. Tylko bardziej od niego radykalny. Dobrze wyszkolony wojskowo, więc wiem, że to nie będzie łatwe.

Tylko na filmach wszystko jest podane na tacy – broń, samochody, kryjówki, dokumenty. Ja tego wszystkiego nie miałem. Brak funduszy i czasu. Od rana do wieczora pracuję, jeżdżę na ciężarówce, a po pracy, wieczorem, przygotowuję misję.

[6 kwietnia 1993] *Clive zaprosił mnie znów do siebie do Acacia Park. Przy śniadaniu rozmawiamy na tematy ogólne, potem idziemy do gabinetu. Zamknął drzwi i z żółtej torby wyciąga pudełko. W środku był nowy pistolet.*

Na końcu lufy gwint, na który nakręcało się tłumik. Dał mi ten pistolet z tłumikiem i trzy specjalne do niego naboje.

[Samopowtarzalny pistolet Vektor Z88, kaliber 9 mm, wyprodukowany w RPA, o numerze seryjnym P6-101368 oraz dorabiany tłumik kaliber 9 mm].

Nie wyznaczał konkretnego planu.

„Byłoby dobrze zakończyć sprawę jeszcze przed Wielkanocą" – powiedział.

***

Wynajmowałem wtedy mieszkanie na Muckleneuk, blisko uniwersytetu w Pretorii. [105 Milewanda Flats, Bourke Street, Muckleneuk w Pretorii].

Dzielnica cicha i biała. Bo jeszcze wtedy wszystko jest tu białe.

Mieszkanie małe, ale ładne. To w zasadzie jeden duży pokój, ale dobrze zaprojektowany – fajna łazienka, kuchnia, sypialnia za przepierzeniem.

Mieszkam sam, ale teraz jest ze mną Marija. Mamy razem spędzić Wielkanoc. (Ona pracuje w ośrodku wypoczynkowym koło Rustenburga, jakieś sto kilometrów ode mnie).

Rano w Wielką Sobotę [10 kwietnia 1993] *mówię Mariji: jadę na trening, wrócę na jedenastą. Trenuję karate u Stana Schmidta w Johannesburgu. To bardzo znana szkoła karate. Jeśli mam tylko pieniądze i czas, jeżdżę tam w każdą sobotę.*

Do Johannesburga wyruszam moim służbowym fordem.

[Czerwony ford laser hatchback, o pojemności 1300 cm^3, numer rejestracyjny PBX 237 T].

Tak na wszelki wypadek biorę z sobą broń, którą dostałem od Clive'a.

Ten tłumik wiozę z sobą zupełnie niepotrzebnie. Sprawdziłem go na strzelnicy. Nie wykorzystam go, bo jest zupełnie bezużyteczny. Trzeba mieć do niego specjalne naboje [amunicja poddźwiękowa], *bo inaczej ci lufę rozerwie. I po każdym strzale musisz przeładować. Nie miałbym szans się bronić, gdyby zaczęli do mnie strzelać.*

Gdy dojeżdżam do Melrose na północy Johannesburga, szkoła karate jest już zamknięta. Przerwa świąteczna. I to jest ten przypadek, który o wszystkim decyduje.

Mam nagle trochę wolnego czasu, a niedaleko jest sklep z bronią [w aktach: Guns Exchange Shop przy Corlett Drive w Johannesburgu]. *Tam kupuję amunicję* [25 sztuk, kaliber 9 mm parabellum produkcji czechosłowackiej].

W samochodzie zakładam rękawiczki, ładuję pistolet i decyduję, że pojadę na rekonesans pod jego dom w Down Park koło Boksburga. To niedaleko stąd.

Trzymam się wiernie faktów, niczego nie upiększam.

***

Zwyczajne podmiejskie białe osiedle. Jeszcze bez szlabanów i ochroniarzy. Wtedy to nie było potrzebne. Przestępczość nie kwitła jak teraz, choć był to już czas absolutnego schyłku normalnej Południowej Afryki. Wciąż obowiązywał ich zakaz mieszania się z białymi. Oni mieli swoje osiedla, my swoje. Tylko że oni już tego zakazu nie przestrzegali.

Wąska osiedlowa uliczka, niska zabudowa, murek, betonowy podjazd. Wszystkie domki do siebie podobne. Dokładny adres miałem zapisany na kartce od Clive'a. Znajdziesz w aktach.

[Boksburg, ulica Hakea Crescent 2 na osiedlu Dawn Park na południowy wschód od Johannesburga. Hakea Crescent przypomina wielkie rondo, w środku którego wybudowano parterowe domki z ogrodami. Wjeżdża się tam osiedlową uliczką Deon wprost na garaż przy domu Haniego. Kostka na podjeździe pomalowana jest czerwoną farbą, jak ćwierć wieku temu. Po lewej od garażu wejście do niewielkiego domu krytego czerwoną dachówką. Wokół wysoki mur z cegły, w bramie solidna żelazna krata, której wtedy nie było.

A to wielkie drzewo przed domem, które rzuca teraz cień przed wejściem, na starych zdjęciach jest rachityczną roślinką.

Wygląda, jakby nikt tu nie mieszkał. Wokół domów żywego ducha, nie widać samochodów ani spacerujących po uliczkach ludzi. Biali wyprowadzili się stąd w latach dziewięćdziesiątych, a czarni nie chcieli tu mieszkać, spadły ceny domów i atrakcyjność osiedla.

Trzy lata temu dom przy Hakea Crescent 2 od prywatnych właścicieli odkupiło miasto. W ogrodzie miała być zbudowana biblioteka, w domu muzeum, a w pobliskim parku pomnik Chrisa Haniego. Ale nic się tu nie dzieje. Na chodniku leży sterta cegieł].



Dom Chrisa Haniego na osiedlu Dawn Park w Boksburgu. Fot. Cezary Łazarewicz

***

Mam kiepską orientację, więc najpierw badam teren. Chcę zobaczyć, jakich ma sąsiadów, gdzie parkuje samochód, znaleźć najlepsze drogi dojazdu i ucieczki. Dlatego byłem już tam wcześniej dwa, trzy razy. Kiedyś na podjeździe do garażu zobaczyłem zaparkowane czarne bmw. Spisałem numery, ale to nie był jego samochód. Przyjechał nim jakiś przedstawiciel wielkiej firmy budowlanej LTA. Już się im podlizywali i próbowali dogadać interesy, choć oni jeszcze nie mieli władzy.

Podczas zwiadu nigdy się nie zatrzymuję. Zawsze jestem w ruchu. Podjeżdżam wolno, jakbym szukał właściwego adresu, i obserwuję dom przez okno samochodu. Dawn Park to małe osiedle, wszyscy się tu znają i każdy obcy samochód budzi zainteresowanie, a ja nie mogę się rzucać w oczy.

Dla bezpieczeństwa za każdym razem ukrywam tablice rejestracyjne, naklejając na nie cyfry z samoprzylepnej folii. Tylko że wtedy akurat ich nie mam, bo sklep hardware, gdzie je zwykle sprzedają, był już zamknięty.

Gdy dojeżdżam pod dom, na podjeździe stoi srebrna corolla. Zatrzymuję się na moment, by zapisać numer rejestracyjny na kartce [w aktach: RGB 692T].

I w tym momencie pojawia się on.

[W aktach: ubrany w granatowy dres z czerwono-białym paskiem na piersi („Ten ulubiony, który wkłada, gdy idzie biegać" – napisze potem jego córka Lindiwe) i białe sportowe buty na grubej gumie].

Wychodzi z domu, podchodzi do zaparkowanej na podjeździe srebrnej toyoty, wsiada do środka.

Jest sam, bez żadnej obstawy. Gdyby miał obstawę, nie pozwoliliby mu chyba wyjść samemu z domu – myślę.

Obserwuję go z wnętrza swojego auta. Widzę, jak odpala samochód i rusza.

Taka okazja już się może nie zdarzyć – myślę i jadę za nim.

Żadnych wątpliwości już nie mam, bo wątpliwości możesz mieć do chwili podjęcia decyzji, a tu już wszystko jest postanowione. Nie ma odwrotu.

Czy czuję wtedy mrowienie w palcach? Raczej nie, bo nie ma w tym nic osobistego. Mam zadanie do wykonania, chcę je wykonać, jak najlepiej potrafię. Jadę więc za nim osiedlowymi uliczkami, które prowadzą mnie do centrum handlowego. [Dawn Park Center Shopping. Wtedy była tu galeria handlowa dla białych mieszkańców osiedla, a dziś tani supermarket z wielkim parkingiem, pralnią, myjnią samochodów i lokalnymi fast foodami: Steers, Fishways, Debonairs, w których przesiadują dzieciaki po powrocie ze szkoły. Stąd do domu Haniego jest niecały kilometr].

Wjechał na parking, wysiadł z auta, wszedł do środka, a ja czekam i się zastanawiam, czy to jest odpowiednie miejsce. Rozglądam się wokół i od razu rezygnuję. Za dużo ludzi, a ja mam w magazynku naboje głęboko penetrujące. Łatwo trafić kogoś przypadkowego. Nie chcę ryzykować. Mam wyraźną instrukcję od Clive'a: nikt inny nie może zginąć.

Sam zresztą zgadzam się z tą instrukcją w stu procentach.

Czekam.

***

Widzę, jak wraca do samochodu, z gazetą pod pachą.

Gdzie może jechać? Tylko z powrotem do domu. Nie chcę go płoszyć, więc jadę inną drogą, by mnie nie widział.

Na miejscu jest przede mną. Gdy podjeżdżam, parkuje właśnie samochód na podjeździe. Już nie pamiętam, czy zatrzymałem się zaraz za nim, czy na drodze.

Z torby na tylnym siedzeniu wyjmuję pistolet, wsadzam z tyłu za pasek spodni i wysiadam z auta.

On stoi już przy garażu, ale jest obrócony do mnie tyłem. Nie widzę twarzy, a chcę mieć pewność. Robię więc kilka kroków do przodu i wołam: „Mister Hani!". On się odwraca... I robi gest, jakby się chciał ze mną przywitać. Nie ma to dla mnie znaczenia. Już go poznałem. Wyciągam zza paska pistolet.

Zobaczył go. Może się przestraszył? Zrobił skręt, jakby chciał tego uniknąć. Za późno. Pierwszy strzał w korpus. Gdy upadał, wydał z siebie nieartykułowany okrzyk. Może ze strachu, a może z bólu. Drugi strzał w głowę[2]*. On upada na podjeździe.*

Po drugim strzale zobaczyłem wolno przejeżdżający obok samochód. Rozproszyło mnie to. Za kierownicą biała, dość młoda kobieta. Za nią, na tylnym siedzeniu, dwoje starszych ludzi – rodzice albo teściowie. Patrzyli na mnie, a ja na nich, stojąc z bronią w ręku na podjeździe.

Wiedziałem, że jest bardzo źle i że coś powinienem zrobić. Nic nie przychodziło mi do głowy. Nie zastrzelę przecież trojga niewinnych ludzi. Nie jestem terrorystą, tylko żołnierzem wykonującym zadanie.

Dopiero gdy odjeżdżają, dla całkowitej pewności, strzelam dwa razy za ucho.

(Czy warto to tak dokładnie precyzować?)

Chowam pistolet i szybkim krokiem idę do auta. Staram się, by nie wyglądało to na paniczną ucieczkę. Ruszam spokojnie, bez pisku opon. Ale myślę tylko, jak stamtąd uciec.

Wszystko w rękach tej białej kobiety – z tą myślą wyjeżdżam z osiedla Dawn Park. [Według śledczych: około 10:10].

[*„Czuję, że to, co zrobiłem, jest złe, ale też ulgę, że mam to już za sobą”* – mówi dwadzieścia trzy lata później południowoafrykańskiej dziennikarce Melindzie Ferguson[3]].

Jeśli mam satysfakcję, to z wykonania zadania, a nie z powodu bólu i śmierci, które wtedy zadałem. Nie jest przyjemnie do tego wracać, bo to żaden dla mnie moment satysfakcji.

Ale też nic, co wraca do mnie w koszmarach i mnie prześladuje.

CZĘŚĆ 2

Johannesburg

Wypatruję go w tłumie za bramkami odprawy granicznej. Tak jak obiecał, ma wielki czarny kapelusz na głowie. Stoi w hali przylotów w tym samym miejscu, w którym czterdzieści dwa lata temu pierwszy raz stanął na afrykańskiej ziemi. Lotnisko w Johannesburgu było wtedy małym lokalnym portem lotniczym o niewielkim międzynarodowym znaczeniu. Od lat sześćdziesiątych trwał bowiem bojkot Południowej Afryki, obejmujący również międzynarodowe połączenia lotnicze.



Muzeum Apartheidu w Johannesburgu.
Fot. Cezary Łazarewicz

Republika Południowej Afryki jest wtedy jedynym państwem na świecie, gdzie obowiązującym prawem są wprowadzone w roku 1949 przepisy segregacji rasowej. Przepisy apartheidu, bo tak nazywa się ten system, w trzystu dwunastu aktach prawnych szczegółowo regulują kontakty między

ludźmi w Południowej Afryce. W języku Burów apartheid znaczy „osobno”, więc wszyscy zostają podzieleni na rasy: białą, czarną i azjatycką. A kto nie jest ani czarny, ani biały – jest kolorowy. A jeśli są wątpliwości? Prawo mówi, że osobą białą jest ktoś, kto w sposób oczywisty jest z wyglądu biały i nie uchodzi powszechnie za osobę kolorową. O tym ostatecznie decyduje urzędnik państwowy. By ułatwić mu pracę, rząd wymyślił test ołówka. Jeśli ktoś ubiega się o status osoby białej, urzędnik wsuwa mu we włosy ołówek. Jeśli wypadł z głowy badanego, w rubryce „rasa” dowodu osobistego urzędnik wpisuje – biały. Jeśli nie wypadł – kolorowy. Życie albo poniżenia. Biali mają wszystkie przywileje, kolorowi są traktowani lepiej niż czarni, ale znacznie gorzej niż biali.

Bardziej skomplikowana jest klasyfikacja Azjatów, bo nie każdy, kto mieszka w Azji, musi być od razu azjatyckiej rasy. Ten przywilej dotyczy głównie Hindusów, ale już nie Chińczyków. Czy to z Tajwanu, czy z kontynentu, apartheid uznaje ich za czarnych. Za to wyglądający podobnie Japończycy są biali, bo rząd Południowej Afryki, chcąc mieć dobre stosunki z Japonią, nadał Japończykom honorowy status białego człowieka.

Każdy swoją rasę ma zapisaną w urzędowych dokumentach. Państwo dba, by rasy się nie mieszały. Osobno żyją Azjaci, kolorowi i czarni, a wszyscy są oddzieleni strefami buforowymi od osiedli białych.

Apartheid obowiązuje na osiedlach, dworcach, plażach, stadionach, cmentarzach i boiskach; w parkach, przedszkolach, szkołach, toaletach, autobusach i pociągach. A nawet w życiu intymnym. Istnieje przepis zakazujący utrzymywania stosunków seksualnych białych z czarnymi. Nie wolno zawierać międzyrasowych małżeństw. Za naruszenie przepisów grozi kara pięciu lat więzienia.

Przeciwko dyskryminacyjnym prawom apartheidu protestują czarni mieszkańcy Południowej Afryki. W marcu 1960 roku trzy tysiące osób przychodzi pod posterunek policji w miasteczku Sharpeville koło Johannesburga, by oddać swoje dowody osobiste. Policja otwiera ogień. Trupy rozrzucone są na całym placu wokół posterunku. Sześćdziesiąt dziewięć osób (w tym dziesięcioro dzieci).

Po masakrze w Sharpeville zostaje zdelegalizowany Afrykański Kongres Narodowy (ANC), największa organizacja reprezentująca czarnych mieszkańców. Kongres schodzi do podziemia i powołuje zbrojne oddziały Włóczni Narodu (Umkhonto we Sizwe), które walczą z rządem, wysadzając urzędy, elektrownie, słupy wysokiego napięcia i placówki pocztowe.

W 1962 roku przywódcy ANC zostają aresztowani i skazani na dożywocie. (Jest wśród nich Nelson Mandela).

Świat ogłasza wtedy bojkot apartheidu. Wprowadzone w połowie lat sześćdziesiątych sankcje gospodarcze mają pogrążyć Pretorię i zmusić ją do złagodzenia rasistowskiego prawa.

Gdy w poniedziałek 12 stycznia 1976 roku na lotnisku marszałka Jana Smutsa w Johannesburgu wylądował boeing 707 linii Luxavia z Wiednia (z międzylądowaniem w Nairobi), Południowa Afryka trzymała się pewnie. Afrykański ruch oporu jest stłumiony, jego przywódcy siedzą w więzieniach albo uciekli za granicę i mimo międzynarodowej izolacji RPA wciąż jest gospodarczą potęgą i jednym z najbogatszych państw świata.

Inżynier Witold Stanisław Waluś, syn Tadeusza i Teresy z domu Strzelichowska, urodzony w Kielcach w 1948 roku, z zawodu chemik-ceramik (po krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej), przylatuje samolotem z Wiednia, by rozpocząć nowe życie. Ma wtedy dwadzieścia osiem lat, długie, ciemne włosy spadające na ramiona i gęstą czarną brodę. Towarzyszy mu rok starsza żona Grażyna i ich czteroletnia córka Joanna.

Owinięty w kołdrę kolorowy telewizor Telefunken, który kupili w wiedeńskim second handzie, był ich jedynym majątkiem, który przywieźli z Europy. Mają szczęście, bo kilka dni wcześniej Południowa Afryka po latach protestów bardzo konserwatywnego Kościoła protestanckiego uruchomiła wreszcie nadawanie programu telewizyjnego.

***

Prośbę o zezwolenie na wyjazd Witold Waluś składa do krakowskiego biura paszportów i dowodów osobistych MSW w sierpniu 1974 roku. Pisze, że chce

jechać do Australii.

Cel wyjazdu: prywatno-wczasowy.

Osoba zapraszająca: kuzyn Stanisław Mencel, przedsiębiorca budowlany, zamieszkały 8 Trevor Ave Rostrevor (blisko Adelaide). Zapraszający deklaruje pokrycie wszelkich kosztów pobytu gościa w Australii, opiekę lekarską, zapewnia mieszkanie.

W tym samym roku Walusiowie dostają paszporty z pieczątką: „wszystkie kraje świata".

– Za łapówkę i po znajomości – mówi dziś Witold. Wyruszają rok później – w czerwcu 1975 roku. Zamiast do Australii dojeżdżają starym fordem taunusem do Austrii. Rozbijają namiot na polu namiotowym pod Wiedniem. W ambasadzie Republiki Południowej Afryki przy Ranngasse Witold składa prośbę o wizę emigracyjną. Dlaczego Południowa Afryka?

– Tam najmocniej zwalczano komunizm, nie było kraju bardziej antykomunistycznego niż Południowa Afryka, a ja miałem komunizmu serdecznie dosyć – mówi dziś. – Rzygać się chciało, jak patrzyło się na to całe zakłamanie. Doświadczał tego mój ojciec, doświadczam tego i ja, od najmłodszych lat.

Opowiada o marcu 1968 roku, strajku na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, o całkowitej utracie wiary w socjalizm, ideologicznej ofensywie marksizmu na uczelni, urabianiu i próbie odzyskania przez władzę młodzieży.

Pamięta sierpień 1968 roku, gdy Wojsko Polskie wkraczało z Sowietami do Czechosłowacji, by stłumić tam wolnościowe powstanie. Studentów AGH przebrano wtedy w wojskowe mundury i wysłano na obóz do Morąga. Opowiada:

– Wstydzę się, że jestem w polskim mundurze, i od tej pory nie czuję związku, zamiast „u nas" zaczynam mówić „w Polsce". Nie wyjeżdżałem z Polski z biedy, za chlebem. Nam się dobrze powodziło, bo nasz ojciec był prywatną inicjatywą. Żyliśmy lepiej niż inni. Uciekaliśmy z komunizmu, a nie z biedy.

W ambasadzie Południowej Afryki w Wiedniu mówią mi, że muszę dłużej zaczekać na decyzję. Jest czerwiec, najbardziej chyba deszczowy miesiąc

w Austrii od lat. Leje bez przerwy, zimno, a my z Grażyną i małą Joasią mieszkamy na campingu w mokrym namiocie. Joasia rozchorowuje się od tego. Ma gorączkę i wysypkę.

Mam z sobą na czarną godzinę przemycone z kraju trzysta dolarów. W Polsce to majątek, ale tu nie wiadomo nawet, czy wystarczy na opłacenie lekarza i lekarstw. Więc zamiast do lekarza jadę na sąsiedni camping, gdzie mają przyjechać dwa polskie wycieczkowe autokary. Wracają z wakacji w Hiszpanii. Jest tam lekarka, którą zaciągam na pole namiotowe, i ona stawia Joasię na nogi.

Niemieckiego uczyłem się z płyt, więc znam kilka słów, które pomagają mi znaleźć pracę. Trafiam do introligatorni. Dwadzieścia jeden szylingów na godzinę. Głodowa pensja, ale nic innego nie mam. Pracujemy przy dużym zamówieniu dla Związku Radzieckiego. Pakujemy do folderów pocztówki ze zdjęciami największych radzieckich pisarzy. Dwanaście kartek do przegródek, owinąć folią i wrzucić do pudła. Norma: trzysta sztuk na godzinę. Ja pierwszego dnia robię ledwie dwieście osiemdziesiąt. Zasuwam od rana do nocy, od szóstej do dwudziestej pierwszej, bez przerw na papierosa i jedzenie. Bo bardzo mi na tej pracy zależy.

Dzięki niej możemy uciec z namiotu i wynająć tanie mieszkanie. Jest małe, ale samodzielne. Z toaletą na korytarzu.

Gdy introligatornia kończy kontrakt na radzieckie pocztówki, wyciągam swoje zawodowe prawo jazdy z Polski i znajduję firmę przewozową Wibihal. Dostaję tam sześciotonową ciężarówkę. Wożę bele papieru. To ciężka fizyczna praca, bo samochód jest przeładowany, więc żeby skręcić, potrzebuję pomocy jeszcze jednej osoby. Godzę się na taką harówkę, bo wierzę, że na końcu tej drogi jest emigracyjna wiza do Południowej Afryki i wolność.

W ambasadzie przyjmują mnie ciepło. Konsul jest miły, robi wszystko, bym mógł go zrozumieć, bo mój angielski jest bardzo szkolny. Mówi głośno, wyraźnie i prosto. Pyta o żonę, córkę, zawód i wykształcenie. I choć się męczy, podtrzymuje tę naszą konwersację. Nagle prostuje się, zmienia ton, staje się mniej oficjalny, bardziej przyjazny i pyta: „Czy z ręką na sercu możesz zapewnić, że jesteś prawdziwym antykomunistą?”.

Zakopane

Z dworca kolejowego w prawo ulicą Chramcówki, obok apteki, małego Tesco na rogu Gimnazjalnej, przy rzeźbionym Chrystusie na belce werandy wyryte litery „Pyszna". To tu.

Piętrowy, zbudowany z drewna w stylu zakopiańskim dom. Na górze niewielkie – dwupokojowe mieszkanie, na dole – pracownia architektoniczna. Widać stąd Gubałówkę i Giewont. W latach sześćdziesiątych willę podzielono na mieszkania, a w dziewięćdziesiątych zaczął je na raty odkupować i odnawiać Andrzej Kawecki, dyrektor biura promocji Zakopanego. To dzięki niemu nie rozpadła się i nie przegniła.

Przy willi pod tym samym adresem jest dobudówka. W roku 1963 Maria Brzozowska kupiła tę część domu od doktora Bocheńskiego z Krakowa. Jej wnuczka Irena Walter prowadzi teraz pensjonat, ale nie wie, kto mieszkał tu wcześniej. Pamięta, że kilkanaście lat temu przyjechał wysoki, postawny mężczyzna w kapeluszu z wielkim rondem. Mówił, że jest z Południowej Afryki. Towarzyszyła mu kobieta z Azji i mały chłopczyk. Prosił, by oprowadziła go po domu. Zaglądał w każdy kąt, a potem powiedział, że spędził tu dzieciństwo.

***

Irena Walter nie słyszała nigdy o Julii Mallisie, samotnej matce, która wraz z córką Heleną, nauczycielką szkoły żeńskiej przy klasztorze Panien Benedyktynek Ormiańskich we Lwowie, przywędrowała po wielkiej wojnie do Zakopanego. Tu Julia objęła posadę osoby prowadzącej dom hrabiny Błażowskiej, który mieści się w wybudowanej na początku XX wieku przez cieślę Jana Ustupskiego willi „Pyszna" przy ulicy Chramcówki. Tu też Helena spotyka doktora Stanisława Strzelichowskiego, porucznika cesarskiej i królewskiej Armii Austro-Węgier, za którego wychodzi za mąż w 1920 roku. Strzelichowski robi w międzywojennej Polsce karierę administracyjną i zostaje lekarzem powiatowym na Kresach w Peczeniżynie, w województwie stanisławowskim. Mieszka z żoną w służbowym dworku szlacheckim. Szybko przestają z sobą rozmawiać i się rozstają. Helena wraca do Zakopanego

z urodzoną w 1924 roku córką Teresą i gdy na początku lat trzydziestych umiera Błażowska, przejmuje z matką willę i prowadzą wspólnie pensjonat.

Teresa Strzelichowska, córka Heleny, w chwili wybuchu wojny ma piętnaście lat. Żeby uniknąć wywiezienia na roboty do Niemiec, zgłasza się do pracy na kolei. I aż do zakończenia wojny jest sekretarką niemieckiego naczelnika stacji w Zakopanem. To przyszła matka Witolda i Janusza. Ojciec chłopców Tadeusz jest o rok młodszy od Teresy. Rodzina Walusiów pochodzi z Buczkowic koło Szczyrku, ale Tadeusz urodził się na Kresach w majątku Hanusowszczyzna, między Nowogródkiem a Nieświeżem. Gdy w 1939 roku wchodzą tam Rosjanie, jego rodzice na czas uciekają do Krakowa, a potem przenoszą się do Zakopanego, by leczyć chorego syna.

Tu w czasie okupacji Tadeusz i Teresa poznają się bliżej.

Po wojnie rozpoczynają studia na Akademii Handlowej w Krakowie, ale ich nie kończą. W lipcu 1947 roku biorą ślub. Pierwszy ich syn, Witold Stanisław, rodzi się dziesięć miesięcy później w Kielcach. W Kielcach, bo ojciec Teresy, doktor Strzelichowski, został tu mianowany po wojnie lekarzem wojewódzkim i chce mieć pod kontrolą przyjście na świat pierwszego wnuka.

Drugi ich syn, Janusz Jakub, rodzi się pięć lat później, już w Zakopanem.

Warszawa

To małe białe zawiniątko na rękach mężczyzny widoczne na fotografii z chrztu to właśnie Janusz. A nastolatka w letniej sukience, z grubym, ciemnym warkoczem spadającym na plecy to jego chrzestna – córka bardzo ważnego człowieka, ministra hutnictwa w rządzie Bolesława Bieruta – Magda Żemaitis.

Jej mama Oćka (zdrobnienie od Włodzimiery) i Teresa Waluś są dalekimi kuzynkami, dlatego Magda od najmłodszych lat przyjeżdża do Zakopanego i zatrzymuje się w pensjonacie Walusiów. Pamięta ciemną, mokrą, niszczejącą góralską chałupę, przewalające się dziesiątki ludzi: uczniowie, studenci, niedzielni turyści i obwieszone obrazami Witkacego ściany. Dwa wykonane przed wojną przez Witkacego pastelowe portrety babki, Heleny Strzelichowskiej, wiszą dziś u Witolda w domu w Pretorii.

– Chrzestną zostaję głównie z powodu mojego wpływowego ojca – mówi dziś profesor Magdalena Fikus, biolog, biofizyk, biochemik. (W pensjonacie „Pyszna” spotyka w latach pięćdziesiątych swojego męża Dariusza Fikusa, późniejszego wieloletniego redaktora naczelnego dziennika „Rzeczpospolita”). – Jestem córką komunistycznego dygnitarza, który może wtedy bardzo dużo załatwić, a Tadeusz to prywatna inicjatywa, więc, jak sądzę, to główny powód, dla którego zostaję wybrana. Pamiętam, że Tadeusz często był gościem w naszym domu, i myślę, że ojciec mu pomagał w różnych sprawach.

Profesor Fikus niewiele może powiedzieć o chrześniaku. Miała wtedy siedemnaście lat. Mówi, że nie była wzorową chrzestną. Nigdy potem z chrześniakiem się nie spotkała.



Magdalena Żemaitis z małym Januszem.
Fot. z archiwum rodzinnego Witolda Walusia

Pretoria

W centralnym więzieniu w Pretorii więzień numer 3616101 spisuje czarnym atramentem na kancelaryjnym papierze historię swojego życia na potrzeby

procesu resocjalizacyjnego. Pisze po angielsku. Ładnie i czysto, kaligrafując każdą literkę mocno i prosto.

„Urodziłem się w małym mieście w południowej Polsce 14 stycznia 1953 roku. Zakopane położone jest w górach – Tatrach i jest sławnym w Polsce i całej Europie narciarskim kurortem. (Ja nigdy nie nauczyłem się jeździć).

Około 1958 roku moja rodzina przeniosła się bliżej Krakowa. Kraków to tysiącletnie miasto, które do początku siedemnastego wieku było stolicą Polski. Miasto położone jest nad rzeką Wisłą, jest tam Wawel – zamek polskich królów i założony w 1364 roku Uniwersytet Jagielloński. To urocze miasto, pełne wąskich uliczek, starych kamienic, z mnóstwem kościołów i muzeów, kawiarni, restauracji i ogródków piwnych.

Mieszkamy w Gaju, małej wiosce pod Krakowem. Nasza rodzina dzieli gospodarstwo rolne z rodziną przyrodniego brata ojca, wujka Władysława Lenartowicza. Wujek Władysław to nasza najbliższa rodzina. Z ciotką Anną mają dwóch synów: Krzysztofa (urodzonego w 1949 roku), Piotra (1951) i córkę Danutę (1954).

Mój jedyny brat ma na imię Witold i urodził się pięć lat przede mną.

Nasze dzieciństwo jest szczęśliwe. Powinienem nawet napisać, że bardzo szczęśliwe. Nie mamy zbyt wielu zajęć w domu oprócz uczenia się. (To nigdy nie był mój ulubiony sposób spędzania wolnego czasu). Lubię czytać, słuchać dyskusji o polityce i historii oraz rodzinnych opowieści.



Janusz Waluś.
Fot. z archiwum rodzinnego Witolda Walusia

Nasza rodzina jest wyznania rzymskokatolickiego, jak dziewięćdziesiąt procent ludzi w Polsce. Nie byliśmy gorliwie praktykującą rodziną, ale jednak silnie antykomunistyczni i konserwatywni. Dla nas żywą książką historii było życie naszej babci Wiktorii (matki mojego ojca Tadeusza i wujka Władysława), która przeżyła dwie wojny światowe i bolszewicką rewolucję w Rosji. Jej pierwszy mąż został zabity przez Czerwonych w jednej z masowych egzekucji (stąd różne nazwiska mojego ojca i wujka). Wujek Władysław też był dla nas żywą historią. Spędził pięć lat w nazistowskich obozach koncentracyjnych – dwa w Auschwitz i trzy w Buchenwaldzie. Nie chciał o tym opowiadać. Miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, a w obozie ważył trzydzieści osiem kilogramów. Przetrwał, ale zamknął się w sobie. Mimo to, gdy pytali go, co gorsze, komunizm czy faszyzm, zawsze odpowiadał – komunizm.

Moi rodzice byli rygorystyczni, ale nie nadużywali tego. Były kary cielesne, ale nigdy bez powodu ani nie w nadmiarze.

W naszym domu piło się trunki, ale z trudnością mógłbym policzyć przypadki, kiedy widziałem tatę lub wujka pijanych. A nawet w takich

rzadkich przypadkach nigdy nie dochodziło do aktów przemocy. Używali trunków z jednego powodu: dla radości i relaksu, a nie by być pijanym".

Johannesburg

Gdy pasażerowie lotu z Wiednia rozchodzą się do domów, w strefie przylotów robi się pusto. Zostają tylko Walusiowie. Nikogo nie znają. Nikt na nich nie czeka. W lotniskowej informacji dostają pomarańczowo-biało-niebieskie znaczki w kolorach narodowych RPA i mają czekać, aż ktoś ich znajdzie.

Pojawia się miejscowy Bur. Pakuje całą trójkę do samochodu i wiezie do hotelu Hillbrow w centrum Johannesburga. (Witold: „Wtedy to była kosmopolityczna dzielnica, gdzie mówiło się wszystkimi językami świata, a dziś strach chodzić, bo to slums kontrolowany przez nigeryjskie gangi"). Dostali apartament z kuchnią na jedenastym piętrze. W recepcji powiedzieli, że wszystko jest opłacone i mogą sobie pozwiedzać miasto. (Witold: „Ja tu przyjechałem do pracy, więc zastanawiam się, dlaczego nikt się jeszcze po mnie nie zgłosił. Boję się, że zanim mnie przyjmą, już mnie wyrzucą. Nie znałem jeszcze południowoafrykańskiego wyluzowania").

Te wakacje trwają trzy tygodnie. Za wszystko płaci biuro imigracyjne. W tym czasie znajduje Walusiowi pracę na stanowisku inżyniera w hucie szkła.

– Wszyscy są przyjaźni, uśmiechnięci i mili. Nikt nie rzuca ci kłód pod nogi, na wszystko są rządowe kredyty i każdy stara się pomóc – mówi. – Klimat umiarkowany, ciepły. Cztery pory roku. Trzy miesiące zimy, pięć miesięcy lata. Od razu czuję się tu jak u siebie. Zaczynam budować przyczółek dla pozostałej rodziny, która jest w Polsce.

***

Wielkim szarym chryslerem jedziemy teraz przez centrum starej Pretorii. Union Building (siedziba rządu i prezydenta), Ratusz (siedziba władz miejskich), Muzeum Historii Naturalnej. Między Ratuszem a muzeum –

zapuszczona sadzawka i człowiek w cylindrze, ze strzelbą pod pachą, jadący na niewielkim koniu. To pomnik założyciela miasta, burskiego bohatera narodowego Andriesa Pretoriusa, który w 1838 roku pokonał Zulusów w bitwie nad Krwawą Rzeką i na którego cześć nazwano miasto Pretorią. Tylko że w nowej Południowej Afryce, tej po upadku apartheidu, której czwartym z kolei prezydentem był Zulus Jacob Zuma, generał Pretorius bohaterem już nie jest. Radni zmienili nawet oficjalną nazwę miasta na Tshwane, ale nie przyjęła się w świecie.

Bohaterem też nie jest już Paul Kruger, prezydent burski republiki Transwalu, którego pomnik wciąż stoi na placu Kościelnym.

Mijamy Stary Teatr, Pałac Sprawiedliwości, parlament (Ou Raadsaal), parki, ogrody, pasaże, arkady. To były kiedyś enklawy białych. Prawo wstępu do centrów miast mieli tylko czarni posiadający specjalną przepustkę. Bez niej można było trafić na miesiąc do aresztu. Poza tym obowiązywała godzina policyjna. Jeśli czarny na czas nie wrócił do swojego podmiejskiego slumsu, też mógł trafić za kratki.

Wszystko zmienia się rok po zabójstwie Haniego, po pierwszych demokratycznych wyborach w 1994, gdy prezydentem zostaje Nelson Mandela, a władzę przejmuje ANC. Po zniknięciu ograniczeń apartheidu po białych enklawach rozlewa się fala przestępczości. Czarne gangi z przedmieść przenoszą się do centrum miasta, uciekają z nich kawiarnie, restauracje, kina, sklepy, galerie sztuki, a za nimi zwykli mieszkańcy. Ceny nieruchomości spadają, więc miejsce białych zajmują lokatorzy z czarnych przedmieść. Budynek po budynku, ulica po ulicy, kwartał po kwartale miasto zmienia swój rasowy charakter. Biali i czarna elita przenoszą się na obrzeża miasta, zamykają się za murami chronionych osiedli Lynnwood, Waterkloof, Brooklyn. Żyją otoczeni drutami kolczastymi, ogrodzeniami pod napięciem, czujnikami ruchu, kamerami, uzbrojonymi ochroniarzami, bo przestępczość rośnie z roku na rok. Każdego roku w pięćdziesięciomilionowym kraju dochodzi do dwudziestu tysięcy zabójstw (w trzydziestoośmiomilionowej Polsce jest ich pięćset). Dlatego biali nie zapuszczają się do centrum. Zamiast tego wybierają wielkie centra handlowe, Centurion Mall, Brooklyn Mail i Menlyn Park, które pełnią taką funkcję jak w Europie śródmieścia miast.



Pretoria, 1994 rok: Frederik de Klerk składa gratulacje Nelsonowi Mandeli, który został zaprzysiężony na prezydenta RPA. Copyright: Louise Gubb / Contributor

Z okien samochodu serce Pretorii wygląda jak skrzyżowanie bazaru Różyckiego z warszawskim Dworcem Wschodnim, ale w otoczeniu egzotycznej roślinności Afryki. Na chodnikach rozstawione stoiska z podrabianymi ray-banami i markową odzieżą, a pod palmami, w parkach i w ogrodach, leżakujący klienci.

Gaj pod Krakowem

Od zakopianki w bok, wąską asfaltówką lekko pod górę, naprzeciwko cmentarza, gdzie w jednym grobowcu leżą rodzice Janusza i Witolda, Tadeusz i Teresa, oraz dziadkowie, Jakub Waluś (ze strony ojca) i Stanisław Strzelichowski (ze strony matki). Dom z czerwonej cegły stoi na wzgórzu. Wokół wysokie drzewa i dwa osobne wejścia. Po lewej mieszkali Walusiowie, po prawej Lenartowiczowie. Jest tak, jak opowiadał mi w więzieniu Kuba.

Gdy się tu sprowadzają pod koniec lat pięćdziesiątych, nie ma prądu, wody, a nawet drogi.

Tadeusz jest ofiarą bitwy o handel, czyli prowadzonej przez komunistów wojny z prywatną inicjatywą.

Zaczynał jako nastolatek w czasie niemieckiej okupacji, przemycając górskimi szlakami luksusowe towary ze Słowacji, a po wojnie założył sklep kolonialny na Krupówkach. Dobre jedzenie, wyśmienite wina, egzotyczne owoce i przyprawy. Traci wszystko w 1948 roku podczas pierwszej bitwy o handel. Otwiera więc kolejny sklep, w bocznej uliczce odchodzącej od Krupówek, i uruchamia manufakturę produkującą słodycze. Wytwarza draże oblepiane kolorowym cukrem, które produkuje w wielkich miedzianych bębnach.

Gdy w 1957 umiera Julia Mallisa, muszą opuścić „Pyszną" i przenoszą się bliżej Krakowa – do Gaju. Tadeusz z przyrodnim bratem Władkiem Lenartowiczem odbudowują wtedy prywaciarskie imperium. Ruszają z produkcją lodów, cukierków i czekolady własnego wyrobu (w urzędzie patentowym zarejestrowali swoją recepturę).

Towar dowożą do Krakowa furmanką. Firma rozwija się błyskawicznie. Ściąga z okolicy pracowników i skorumpowane służby – sanepid, urząd podatkowy, milicję. Wszyscy chcą większych łapówek i czekolady, której w Polsce ciągle brakuje.

Janusz ze starszym bratem chodzą wtedy do podstawówki w sąsiedniej wiosce – Libertowie. Tu są znacznie lepsze warunki niż w małej szkółce w Gaju, więc ojciec załatwił obu chłopcom przeniesienie.

Jest początek lat sześćdziesiątych. Tadeusz kupuje swój pierwszy samochód – wartburga wyprodukowanego w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Wcześniej miał do spółki z bratem radziecką pobiedę.

W drugiej połowie lat sześćdziesiątych, gdy Janusz zaczyna naukę w liceum, jego ojciec zamienia wartburga na zachodniego forda taunusa 1500. Prywatne auto jest wtedy wciąż wielką rzadkością, a zachodnich samochodów jest tak mało, że są zaraz wypożyczane do filmów.

Dla Zosi Florek, która chodzi z Witkiem do jednej klasy w Libertowie, Walusiowie są bogaczami z Gaju.

– Rodzina z wyższej półki – tak o nich do dzisiaj mówi. – Pierwsi mają we wsi samochód, pierwsi telewizor, pierwsi wyjeżdżają na zagraniczne wczasy do Bułgarii.

Są jedynymi znanymi jej osobiście prywaciarzami. Bo reszta w całej okolicy to sami chłoporobotnicy, dorabiający na kawałku ziemi po powrocie z fabryki.

– Byli horrendalnie bogaci – wspomina. – Witek na przykład co poniedziałek wpłacał na swoją książeczkę Szkolnej Kasy Oszczędności po sto złotych, gdy innym dzieciom udawało się dwa lub pięć złotych zaoszczędzić. Gdy spytały, skąd ma tyle forsy, odpowiedział, że tata mu płaci za zjedzenie kotleta. Mimo swojego bogactwa i pozycji zawsze mieli otwarte serce: pomagali szkole, w kościele, mieli szacunek do ludzi, odnosili się do nich z respektem.

Wszyscy ich bardzo lubią. Gdy ginie im pies, to szuka go cała wioska. Nagroda za jego znalezienie jest niewyobrażalnie wysoka – dwieście złotych. – To były tygodniowe wydatki na jedzenie naszej sześcioosobowej rodziny – przypomina.

Potem Witek z Kubą zniknęli. Kuba z ojcem prowadził fabrykę kryształów w Radomiu, Witek wyjechał za granicę. Z Gaju wyjechała też Zosia Florek. W 1982 roku wyemigrowała z mężem do Południowej Afryki. On dostał tu dobrą pracę w fabryce Nissana, ona zajęła się produkcją polskiej kiełbasy, którą sprzedawała w sklepie w Pretorii. W połowie lat osiemdziesiątych przyszedł na zakupy Tadeusz Waluś. Powiedział, że ma fabrykę, sprzedaje kryształy, pomagają mu Witek i Kuba, jest tu cała rodzina i że świetnie im idzie.

Zofia Florek co niedziela przyjeżdża na Lynnwood w Pretorii do kościoła St. John Fisher, by spotkać się z Polakami. Kościół jest wielki, a na parkingu przed nim tylko kilka samochodów. Kiedyś ledwo mieścili się w kościele, a dziś zajmują tylko ławki z przodu. Po nabożeństwie idą do ogrodu na tyłach plebanii, piją piwo albo lemoniadę i rozmawiają o Polsce, polityce i życiu. Ale z tych niedzielnych spotkań Zofia Florek nie pamięta ani Tadeusza, ani Witka, ani Kuby.

– Oni tak jakby trzymali się z boku – mówi.

Pretoria

Historia życia Janusza Walusia przez niego samego spisana na potrzeby procesu resocjalizacyjnego:

„Mając siedemnaście lat, rozchorowałem się bardzo poważnie. Miałem problemy żołądkowe. Każdego dnia, o świcie i wieczorem, miałem potworne bóle. Leżałem w szpitalu. Lekarze byli bezradni. Nikt nie wiedział, co mi jest. Straciłem czternaście kilo na wadze i ciągle chudłem. Ostatecznie mój ojciec zdecydował, jak w większości wypadków, że to on jest najlepszym lekarzem. Wypisał mnie ze szpitala, biorąc na siebie odpowiedzialność za wszystko, co się potem wydarzy.

Tata wyrzucił wszystkie moje lekarstwa. »Nie mogłeś być zdrowy, zjadając te wszystkie świństwa« – powiedział. Kazał mi zrezygnować z diety i zaczął mnie leczyć po swojemu. »Jedz cokolwiek, na co masz ochotę. Tylko wolno i z umiarem, popijając po posiłku gorącą herbatą (bez mleka i cukru)«.

Kiedy tylko tata zauważał, że odczuwam ból, sadzał mnie za kierownicą swojego samochodu. (Prawo jazdy miałem od szesnastego roku życia). Miał forda taunusa, którego bardzo niechętnie dawał komukolwiek prowadzić. Gdy siadałem za kierownicą, tak się koncentrowałem na jeździe, że nauczyłem się ignorować ból. Wiedział, jaką radość sprawia mi ta jazda. Ataki bólu powoli ustępowały, a mnie coraz bardziej zależało na tej samochodowej terapii.

Chodziłem do V Liceum w Krakowie. Z powodu choroby miałem duże zaległości, których nie dało się nadrobić. Miałem zaliczyć braki po wakacjach, ale już wiedziałem, że to koniec mojej edukacji.

Byłem najmłodszym w rodzinie ze wszystkich chłopców w Gaju, niezbyt akademicko uzdolniony. Już od liceum moi rodzice nie spodziewali się zbyt wiele ode mnie na tym polu. Nigdy nie byłem pilnym uczniem, a moja czteromiesięczna nieobecność w szkole jeszcze to pogorszyła.

Zacząłem pomagać ojcu w jego pracy. Wspólnie wyruszyliśmy w biznesową podróż po Polsce. Ojciec był wtedy właścicielem huty szkła. Produkował kryształy: kieliszki, wazony, karafki, popielniczki. Wszystko to sprzedawało się od ręki.

Mieliśmy dobre życie, które w każdym momencie mogło się zakończyć, gdyby komuniści zdecydowali zamknąć naszą fabrykę, a to mogło się stać w każdej chwili. Wiele razy zdarzało się to ojcu. Startował wtedy z nowym biznesem od samego początku.

Rozwoziłem po Polsce kryształy ojca samochodem. Praca była dla mnie ważniejsza niż szkoła. Wiele razy szedłem rano do szkoły po całonocnej podróży.

Moi rodzice mieli zdrowe podejście do sprawy: »Jesteś dorosły. Możesz chodzić, gdzie chcesz, i wracać, o której chcesz. Bylebyś na czas wstał do szkoły albo wyjechał z towarem. Nie chcemy słyszeć wymówek, że jesteś zmęczony, śpiący, skacowany«.

Mając dziewiętnaście lat, zdaję maturę z wynikiem takim, że nie ma sensu – ani chęci – iść na studia. Chcę być niezależny tak szybko, jak to możliwe. Moim marzeniem jest zostać kierowcą rajdowym, najlepiej zawodowym. Już jako dziewiętnastolatek mam ogromne doświadczenie w kierowaniu autem.

I jestem zdeterminowany. Jedyna droga, żeby zostać rajdowym kierowcą, to zarobienie wielkich pieniędzy. Dlatego zaczynam pracować w fabryce mojego ojca. Ludziom wydaje się, że szlifierz szkła to artysta, ale nim nie jest. To nudna, powtarzalna, monotonna praca, która dawała mi jednak nadzieję, że za trzy lata otworzę własny biznes, zarobię wielkie pieniądze i będę rajdowcem.

I naprawdę się staram. Jestem pracowity i zdyscyplinowany, ale dla dziewiętnastolatka trzy lata czekania to zbyt długo. Brakuje mi treningów. Zamiast jeździć, siedzę na miejscu. Wytrzymuję rok.

Wracam do rozwożenia towaru. Wygląda na to, że ojciec jest z mojej decyzji zadowolony. Wożę jego kryształy po całej Polsce, a oprócz tego jestem przedstawicielem handlowym firmy produkującej bransoletki i paski do zegarków. Zdobywam pieniądze i doświadczenie. Miesięcznie sześć tysięcy kilometrów na drogach. W deszczu, śniegu, na lodzie.

Znam Polskę na pamięć. Jest piękna. Góry na południu, lasy i jeziora w centrum i morze na północy.

Miałem kilka wypadków. Opiszę jeden: zderzenie z ciężarówką. Kiedy ją zobaczyłem przede mną, pomyślałem, że to ostatni obraz, który widzę. Miałem ogromne szczęście, że przeżyłem. Nic mi się nie stało prócz kilku drobnych skaleczeń na czole i kolanach.

Nabieram praktyki. Gdy kończę dwadzieścia jeden lat, zdobywam rajdową licencję.

Rok później, w 1975 roku, zajmuję się na poważnie rajdami.

Mój debiut jest spektakularny. Rajd jest w górach. Od samego początku prowadzimy (ja i mój nawigator Jerzy Pajdak). I kiedy jedziemy na odcinku specjalnym, pęka nam przednia opona. Wylatujemy w powietrze, robiąc trzy obroty. Samochód rozbity doszczętnie, ale załoga wychodzi bez szwanku (na szczęście samochód jest ubezpieczony).

W 1977 roku zdobywam mistrzostwo Polski w klasie 850 do 1150 centymetrów dla Automobilklubu Świętokrzyskiego i dziesiąte miejsce indywidualnie w plebiscycie Złota Kierownica dla najlepszego kierowcy. To większe osiągnięcie niż zdobycie mistrzostwa Polski. W nagrodę dostaję talon na malucha – fiata 126.

To wielka satysfakcja, ale nie zapewnia sponsora. Wciąż ja i ojciec w całości finansujemy moje wyścigi. Paliwo, remonty, części – za wszystko trzeba płacić.

W 1978 roku rozbijam się na Rajdzie Wisły. Remontuję samochód i startuję w Rajdzie Stomil, ale nie osiągam już dobrego wyniku. Zaczyna brakować mi pieniędzy. Wycofuję się.

Po roku zgłaszają się do mnie ludzie z Automobilklubu Świętokrzyskiego. Dają mi samochód, benzynę, opony, płacą za hotele. Chcą, żebym ścigał się na torze. Tor to prędkość, ale też przewidywalność i nuda. Nie ma nocnych jazd i różnych nawierzchni.

Nie ma tych emocji. Można nawet przekroczyć dwieście kilometrów na godzinę. Tylko że jeździ się w kółko.

Jeżdżę kopią lotusa z lat sześćdziesiątych, tylko z mniejszym silnikiem. Na torze w Miedzianej Górze mam poważny wypadek. Jest rok osiemdziesiąty

pierwszy. Wycofuję się. Na tor już więcej nie wracam. Zaczynam poważnie myśleć o wyjeździe z Polski”.

Piaseczno

Mistrzostwo Polski w rajdach zdobywa na fiacie 128 Sport SL (pojemność 1300 centymetrów). Samochód jest trzydrzwiowy, bardzo nowoczesny, prawie nowy – to znaczy rzadko wykorzystywany w firmie do rozwożenia po sklepach oszlifowanych kryształów. Ma przedni napęd, sportowy wygląd i przypomina trochę forda capri z amerykańskich filmów gangsterskich. Lekko ścięty dach, wysoki przód i świetnie trzyma się drogi.

Tak przynajmniej wygląda na zdjęciach, które Marek Kaczmarek zrobił na odcinku specjalnym Rajdu Stomil w 1977 roku. (Kaczmarek prowadzi internetową stronę Rajdy-Wyścigi. Historia jakiej nie znacie). W latach siedemdziesiątych zaczął fotografować rajdowców i ich wozy. Teraz publikuje w sieci swoje zbiory z ostatnich czterdziestu lat[4].

Pamięta, że Waluś jeździł z pilotem Janem Ambrozikiem. Ale Ambrozik, jak wielu dawnych rajdowców z lat siedemdziesiątych, już nie żyje. Żyje natomiast Andrzej Wodziński, najgroźniejszy rajdowy rywal Walusia. Zaczynał pod koniec lat sześćdziesiątych. Pierwsze zwycięstwo zaliczył na trasie słynnego Rallye Monte Calvaria w Górze Kalwarii za kierownicą rajdowego trabanta z NRD. Był mistrzem Polski w klasie do 1150 centymetrów sześciennych i z oldbojami ściga się do dziś.



Fiat 128 Sport z Januszem Walusiem i Janem Ambrozikiem na trasie rajdu.
Źródło: http://www.kwa-kwa.pl/

– Rajdy to był wtedy sport dla zapaleńców – mówi. – Startowało się za własne pieniądze. Jedna profesjonalna opona kosztowała wtedy dwieście dolarów, a robotnik zarabiał piętnaście.

Na obrzeżach Piaseczna Wodziński zarządza teraz firmą sprzedającą obrabiarki. Parterowe biura, plastikowe okna, kostka Bauma na parkingu. Siwy, łysiejący, w okularach. Niepodobny do tego chłopaka ze zdjęć Kaczmarka – opartego o wyścigową zastawę, w dżinsach dzwonach i skórzanej kurtce.

O Walusiu mówi „Jasiek". Więcej wie o jego samochodzie i technice jazdy niż o nim samym. – Był zdecydowany, szybki, odważny. Ostry, ale rozważny.

Spotykali się raz w roku na grudniowej warszawskiej Wielkiej Gali Polskiego Związku Motorowego i kilka razy w roku na drogach rajdowych. Tylko że tam nie było czasu na rozmowy. Przyjeżdżali na zawody w sobotę, rano eliminacje, a potem w dzień i w nocy ścigali się po okolicznych szosach, dróżkach, wertepach. W niedziele spotykali się wszyscy rano na śniadaniu w hotelu i rozjeżdżali do domów po całej Polsce. Każdy spieszył się do pracy na poniedziałek, bo to nie byli zawodowi rajdowcy, tylko zapaleńcy.

Pamięta, że Jasiek był prywatną inicjatywą. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych to był jedyny sposób, by mieć pieniądze na rajdy. Jemu ojciec zostawił hutę szkła w Radomiu, a sam wyjechał gdzieś za granicę.

– Musiał to być sympatyczny człowiek, bo zaprosiłem go nawet na mój ślub. Przywiózł nam piękną kryształową zastawę: karafkę i komplet kieliszków. Część się wytłukła, ale kilka przetrwało do dzisiaj.

Pewnego dnia Jasiek nie pojawił się w hotelu na porannej odprawie przed startem. Nigdy się już więcej nie odezwał. Ktoś wtedy powiedział Wodzińskiemu, że wyjechał do Afryki. Wszelki słuch po nim zaginął. O tym, że żyje, dowiedział się z radia.

– Mówili, że zabił jakiegoś Murzyna. Nigdy się nad tym głębiej nie zastanawiałem i nie mam pojęcia, co się tam stało – mówi.

Nic nie potrafi powiedzieć o tym człowieku. On znał dwudziestopięcioletniego miłego, wyluzowanego chłopaka z poczuciem humoru, a nie tego prawie dwa razy starszego faceta, który tyle lat spędził na emigracji.

– To mógł być ktoś zupełnie inny.

Warszawa

Tadeusz, Witold i Janusz Walusiowie są dziś elektronicznymi zapisami w państwowym archiwum Instytutu Pamięci Narodowej. Występują w postaci rekordów, które wyskakują na monitorze, gdy wpisze się do bazy archiwum ich nazwisko. Pod archiwalnymi sygnaturami są zdjęcia, listy, notatki, podania o pozwolenia na wyjazd za granicę i urzędowe odmowy, które przez lata zbierała w ramach informacji o rodzinie Walusiów Służba Bezpieczeństwa.

Najważniejszy jest ojciec: Tadeusz Witold Waluś, rocznik 1925, z zawodu: mistrz wyrobu szkieł ozdobnych. (Wzrost: 171, oczy: niebieskie, włosy: blond, sylwetka: szczupła, twarz: pociągła). Na wszystkich zdjęciach w białej koszuli, marynarce i krawacie.

Sprawa 261/46 z 16 października 1946 roku to szara kartka zapisana stalówką i atramentem.

W rubryce treść sprawy: „Podejrzany o udział w organach NSZ [Narodowe Siły Zbrojne][5]. Osadzony w areszcie Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego do dyspozycji śledczych".

Niżej dopisek innym charakterem pisma: „Z braku materiału kompromitującego zwolniony w dniu 30 października. Materiał zniszczono jako bez wartości operacyjnej".

Sprawa 5960/I: teczka personalna tajnego współpracownika pseudonim „Jacek" (nr rejestracyjny 733/62).

Wniosek o zatwierdzenie pozyskania z dnia 9 stycznia 1962 roku:

„Rozmowa przebiegała w przyjaznej atmosferze, bo to trzecie z kolei spotkanie. Na poprzednich kandydat został przekonany o potrzebie pozostawania w stałym kontakcie z naszymi organami i udzielania nam pomocy w zwalczaniu wrogiej działalności prowadzonej przez niektórych cudzoziemców przeciwko PRL" – notował porucznik Hoc z Krosna. (Notuje, że „Jacek" przyjeżdża na spotkanie samochodem Pobieda numer rejestracyjny KA 73-62).

Odręczne zobowiązanie napisane niebieskim długopisem na kartce w kratkę:

„Niniejszym zobowiązuję się do zachowania w ścisłej tajemnicy utrzymywania kontaktu z Organami Kontrwywiadu, nie ujawniając nigdy i przed nikim zainteresowań tych organów osobami ani też faktami, o których była między nami mowa".

(Dopisek porucznika Hoca: „»Jacek« zastrzegł, by o jego współpracy nikt z pracowników Służby Bezpieczeństwa nie wiedział").

Odebrane przez kapitana Zielińskiego doniesienie od źródła „Jacek" z 21 lutego 1963 roku:

„20 lutego br. spotkałem się z [Francuzem] S. [Silin] w Warszawie. Był mocno zdenerwowany i rozżalony nieprzedłużeniem mu przez UB wizy pobytowej w Polsce. (...) S. twierdzi, że pomimo tych trudności wizę dostanie, a gdyby miał jej nie dostać, zastanowi się nad pozostaniem w Polsce na pobyt stały".

Wniosek o zaniechanie współpracy z 10 czerwca 1963 roku:

„Odmawiał udzielania informacji na piśmie, natomiast informacje, które przekazywał ustnie, były bardzo powierzchowne.

»Jacek«, wykorzystując naturalne możliwości kontaktu z cudzoziemcami, prowadził z nimi rozmowy obliczone na osiągnięcie osobistych korzyści materialnych.

Prowadząc prywatny zakład wyrobów ze szkła w Krośnie, wbrew naszym ostrzeżeniom, proponował przystąpienie do spółki z Silinem przedstawicielowi kilku firm francuskich. Omawiał nawet warunki, na jakich mogą obaj prowadzić wytwórnię czekolady w Krakowie.

Nawiązuje kontakt z firmą Witocan Werke z RFN i proponuje swoje usługi w charakterze agenta handlowego.

Bez naszej wiedzy i wbrew zaleceniom usiłuje podjąć się nielegalnego pośrednictwa na rzecz firm kapitalistycznych. Postępowanie jego wskazuje na dwulicową działalność".

Jest kilka tajnych notatek Służby Bezpieczeństwa z drugiej połowy lat siedemdziesiątych:

„Posiada szerokie kontakty z osobami wysoko postawionymi w hierarchii społecznej, zarówno w Warszawie, jak i na terenie innych województw. Należy do jednych z najbogatszych ludzi w Radomiu. Jest właścicielem zakładu szkła artystycznego produkującego kryształy w Radomiu i podobnego zakładu zarejestrowanego na syna w Kozienicach" (por. Janusz Poznański).

„Inwigilowany w ramach inwigilacji szczególnej, jako podejrzany o dokonanie przestępstw karno-skarbowych w hucie szkła kryształowego" (ppłk E. Komorowski).

„Podaje, że chce wyjechać na Cejlon turystycznie. Zachodzi jednak podejrzenie, iż chce swój wyjazd wykorzystać do spotkania ze swoim synem. Witold Waluś przebywa w Republice Południowej Afryki, a więc w kraju, z którym Polska nie utrzymuje stosunków dyplomatycznych. Biorąc więc pod uwagę fakt nielegalnego pobytu za granicą jego syna, proponuję sprawę

Walusia w Wydziale Paszportów KWMO Kraków załatwić odmownie” (st. szeregowy Zdzisław Waliński).

Mikrofilm 1755/1. Akta paszportowe z lat 1978–1981.

Podanie do wydziału paszportowego w Wojewódzkim Urzędzie Spraw Wewnętrznych w Radomiu z prośbą o zezwolenie na zagraniczny wyjazd:

„Mam 53 lata i wszystkie moje plany na przyszłość są związane z Polską. Mam dwóch dorosłych synów z pierwszego związku i dziewięcioletnią córeczkę z drugiego. Jestem dorosłym mężczyzną o ustabilizowanej pozycji zawodowej, finansowej i osobistej.

Czy kto sądzi, że mając to wszystko, pracę, którą lubię, wysoki standard życiowy, uznanie, szacunek ludzi, pojadę zaczynać gdzie indziej od zera?

To, że mój dorosły, trzydziestoletni syn, którego zawsze pociągały podróże, jest obecnie w Południowej Afryce, nie może mi chyba zamykać drogi do wyjazdów?”.

Tajna notatka z Komendy Wojewódzkiej MO w Radomiu do wydziału paszportowego z 5 października 1981 roku:

„Postępowanie przed sądem rejonowym zakończono, należności wobec skarbu uregulowano. Przyczyny powodujące zastrzeżenie do wyjazdu za granicę ustały. Wydział Przestępstw Gospodarczych nie wnosi dalszych zastrzeżeń co do osoby”.

Notatka służbowa wydziału paszportowego z lat osiemdziesiątych (data nieczytelna):

„23 października 1981 Tadeusz Waluś przekroczył granicę PRL z synem Januszem Jakubem Waluś. Nie powrócił z zagranicy”.

Pretoria

Historia życia Janusza Walusia przez niego samego spisana na potrzeby procesu resocjalizacyjnego:

„W Radomiu spotykam swoją żonę – Wandę. Jest recepcjonistką w hotelu Europa, w którym wtedy mieszkam. Pobieramy się w styczniu 1976 roku. Na początku wszystko jest fajnie. Nie ma żadnych małżeńskich nieporozumień.

W 1978 roku rodzi się nasza córka Ewa. Nasze małżeństwo ulega szybkiemu psuciu. Głównie to moja wina. Może za mało się angażowałem?

Od roku 1979 zaczęła się też pogarszać sytuacja w Polsce, i to nawet szybciej niż w naszym małżeństwie. Brak żywności, brak paliwa, rząd drukuje pieniądze bez pokrycia w towarach. Beznadzieja.

Nadszedł czas decyzji. Zawsze planowałem emigrację, ale podświadomie odkładałem ostateczną decyzję na potem. Mój starszy brat Witold mieszka w RPA od 1976 roku. Jest dla nas drogowskazem i punktem zaczepienia. Miał odwagę wyjechać, osiąść tam, gdzie nikogo nie znał, i spotkać się z czymś zupełnie nowym.

Czekam na paszport dwa lata.

Wyjeżdżam z ojcem. Najpierw jedziemy do Austrii, bo to jedyny zachodni kraj, do którego możemy wjechać bez wizy. To mój pierwszy wyjazd na Zachód. Zachód zachwyca. Czysty. Z pełnymi półkami w sklepach. I najważniejsze: uśmiechniętymi, zrelaksowanymi i uprzejmymi dla siebie ludźmi.

My jesteśmy inni. Codzienna walka o przetrwanie w idiotycznym, bezsensownym systemie komunistycznym zabiła w nas radość życia. Uprzejmość zastąpiły podejrzliwość i nieufność. Ludzie żyli w szarych domach i mieli szare twarze.

Nasz kraj był pod sowieckim butem od roku 1944. Byliśmy w beznadziejnej sytuacji. Podzieleni, rozbrojeni, mocno zdemoralizowani. Uciekłem z Polski, bo nie mieliśmy jak walczyć.

Tydzień czekamy w Wiedniu na południowoafrykańską wizę.

Lądujemy 1 listopada 1981 roku na lotnisku marszałka Jana Smutsa w Johannesburgu.

Wiem tyle o RPA, ile mi w listach napisał Witold i opowiedział ojciec, który był tu dwa razy. Wrócił od Witka zachwycony: „Zuluską maczugą przyłożę

każdemu, kto opowiada o rasizmie tam panującym” – mówił.

Pierwsze, co mnie zachwyca, to widok z góry, gdy lądujemy. Widać wielkie miasto, dzielnice pełne domów, a przy każdym basen. W Polsce zimny listopad: deszcz, wiatr, plucha, a tu zieleń, słońce i ci ludzie w basenach.

Powiew nowego, wielkie przestrzenie, fantastyczne stosunki międzyludzkie. Między białymi, ale też między białymi i czarnymi. Było znacznie lepiej niż teraz.

Od pierwszego dnia wśród Burów w Pretorii czuję się jak swój. Ludzie są serdeczni, pomocni, nawet jak mówisz łamanym angielskim, to traktują cię jak swego.

Zakochuję się od pierwszego wejrzenia.

Oczywiście, nie było to dla mnie życie usłane różami. W komunistycznej Polsce mieliśmy mnóstwo pieniędzy, ale nic nie mogliśmy za nie kupić w sklepach. Tutaj było wszystko, tylko brakowało pieniędzy. Ale tu była przynajmniej nadzieja, że pewnego dnia to może się zmienić.

Ta postawiona do góry nogami sytuacja spowodowała, że ojciec po trzydziestu latach prowadzenia biznesu w Polsce nie potrafi się dostosować. Tam był problem z wyprodukowaniem czegokolwiek, ale jak się wyprodukowało (nie musiał to być towar najwyższej jakości), rynek wszystko pochłonął. Tutaj odwrotnie. Najważniejsze są marketing i produkcja. Wszystko logicznie wynika z zapotrzebowania rynku. Ale nie dla ojca wychowanego w nielogicznym systemie.

Po przyjeździe mieszkamy w Wingate Park u Witka na północnym zachodzie Pretorii. Potem ojciec wynajmuje mieszkanie i rejestruje firmę Koedoe Manufacturing Works Ltd. w Phuthaditjhaba w bantustanie QwaQwa[6]. Koedow (Kudu) – tak miejscowi nazywają antylopy. Przenosimy się do QwaQwa i uruchamiamy szlifiernię kryształów. Towar i pracowników ojciec sprowadza z Polski. Mają przyuczyć tubylców do szlifowania szkła.

Nie znam angielskiego, ale się uczę. Bardzo szybko chcę mówić, żeby poczuć się tu dobrze. Jestem dyrektorem i zaopatrzeniowcem. Robię więc to, co

lubię najbardziej. Dużo jeżdżę, rozwożąc towar wyprodukowany w fabryce w QwaQwa. Dowożę do fabryki wszystko, co jest do tej produkcji konieczne: kwas do wytrawiania szkła i kamienie szlifierskie.



Janusz Waluś – pierwszy z lewej.
Fot. z archiwum rodzinnego Witolda Walusia

Mój ojciec jest jak stary lis. Może nie zna się najlepiej na kierowaniu zachodnią firmą, ale czuje zapach pieniędzy. Wie, że rząd południowoafrykański płaci dotacje firmom za zatrudnianie czarnych autochtonów. To są spore pieniądze, ale wpływają nieregularnie. Z bardzo słabą znajomością angielskiego chodzi do biur i rozdaje urzędnikom upominki z kryształu tak długo, aż trafi na właściwą osobę, która mu pomoże. Tak ojciec wychodził sobie ścieżkę i sprawił, że pieniądze z dotacji trafiały do niego natychmiast.

Czasami wszystkiego jest w bród, a czasami wszystko się wali i nie ma pieniędzy. Ojciec prowadzi interes jak hazard. Witold wycofuje się, a ja pozostaję z ojcem w kryształowym interesie aż do roku 1988, kiedy zaczyna się ostateczny upadek. Po likwidacji firmy ojciec wraca do Polski, gdzie zaczyna też upadać komunizm. Handluje tam kryształami i papierosami. Ma

firmę w Polsce i w Liechtensteinie. Kiedy odwiedzam go w Polsce w 1992 roku, proponuje mi udziały, ale nie przyjmuję oferty. Nie chcę wracać do Polski. Czuję się dobrze w Południowej Afryce.

Mam tu dobrą pracę. Jeżdżę na wielkich ciężarówkach przez RPA, Zimbabwe i Botswanę, w firmie bardzo przyzwoitego człowieka, pochodzącego z Rodezji Petera Jacksona. Był nie tylko moim szefem, ale też zaufanym przyjacielem.

Mam dobrą dziewczynę, Afrykanerkę młodszą ode mnie o 10 lat. Ma na imię Marija. Jesteśmy razem od 1983 roku.

Po oszustwie referendalnym de Klerka w 1992 roku[7], gdy okazuje się, że chce oddać władzę ANC, zastanawiam się nad wyjazdem z RPA. Odwiedzam nawet ambasadę Paragwaju, żeby coś więcej wiedzieć o Ameryce Południowej. Wygląda to atrakcyjnie, ale decyduję, że jeszcze trochę zaczekam. Wydaje się, że jest wystarczająco dużo ludzi zdeterminowanych do oporu.

Tu jest mój świat. Chcę go ochronić.

W styczniu 1993 roku Clive Derby-Lewis, który jest jedną z najważniejszych postaci Partii Konserwatywnej, włącza mnie do swojego planu zabójstwa, za które zostaję potem skazany. Zaangażowałem się w walkę dla kraju, co wiele razy już wcześniej mu deklarowałem.

Żadnego innego wyjścia wtedy nie widzę. Więc dzieje się to ze wszystkimi tego konsekwencjami”.

Pretoria – Constantia Park

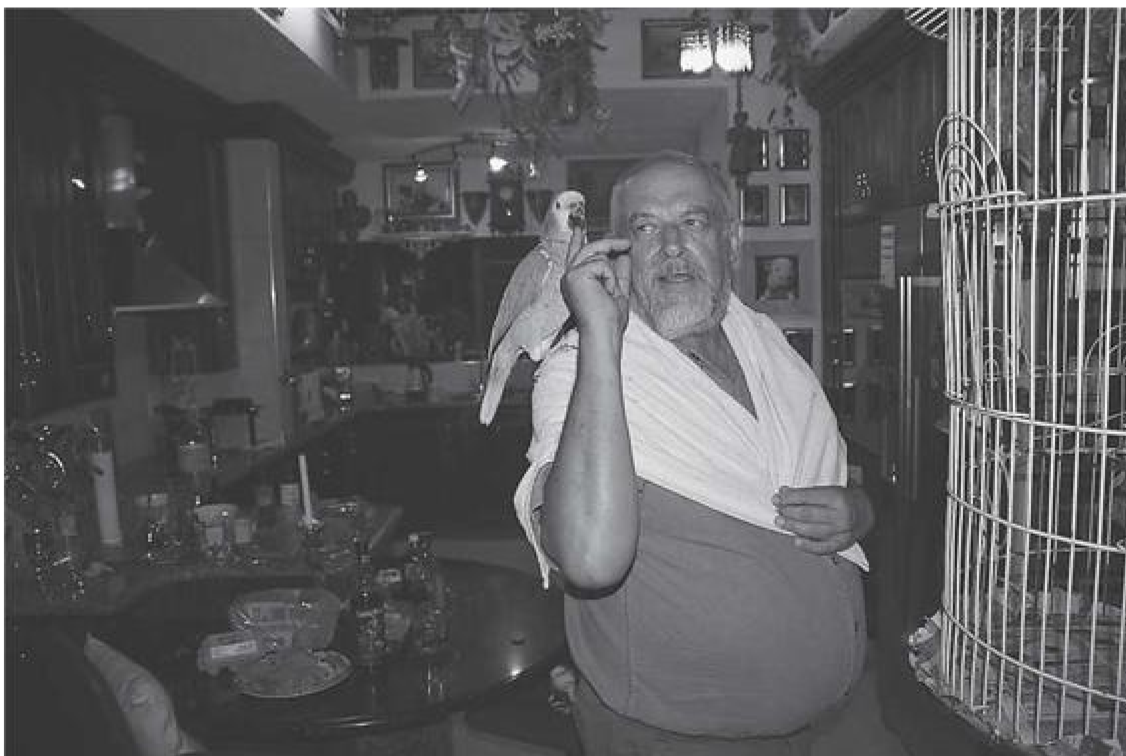
Pływając wieczorem w basenie przed domem, widzi się w dole połyskującą kolorowymi światełkami Pretorię. Dom stoi na wzgórzu w dzielnicy Constantia Park, na ekskluzywnych białych przedmieściach stolicy, za ogrodzonym płotem osiedla. Przy biało-czerwonych szlabanach zagradzających wjazd stoją czarni umundurowani strażnicy. Każdy dom wygląda jak twierdza. Wysoki mur, zasieki z drutu kolczastego albo instalacja

pod napięciem. Na płotach tabliczki z logotypami agencji ochroniarskich, które gwarantują, że dojadą w kilka minut po włamaniu.

Mieszkają tu głównie biali, których stać na własny basen, służbę i ogrodnika.

Na niewielkim wzgórzu, w domu z tropikalną roślinnością mieszka siedemdziesięciojednoletni Witold Waluś wraz z trzecią żoną, Dorotą. Ona jest lekarzem, prowadzi prywatną przychodnię w jednej z czarnych dzielnic, on – przedsiębiorcą i kolekcjonerem pojazdów wojskowych.

Trzydzieści pięć kilometrów stąd, na północ od miasta, jest dziesięciohektarowa działka, na której od lat tworzy prywatne muzeum sprzętu wojskowego. Są tam biura, warsztaty, magazyny, garaże, a na trawniku najcenniejsze eksponaty: czołgi, transportery opancerzone, wozy pancerne, samochody wojskowe, a nawet srebrny pasażerski DC-10, sprowadzony kilka lat temu z pobliskiego wojskowego lotniska Air Force Base Swartkop.



Witold Waluś.
Fot. Cezary Łazarewicz

To tu po odejściu z firmy ojca Witold założył swój własny biznes. Odkupywał od wojska ciężarówki, remontował je i sprzedawał do innych

afrykańskich krajów – Angoli, Nigerii i Sudanu.

To on w roku 1985 roku wręcza młodszemu bratu biuletyn antykomunistycznej Fundacji Stallarda, która zajmuje się przyciąganiem do afrykanerskojęzycznej Partii Konserwatywnej angielskojęzycznych zwolenników prawicy. Organizuje odczyty i spotkania z ciekawymi ludźmi. Jednym z nich jest angielski pisarz David Irving. Nie wierzy on w Holokaust i utrzymuje, że Hitler nic nie wiedział o mordowaniu Żydów w komorach gazowych. Uważa go za geniusza politycznej gry, a brytyjskiego premiera Winstona Churchilla za nieudacznika, który zrujnował imperium brytyjskie.

Na spotkanie z Davidem Irvingiem bracia Walusiowie idą razem.

Po prelekcji głos zabiera dyrektor Fundacji Stallarda – pięćdziesięciolatek z podkręconym wąsem i wyglądem emerytowanego londyńskiego dżentelmena.

Choć jest z Kapsztadu, to mówi z nienagannym akcentem angielskiego lorda. Mówi pewnie, z przekonaniem, które daje nadzieję, że sprawa nie jest jeszcze przegrana, że jak się zewrze szeregi i nie odpuści władzy, która próbuje pozbawić białych ojczyzny, to wszystko jest jeszcze możliwe.

Prezydentem Południowej Afryki jest wtedy Pieter Willem Botha, zwany przez przeciwników Wielkim Krokodylem (*Groot Krokodil*). Jest pierwszym przywódcą Partii Narodowej, rządzącej Południową Afryką nieprzerwanie od roku 1948, który podejmuje próbę zliberalizowania apartheidu. W 1983 roku wprowadza nową konstytucję, przyznaje w niej prawa polityczne Azjatom i kolorowym. W jego rządzie po raz pierwszy w historii pojawiają się niebiali ministrowie – kolorowy pastor Allan Hendrickse i Hindus Amichand Rajbansi. Legalizuje działalność związków zawodowych czarnej ludności, łagodzi przepisy zabraniające studiowania niebiałym na uniwersytetach, unieważnia ustawę o mieszanych małżeństwach, znosi zakaz uprawiania seksu między różnymi rasami. Świat oczekuje następnego kroku – zniesienia apartheidu i uwolnienia więźniów politycznych. Dwieście milionów ludzi czeka na to 15 sierpnia 1985 roku przed telewizorami na całym świecie, gdy Wielki Krokodyl zaczyna przemawiać na krajowym zjeździe Partii Narodowej w Durbanie. Historycy nazywają jego przemówienie *Rubikon*

Speech, bo powiedział, że nie ma powrotu do przeszłości, bo przekroczył Rubikon i nie zejdzie z drogi reform. Ale żadnego przełomu nie ma. Ponieważ zapowiedział, że nigdy się nie zgodzi, by każdy obywatel w Południowej Afryce miał takie same prawa wyborcze. „Nie ugnę się pod naciskiem światowej opinii i nie poprowadzę swego kraju drogą samozagłady" – stwierdza.

Gdy na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych prezydent Botha rozpoczyna demontaż apartheidu, rośnie mu we własnej Partii Narodowej opozycja. Najbardziej radykalni działacze uważają każdą próbę złagodzenia segregacji rasowej za zdradę. W 1982 roku uznają, że dalsze reformy P.W. Bothy stanowią zagrożenie dla białej mniejszości, i odchodzą z partii, tworząc Partię Konserwatywną Południowej Afryki (Conservative Party of South Africa). Partia Konserwatywna nie godzi się, by biali dzielili się władzą z innymi rasami. Jednym z dwudziestu trzech założycieli nowej partii jest wyglądający na angielskiego lorda dyrektor Fundacji Stallarda.

Nie narzeka, nie mazgai się, tylko próbuje sprostać wyzwaniom i szukać rozwiązań. Jego pomysł na ocalenie Republiki Południowej Afryki to polityka homelandów, czyli oddzielenie czarnych od białych, białych od kolorowych i Azjatów od czarnych. Niech każdy żyje osobno. Trzeba wyznaczyć terytoria, przesiedlić, dać autonomię, a z czasem może nawet niepodległość. Dzięki temu kręgosłup Południowej Afryki zostanie w białych rękach, czyli tych, którzy zbudowali z niczego bogactwo tego państwa.

Janusz jest pod wielkim wrażeniem wąsatego pilota z RAF-u. Po spotkaniu wręcza mu datek na działalność fundacji w wysokości tysiąca randów, czyli swoich miesięcznych zarobków.

Dyrektor fundacji jest wtedy jednym z najważniejszych polityków Partii Konserwatywnej i marzy o przejęciu władzy w RPA. Zaprasza poznanego właśnie Polaka na obiad do swego domu w Krugersdorpie.

Janusz Waluś jest wtedy kierowcą zaopatrzeniowcem szlifierni szkła w QwaQwa, rajdowym mistrzem Polski, posiada trzeci dan w karate, świetnie strzela z pistoletu, ale słabo jeszcze mówi po angielsku.

– Bardzo się z sobą zaprzyjaźnili – mówi Witold. – Kuba widział w nim swojego przywódcę. Ufał mu i był podporządkowany. Wierzył, że działają wspólnie dla dobra Południowej Afryki, by powstrzymać komunizm.

Widziałem później, że są bardzo mocno zaangażowani i że zaczynają konspirować, ale szczegółami nigdy się nie interesowałem.

Krugersdorp

Prezydent Fundacji Stallarda nazywa się Clive Derby-Lewis. Z zawodu jest biegłym księgowym, byłym dowódcą regimentu strzelców obrony cywilnej, strategiem politycznym i mózgiem konserwatystów, którzy oskarżają twórców apartheidu o zbyt liberalny kurs wobec czarnych.

Zaangażowany chrześcijanin, były katolik (na znak protestu przeciwko wspieraniu sił rewolucyjnych i teologii wyzwolenia zerwał z Kościołem katolickim i przystąpił do Afrykanerskiego Kościoła Protestanckiego tylko dla białych; Afrikaanse Ptotestantse Kerk głosi, że Bóg podzielił ludzkość na rasy i wyznaczył białym rolę przewodników dla zapóźnionych w rozwoju), prezydent antykomunistycznego think tanku Western Goals Institute w Londynie (zastąpił majora Rorento D'Aubuissona, dowódcę szwadronów śmierci z Salwadoru) i uczestnik Światowego Kongresu Ligi Antykomunistycznej w Brukseli.

Były radny, burmistrz, późniejszy poseł Izby Reprezentantów, członek rady prezydenckiej.

Południowoafrykański korespondent prasowy John Carlin z „The Independent" pisze, że pod koniec lat osiemdziesiątych Derby-Lewis został uznany za największego rasistę w parlamencie. Inne gazety przypominają jego najbardziej znany rasistowski bon mot: „Jeśli AIDS zatrzyma wzrost populacji czarnych, to będzie jak Święty Mikołaj"[8].

Na początku lat dziewięćdziesiątych poznaje go bliżej polski dyplomata X (prosi o anonimowość, bo dość ma polskiego piekła). X trafia do Pretorii z pierwszą grupą dyplomatów wysłanych z Warszawy, by nawiązali stosunki dyplomatyczne z Południową Afryką. Nie ma tu jeszcze wtedy nawet ambasady, bo socjalistyczna Polska z rasistowską Południową Afryką żadnych oficjalnych stosunków dyplomatycznych nie utrzymywała. Na razie Polska

kupuje dopiero działkę niedaleko uniwersytetu w Pretorii przy Amor Street, na której wkrótce stanie piętrowy biały budynek z dwoma skrzydłami.

W stolicy tętni życie polityczne państwa, ale parlamentarne toczy się tysiąc pięćset kilometrów stąd – w Kapsztadzie. X krąży więc między Pretorią a Kapsztadem, budując sieć kontaktów i politycznych wpływów. W Kapsztadzie poznaje Clive'a Derby-Lewisa. Zasiada on w komisji gospodarczej Rady Prezydenta Frederika Willema de Klerka.

Miły, dobrze ubrany, kulturalny, angielskojęzyczny, ale jeśli chodzi o kwestie segregacji rasowej – bardziej ortodoksyjny niż zwykli Afrykanerzy. X pamięta, że kręciła się wokół niego grupka miejscowych Polaków, bo był wpływowy i dużo potrafił załatwić.

– Dla tych prostych chłopaków z Radomia czy z Kielc, przyjeżdżających z szarego PRL-u do południowoafrykańskiego raju na ziemi, był mistrzem i nauczycielem – mówi X. – Gdy tu przyjeżdżali, dostawali od razu kredyty na domy, dobrą pracę i dobre zarobki. Dlatego że biali byli od razu lepiej traktowani niż ci, którzy mieszkali tu od wielu pokoleń. Oni naprawdę się bali, że jak czarni przejmą władzę, to wszystko im odbiorą. A Derby-Lewis miał na to wszystko receptę. Mówił, że nie można do tego dopuścić. Takich gotowych mu pomóc Walusiów było tam więcej, ale byli mniej zdeterminowani niż Waluś, by wszystko poświęcić.

Drażnił mnie tym swoim prymitywnym rasizmem, ale pod presją miejscowej Polonii, która go bardzo szanowała, przyjąłem zaproszenie do jego domu w Krugersdorpie. Przyjechałem na obiad i szybko zrobiło się bardzo niezręcznie. Zaczął wylewać pomyje na prezydenta de Klerka, u którego przecież jako dyplomata byłem akredytowany. To sytuacja niespotykana dla dyplomaty, dlatego szybko zmieniłem temat. Do końca obiadu starałem się już tylko rozmawiać o ogrodnictwie. Był przemiły, obiecywał pomoc i wsparcie w moim ogrodzie. Wyszedłem stamtąd tak szybko, jak to było możliwe.

A gdy tylko dojechałem do domu, zadzwonił telefon. Po drugiej stronie Derby-Lewis. Dziękuje za spotkanie, prosi, by pozdrowić moją francuską żonę. Mówi, że Francja to mądry kraj, że tak wiele dobrego tam się dzieje, że jest ktoś, kto chce zaprowadzić porządek w Europie i że jest zachwycony tym, co robi dla nas Jean-Marie Le Pen.

I na pożegnanie powiedział coś, co mnie zmroziło: „Bo my – biała rasa – musimy trzymać się razem". Nigdy więcej się z nim już nie spotkałem.

Intuicja mnie wtedy nie zawiodła. Bo wyobraża pan sobie, co by się stało, gdybym tego nie przerwał? Jak ja bym się wytłumaczył z tych kompromitujących kontaktów po zabójstwie Chrisa Haniego? Co by się stało, gdyby zaczęły wypływać w śledztwie informacje o bliskich kontaktach polskiego dyplomaty ze zleceniodawcą politycznego mordu?

Pretoria

O zamiarze zabicia Chrisa Haniego mówi tylko jednej osobie: Andrzejowi C., przyjacielowi z dzieciństwa. Poznają się pod koniec lat pięćdziesiątych na wakacjach w Sopocie. Tadeusz przywozi tam co roku całą rodzinę i wynajmuje jej dom. Andrzej ma wtedy sześć lat i mieszka po sąsiedzku. Przez całe lato chodzi z Walusiami na plażę i szwenda się z nimi po Monciaku. Dwadzieścia lat później zostaje wykwalifikowanym szlifierzem kryształów w firmie Walusiów i zaufanym rodziny. Pracuje w Radomiu i Kozienicach, a gdy Tadeusz Waluś przenosi na początku lat osiemdziesiątych firmę do Południowej Afryki, zabiera Andrzeja C. z sobą. C. wyjeżdża z całą rodziną: żoną i malutkim synem.

Bantustan QwaQwa, do którego trafiają wszyscy ściągnięci przez Tadeusza szlifierze, jest końcem świata. Początki mają trudne. Są odcięci od cywilizacji, bez znajomości języka i realiów życia w Afryce. Wszyscy mieszkają w domkach campingowych, ale lepsze to niż Polska stanu wojennego, gdzie wszystko jest na kartki. W QwaQwa są jedną wielką rodziną, której głową jest Tadeusz Waluś. Pięć dni w tygodniu szlifują kryształy, a w weekend grillują, piją piwo i się bawią.

Kiedy na widzeniu zapytałem Walusia o najbliższego przyjaciela z dzieciństwa, od razu wymienił C. i powiedział, że ten wciąż przychodzi, żeby odwiedzić go w więzieniu.

Mieszka na osiedlu parterowych domów przy głównej drodze do Menlyn Park – największego centrum handlowego w Pretorii. Nie można tam po prostu wejść. Wszystko jest otoczone murem, nie ma furtek ani drzwi,

a jedyną drogę zagradza wielka żelazna brama, której gość odwiedzający osiedle nie może otworzyć. Dopiero po wywołaniu gospodarza domofonem otwierają się żelazne wrota. To dla bezpieczeństwa. Bo po tysiącach napadów na domy białych w RPA miejscowym nic nie wydaje się przesadą. Stąd stalowe kraty w oknach, kamery i powszechnie montowane instalacje antywłamaniowe.

C. mówi, że wszystkiego o Afryce dowiadywali się od Witolda, który był tu najdłużej, znał język i stosunki. Opowiadał o wojnach burskich i twardym, walczącym z przeciwnościami losu burskim narodzie. Podziwiał Afrykanerów, był dumny z ich historii i czuł się jednym z nich.

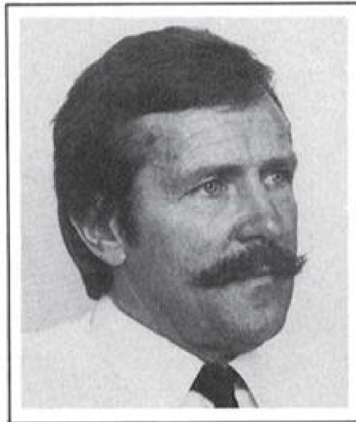
– A że Witek zawsze imponował Kubie, miał na niego duży wpływ, to stał się przewodnikiem po obcym świecie – mówi. – I to on zapoznał Kubę z Clive'em Derby-Lewisem.

Derby-Lewis jest ważną figurą polityczną – konserwatysta, antykomunista, jeden z liderów Partii Konserwatywnej, która umacnia się w parlamencie. Ma charyzmę, potrafi rozmawiać z ludźmi i przeciągnąć na swoją stronę niezdecydowanych. Szybko nawiązuje bardzo bliskie relacje. Kubę, którego w Polsce interesowały głównie auta i samochodowe rajdy, teraz wciąga polityka.

Pomaga w kampaniach wyborczych, jeździ na wiece, bierze udział w zebraniach partyjnych. W 1990 roku, po zwolnieniu z więzienia Nelsona Mandeli i zalegalizowaniu Afrykańskiego Kongresu Narodowego, zabiera C. na manifestację pod pomnikiem Voortrekkera w Pretorii. Konserwatywni Afrykanerzy przyszli tu zaprotestować przeciwko demontowaniu państwa segregacji rasowej. C. pamięta tłum stojący na wzgórzu, tysiące wzburzonych Afrykanerów i przemówienie szefa Partii Konserwatywnej Andriesa Treurnichta, który mówił, że muszą być gotowi do walki i znów będą musieli bić się o swoją wolność.

PUBLIC MEETING





SPEAKER: CLIVE DERBY-LEWIS
Member of the President's Council

DATE: Monday, 7 October 1991
TIME: 7.15 p.m. for 7.30 p.m.
PLACE: St. Andrew's Greek Church Hall,
Amajuba Street,
Noordheuwel.

CAN WE AFFORD THE "NEW" SOUTH AFRICA?

To accommodate the growing number of English-speaking supporters of the CP, the meeting will be conducted in English. Afrikaans-speakers are of course welcome!

REFRESHMENTS WILL BE SERVED

TEL.: 954-3551

Compiled & distributed by the Freedom Branch of the CP.
Box 1419, Krugersdorp 1740

Indentyfikator konferencyjny Clive'a Derby-Lewisa. Z archiwum Gaye Derby-Lewis

– Mnie to nie wciąga – mówi. – Popieram, ale się zbytnio nie angażuję, bo mam rodzinę, a Kuba jest samotny. Ma tylko tę afrykanerską dziewczynę, więc jest oddany sprawie bez reszty. Jest zszokowany tym, w jakim kierunku zmierza ten kraj i że biała dominacja się chwieje.

C. pracuje wtedy w firmie Witka Walusia jako mechanik na farmie pod Pretorią. Są tu magazyny, garaże, warsztaty i spory biurowiec z częścią mieszkalną, gdzie żyje z rodziną. Janusz przyjeżdżał zwykle swoją wielką ciężarówką, którą tam parkował. Przed samą Wielkanocą w 1993 roku pojawia się w innym celu. Prosi Magdę, żonę Andrzeja, by zamknąć psy. Mówi, że chce sprawdzić nowy pistolet, i idzie strzelać. Wraca po kwadransie. – Wtedy

zobaczyłem ten tłumik i się domyśliłem, że coś planuje – opowiada. – Powiedział, że chce zastrzelić Haniego. Dla niego był największym złem. Twardogłowym komunistą, który chce tu zbudować komunizm i zniszczyć państwo. Widział w nim dobrze wyszkolonego człowieka Moskwy, który chciał poświęcić życie rewolucji.

Nie mieliśmy przed sobą tajemnic, więc mogłem mu powiedzieć wprost: „Nie wygłupiaj się, to nie ma sensu”.

Tylko że on nie przyszedł się mnie radzić. Po prostu zakomunikował: „Zamierzam zabić Haniego”. Nie traktowałem tego poważnie. „Może się przechwala? Może się nie odważy?” – myślałem i zapomniałem o tej rozmowie. Zadzwonił kilka dni później. W Wielki Piątek. Prosił, bym do niego przyjechał. Chciał się napić piwa i pogadać. Namawiał, naciskał. „Sorry, nie składa się” – odpowiedziałem, bo z Grażyną szykowaliśmy już święta. Nie mogłem wszystkiego rzucić, by napić się z nim piwa.

Następnego dnia rano pojechaliśmy z Grażyną na zakupy, a jak wróciliśmy, to głośno już było o polskim emigrancie, który zastrzelił Chrisa Haniego. Nie miałem wątpliwości. Mimo że był obywatelem Południowej Afryki, zawsze o nim mówili „emigrant z Polski”.

Spotkałem się z nim przed procesem. Siedział w *maximum security* w Pretorii. Oddzieleni byliśmy pancerną szybą i rozmawialiśmy przez telefon. Wszystkie rozmowy były rejestrowane, więc trzeba było uważać, co się mówi. Później było już normalnie, ale nigdy do tego zdarzenia nie wracaliśmy.

Staram się go systematycznie odwiedzać. Rozmawiamy o tym, co się wydarzyło na świecie. Kuba czyta dużo gazet i książek. Wszystko bardzo przeżywa. Mówi, że dla Południowej Afryki rządzonej przez czarnych nie ma przyszłości.

CZĘŚĆ 3

Dawn Park

Jest Afrykanerką, ma trzydzieści sześć lat i nazywa się Retha Harmse. To ona, przejeżdżając obok domu towarzysza Chrisa Haniego, była świadkiem morderstwa.

„Drobna, szczupła blondynka mieszkająca z mężem w sąsiedztwie" – pisze o niej „The Star" z Pretorii. Dziennikarza „The Star" przyjmuje w domu jej mąż, Daan.

Mówi, że nigdy z sekretarzem generalnym Hanim się bliżej nie poznali, ale spotykał go biegającego po osiedlu, gdy sam wychodził na spacery. Wymieniali wtedy pozdrowienia.

„Nie akceptowałem może jego polityki, ale poznałem go jako przyjaznego człowieka – wspomina Daan, dziwiąc się trochę całemu temu zamieszaniu wokół żony i robieniu z niej bohatera. – Zrobiła to, co normalny człowiek powinien zrobić".

W Wielką Sobotę rano Retha Harmse wyrusza z rodzicami na świąteczne zakupy, ale po drodze orientuje się, że plastikowe torby, w które mieli je pakować, zostały w domu. Zawraca niebieską mazdę 323 i jedzie ulicą Deon. Gdy na końcu ulicy skręca w prawo, zauważa, że na podjeździe garażu domu Haniego za srebrną toyotą zaparkował jeszcze jeden samochód. Czerwony ford laser. To z niego musiał wysiąść ten biały mężczyzna, którego dostrzega stojącego między autami.

Przyhamowuje, gdy słyszy wystrzał. Dobrze widzi tego mężczyznę. Stoi na szeroko rozstawionych nogach z lekko ugiętymi kolanami, przed sobą trzymając oburącz pistolet. Samochód toczy się wolno, a ona patrzy na to, co dzieje się przed domem.

Między samochodem a bramą garażu leży na wznak ciało czarnoskórego mężczyzny.

Biały z pistoletem robi kilka kroków w jego stronę. Pochyla się, jakby chciał sprawdzić, co się z nim stało, ale zamiast udzielić mu pomocy, strzela dwa razy.

„Nie mogłam uwierzyć własnym oczom" – zeznała Harmse. Wyglądało to jak scena z filmu. Pierwsza myśl: „Ten biały musi być strażnikiem strzelającym do czarnego intruza".

We wstecznym lusterku widzi, jak mężczyzna wraca do samochodu i odjeżdża. Wrzuca wsteczny bieg i podjeżdża tak blisko, jak tylko można, by odczytać numery rejestracyjne czerwonego forda. „Pe Be Iks dwieście trzydzieści siedem Te" – czyta głośno i prosi rodziców, którzy siedzą na tylnym siedzeniu, by dokładnie zapamiętali.

Za chwilę dojeżdża do domu, podbiega do telefonu, wykręca numer 10111. Dyżurnemu policjantowi mówi, że przed chwilą ktoś został zastrzelony w Dawn Park.

Numer rejestracyjny czerwonego forda zostaje natychmiast rozesłany do wszystkich wozów patrolowych w okolicy. Posterunkowi Kobus Oliver i Quinton Du Toit, którzy znajdują się właśnie w południowych rejonach Boksburga, dostrzegają czerwone auto na ulicy Trichardts, zaledwie sześć kilometrów od miejsca zabójstwa. Samochód jedzie w kierunku centrum Boksburga, ale nie zgadza się jedna cyfra w numerze rejestracyjnym.

Dawn Park

Człowiek leżący na podjeździe to Martin Thembisile Hani, znany w Republice Południowej Afryki jako Chris Hani. Dla białych – „wściekły pies", dla czarnych – charyzmatyczny przywódca, prowadzący uciskany naród do zwycięstwa.

Śmiertelne są trzy z czterech oddanych do niego strzałów – pisze w protokole sekcji zwłok starszy patolog dr Patricia Klepp.

[Pierwsza kula przeszywa klatkę piersiową, powodując rozległe uszkodzenia narządów wewnętrznych – wątroby i nerek, dwa pozostałe strzały niszczą mózg i rdzeń kręgowy. Zgon nastąpił natychmiast. Na

podstawie śladów poparzeń i resztek prochu na skórze dr Klepp obliczyła, że wylot lufy pistoletu przy dwóch ostatnich strzałach był oddalony od głowy denata nie więcej niż trzydzieści centymetrów].

W podręcznikach historii można o nim przeczytać, że był piątym dzieckiem (ale drugim urodzonym żywym) Gilberta i Mary Hani ze wsi Sabalele na południowo-zachodnich wzgórzach Transkei, dwieście kilometrów od East London, jedynego większego miasta w tej okolicy. Pochodził z wiejskiej biedoty. Jego ojciec był niewykwalifikowanym robotnikiem, pracował dorywczo w kopalniach i na budowach, niepiśmienna matka zajmowała się domem, wychowaniem dzieci i hodowlą kóz.

W 1957 roku, gdy miał szesnaście lat, trafił do szkoły Instytutu Misyjnego w Lovedale w Kraju Przylądkowym (obecnie Prowincja Przylądkowa Wschodnia). Początkowo chce zostać księdzem, ale ostatecznie wybiera komunizm. Studiuje filologię angielską i klasyczną na jedynym uniwersytecie dla czarnych w Fort Hare w Ciskei. Tam poznaje pierwszych komunistów – Govana Mbekiego (ojca późniejszego prezydenta Południowej Afryki) i Raymonda Mhalby'ego (późniejszego dowódcę Umkhonto we Sizwe).



Sabalele, dom, w którym urodził się Chris Hani.
Fot. Cezary Łazarewicz

Południowoafrykańska Partia Komunistyczna została założona w 1921 roku przez urodzonego w Wielkiej Brytanii białego górnika Williama H. Andrewsa, ale szybko została zdominowana przez czarnych. W Afryce komuniści, jak na całym świecie, wierzą w Związek Radziecki, przewodnią siłę klasy robotniczej i rewolucję, która wyzwoli proletariat z kapitalistycznego ucisku. Tylko że tu ma to jeszcze wymiar rasowy – wyzyskiwaczami są wyłącznie biali, a wyzyskiwanymi – czarni i kolorowi. Komuniści walczą więc przede wszystkim z rasizmem. Partia komunistyczna w RPA nigdy nie była masowa, a po jej zdelegalizowaniu w 1950 roku i zejściu do podziemia stała się elitarna.

Na studiach Hani nie może się zdecydować. Co niedziela jest na mszy w kościele, ale też czyta *Manifest komunistyczny* Karola Marksa i Fryderyka Engelsa. Marksistą staje się później, gdy już pracuje w kancelarii prawniczej w Kapsztadzie. „Marksizm pomógł mi zrozumieć, że ucisk nie dotyczy tylko rasy, ale też klasy społecznej" – mówił.

W 1963 roku Hani skazany jest na osiemnaście miesięcy więzienia za kolportowanie komunistycznych ulotek. Za kratki nigdy nie trafia. Najpierw

się ukrywa, potem ucieka z kraju do Tanganiki, niedawnej brytyjskiej kolonii, która w 1961 roku odzyskała niepodległość. Tu, w Dar es Salaam, swoją siedzibę ma Afrykański Kongres Narodowy i tu chronią się jego wygnani przywódcy: Oliver Tambo i Duma Nokwe.

Zostaje wysłany do Moskwy na roczne szkolenie wojskowe obejmujące zasady prowadzenia wojny partyzanckiej i podziemnej konspiracji. Wraca w sierpniu 1964 roku. Trafia do wojskowego obozu Umkhonto we Sizwe w Kongwa na terenie Tanzanii. Zostaje tam obozowym politrukiem odpowiedzialnym za szkolenie polityczne i morale. Bojownicy Umkhonto we Sizwe czekają na wybuch powstania przeciwko białym. Gdy w latach sześćdziesiątych przez Afrykę przetacza się dekolonizacyjna fala powstań, przywódcy Afrykańskiego Kongresu Narodowego są przekonani, że tylko na drodze zbrojnego powstania można odzyskać Południową Afrykę z rąk białych.

Trzy lata później, w lipcu 1967 roku, Hani z pięćdziesięcioma partyzantami przekracza rzekę Zambezi i wkracza do Rodezji. W czasie akcji dzielą się na dwa oddziały: jeden ma założyć bazę partyzancką wewnątrz kraju, drugi przedrzeć się do Południowej Afryki. Operacja The Wankie Campaign zakłada stworzenie drogi przerzutowej ludzi i broni przez Rodezję do Południowej Afryki na wzór wietnamskiego szlaku Ho Chi Minha. Rodezją rządzi wtedy rasistowska partia Front Rodezyjski, która dwa lata wcześniej ogłosiła niepodległość brytyjskiej kolonii.

Hani jest jednym z dwudziestu dziewięciu żołnierzy Umkhonto we Sizwe, którzy przedzierają się do południowej granicy Południowej Afryki. Rodezyjskie siły zbrojne wpadają na ich trop już po trzech dniach od przekroczenia granicy, a po siedemnastu są namierzeni przez samolot zwiadowczy. Dwudziestego dnia marszu zostają ostrzelani przez wojska rodezyjskie. Ginie wtedy dwóch partyzantów. Następnego dnia kolejna strzelanina. I kolejne ofiary. Ostatecznie po dwóch miesiącach walk do granicy z Botswaną dociera tylko siedem osób.

Z militarnego punktu widzenia operacja The Wankie Campaign w Rodezji jest klęską, bo partyzantom nie udało się zrealizować żadnego wyznaczonego celu, ale z propagandowego – wielkim sukcesem, bo rodzi się legenda

czarnych wojowników z Umkhonto we Sizwe, a Hani staje się symbolem oporu i walki.

W 1974 roku dowództwo Umkhonto we Sizwe wysyła go do Lesotho, państwa leżącego w środku Południowej Afryki. W Maseru przy północno-wschodniej granicy ma założyć partyzancką bazę, skąd najlepiej atakować cele w RPA. Jego dom żołnierze nazywają „Moskwą" i jest to miejsce pilnie poszukiwane przez apartheidowskie służby specjalne. Po dwóch próbach wysadzenia w powietrze samochodów Haniego dowództwo przerzuca go w 1982 roku z Lesotho do Angoli. Ma zaprowadzić porządek w obozach Umkhonto we Sizwe. Głównym ich problemem jest nadmiar rekrutów i brak możliwości przerzucenia ich do kraju. W latach osiemdziesiątych więc zajmuje się tam gaszeniem bojowych nastrojów w oczekiwaniu na przełom.

Wszystko zmienia się 2 lutego 1990 roku. Telewizja transmituje wtedy przemówienie nowo wybranego białego prezydenta Południowej Afryki Frederika de Klerka, który zupełnie niespodziewanie zapowiada likwidację apartheidu, zwolnienie więźniów politycznych, zalegalizowanie Afrykańskiego Kongresu Narodowego, a nawet Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej. Obiecuje też wolne wybory, w których po raz pierwszy będą mogli brać udział czarni i kolorowi wyborcy.

Jako akt dobrej woli 11 lutego 1990 roku RPA wypuszcza z więzienia po dwudziestu siedmiu latach Nelsona Mandelę, najgroźniejszego przeciwnika apartheidu. Trzy miesiące później prezydent de Klerk podpisuje z nim porozumienie o pokojowym procesie prowadzenia negocjacji zmierzających do wygaszania segregacji rasowej w RPA (porozumienie z Groote Schuur).

Dwudziestego ósmego kwietnia 1990 roku, korzystając z ogłoszonej przez rząd amnestii, po raz pierwszy od dwudziestu ośmiu lat Hani ląduje na lotnisku marszałka Jana Smutsa w Johannesburgu. Wreszcie może legalnie wjechać na teren Republiki Południowej Afryki. „Żyłem w cieniu śmierci przez większość życia. Nikt nie chce umierać. Teraz chcę żyć w wolnej Południowej Afryce. I jestem gotów za to umrzeć"[9] – mówi po przyjeździe.

Zostaje wybrany na sekretarza generalnego Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej, największej i najważniejszej organizacji czarnych po

Afrykańskim Kongresie Narodowym. Staje się jednym z głównych negocjatorów pokojowego procesu likwidacji apartheidu.

W sierpniu 1990 roku jako szef sztabu Umkhonto we Sizwe ogłasza zawieszenie walki zbrojnej. To gest dobrej woli, który ma pokazać wsparcie dla procesu negocjacji z białymi. (Jednocześnie ostrzega: jeśli rozmowy nie zakończą się sukcesem, czarni partyzanci wrócą do walki).

Rok później zrzeka się dowództwa w Umkhonto we Sizwe. „Wyznaczone partyzantom cele można teraz osiągnąć metodami pokojowymi" – mówi.

W marcu 1992 roku biali mieszkańcy Południowej Afryki głosują w referendum, czy są za odrzuceniem systemu apartheidu. Ponad milion dziewięćset tysięcy (68,7 procent) jest – za. Osiemset siedemdziesiąt tysięcy – przeciw.

W grudniu 1992 roku Instytut Markinor publikuje badania popularności południowoafrykańskich polityków. Zaraz po Mandeli Hani jest najpopularniejszym politykiem RPA. Swoją popularność wykorzystuje teraz po to, by przekonać czarnych radykałów, że warto z białymi rozmawiać.

„Rzucił na szalę cały swój autorytet przywódcy i prestiż wojskowy, by bronić tych negocjacji" – pisze o nim Jeremy Cronin w książce *They Shaped Our Century. The Most Influencial South Africans of Twentieth Century* (*Oni ukształtowali nasze stulecie. Najbardziej wpływowi Południowoafrykańczycy w XX wieku*), a Michele Berger w *Chris Hani. They Fought for Freedom* (*Chris Hani. Oni walczyli za wolność*) opisuje, jak przekonywał przeciwników pokojowych negocjacji: „Rozmowy z rządem nie są oznaką naszej słabości. Jest to raczej znak naszej gotowości, by rozwiązać konflikt w Południowej Afryce z minimalną ilością przelanej krwi".

***

Historyczny moment opuszczenia więzienia Victor Vester przez Nelsona Mandelę w lutym 1990 roku żona Chrisa Limpho Hani nagrywa na taśmę VHS w swoim domu w Maseru w Lesotho. Chris w tym czasie spotyka się z Fidelem Castro na Kubie.

Latem rodzina Hani podejmuje decyzję, że wraca do Południowej Afryki na stałe. Limpho wyrusza do RPA szukać mieszkania i szkoły dla najmłodszej

córki, dziesięcioletniej Lindiwe. (Jej najstarsza siostra, siedemnastoletnia Neo, studiuje w Cape Town w RPA, a dwunastoletnia Nomakhwezi uczy się w liceum Machabeng High w Lesotho). Wybierają okolice Johannesburga. Cztery godziny jazdy samochodem z Maseru.



Nelson Mandela i Chris Hani, 1990 rok. Copyright: Gallo Images / Contributor

Osiedle Dawn Park, na białych przedmieściach Boksburga, zamieszkują głównie konserwatywni Afrykanerzy. Ale nowy prezydent Frederik de Klerk zniósł przepis ograniczający czarnym osiedlanie się w białych dzielnicach. Dawn Park to osiedle zadbanych domków, zielonych trawników, rajskich ogrodów z basenami. (Dziś ogrodzonych wysokimi płotami z drutem kolczastym i instalacjami alarmowymi).

Do nowego domu przy Hakea Crescent 2 rodzina Hani wprowadza się w grudniu 1990 roku. Dom jest znacznie większy i bardziej luksusowy niż ten pozostawiony w Lesotho. Wchodzi się wprost do wielkiego salonu, na którego końcu są przesuwane szklane drzwi, a za nimi ogród z basenem.

Pytany, dlaczego właśnie tam, Hani odpowiadał: „Po tych wszystkich latach podziemnych zmagań sądzę, że jestem winien to mojej rodzinie, powinienem zapewnić jej stabilność. Moja żona i dzieci zasługują na normalne rodzinne życie”[10].

Zwykle nie jada śniadań. Wstaje przed szóstą, wkłada dres i idzie biegać po osiedlu. Potem przyjeżdżają ochroniarze i jeździ z nimi aż do wieczora. Wożą go do siedziby partii w centrum Johannesburga albo na wiece po całym kraju. Dziennie potrafi przemawiać na trzech, a nawet czterech spotkaniach.

Rzadko wraca do domu przed dwudziestą drugą.

W czwartek 8 kwietnia 1993 roku też przyjeżdża późno. Rano wyjechał w swoje rodzinne strony do Transkei, a wieczorem był gościem telewizyjnego programu *Agenda*, gdzie spierał się z czarnym radykałem Bennym Aleksandrem, sekretarzem generalnym Kongresu Panafrykańskiego, czy rozmowy z białymi mają jeszcze sens.

Gdy pojawia się w domu nocą, zdejmuje rozwieszone na sznurkach pranie i idzie spać.

W piątek rano 9 kwietnia Limpho z najmłodszą córką Lindiwe wyjeżdżają samochodem do rodzinnego domu w Maseru w Lesotho. Chris wychodzi przed dom, by się z nimi pożegnać.

Na Dawn Park zostaje pod jego opieką czternastoletnia Khwezi.

Benoni

Według akt posterunkowi Kobus Oliver i Quinton Du Toit zatrzymują czerwonego forda lasera o godzinie 10:20 w centrum Boksburga, na rogu ulic Louis Trichardt i Market Street, około 10 kilometrów od miejsca zabójstwa.

Kierowca nie stawia oporu.

„Powiedział, że wraca z zakupów w Centrum Handlowym Dawn Park” – napisali w raporcie posterunkowi Oliver i Du Toit.

W jego samochodzie znajdują dwa pistolety, cztery magazynki, amunicję, nóż i tłumik. Zatrzymanego przewożą do Wydziału Zabójstw i Rozbojów w Benoni. Śledztwo prowadzi sierżant Mike Holmes, który po godzinie od

przywiezienia podejrzanego na posterunek zabiera go do jego mieszkania w Pretorii. Tam o 14:00 rozpoczyna się rewizja. W szufladzie kredensu policjanci znajdują trzy kartki z wystukanymi na maszynie nazwiskami i domowymi adresami najważniejszych przeciwników apartheidu. („Hit List" – tak nazywać będzie je prasa. Będzie to wkrótce najważniejszy dowód, mający świadczyć o istnieniu wielopoziomowego spisku). Przy nazwisku Nelsona Mandeli jest ręcznie dopisana cyfra jeden, a przy nazwisku Joego Slova, niedawnego sekretarza generalnego Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej, cyfra dwa. Trójka jest postawiona przy nazwisku zastrzelonego Chrisa Haniego. Waluś, który przygląda się temu, mówi do prowadzącego przeszukanie sierżanta Holmesa: „Mike, myślę, że znalazłeś coś, co sprawi ci radość")[11].

***

Po rewizji zostaje ponownie przewieziony do aresztu w Benoni. W księdze zdarzeń aresztu zapisana jest informacja, że w sobotę 10 kwietnia 1993 roku o godzinie siódmej wieczorem trafia do celi.

Dwie godziny później zostaje wyprowadzony na pierwsze przesłuchanie. Na czwartym piętrze w budynku biurowym posterunku odpytuje go porucznik Mike Holmes. Waluś odmawia odpowiedzi na wszystkie pytania dotyczące zabójstwa. Trwa to prawie osiem godzin.

(Powrót do celi: niedziela 11 kwietnia 1993, 3:45).

Po godzinie i trzech kwadransach śledztwo jest kontynuowane. Tym razem przez drugi zespół śledczych. Trzej sierżanci (Bietge, Gilmer i Botha) też nie są w stanie dowiedzieć się niczego więcej o motywach zabójcy. Waluś milczy albo mówi, że nie odpowie na pytanie. Między dziesiątą a jedenastą pojawia się znów na komisariacie sierżant Holmes. Zabiera podejrzanego na wizję lokalną. Jadą pod budynek szkoły karate Stana Schmidta, gdzie Waluś miał odbyć trening, pod sklep Apex, gdzie kupił amunicję, pod dom na Hakea Crescent, gdzie wypatrzył Haniego. Holmes mierzy czasy przejazdu pomiędzy kolejnymi punktami, ale coś mu się nie zgadza. Podejrzany wyjaśnia, że stracił trochę czasu, bo pomylił drogę i zamiast pod dom Haniego trafił do pobliskiego centrum handlowego. Tam kupił colę lub fantę (dokładnie nie pamięta). Nie jest też w stanie powiedzieć, co się stało z pustą

puszką. (Ten trop brakujących kilku minut nigdy dokładnie nie zostanie wyjaśniony w śledztwie). Sierżant Holmes notuje: „Waluś nadal odmawia składania zeznań, a pytany o szczegóły zabójstwa, odpowiada: Czytaj między wierszami, ale nie pytaj mnie o to więcej, ponieważ stawka jest bardzo wysoka".

Dawn Park

W Wielką Sobotę 10 kwietnia 1993 roku czternastoletnia Nomakhwezi Hani wstaje bardzo wcześnie. Mają z ojcem napięty harmonogram na dziś.

Tata ma ją zawieźć na sąsiednie osiedle Spruitview, gdzie ma umówioną wizytę u fryzjera. Gdy ona będzie w salonie, ojciec w tym czasie ma spotkać się z kilkoma swoimi znajomymi. Po południu ona ma zostać w domu, a on jechać na mecz eliminacji Pucharu Afryki między RPA a Mauritiusem na miejskim stadionie w Johannesburgu. Nic z tego nie wyjdzie, bo spod bloku w Muckleneuk wyjeżdża już czerwonym fordem laserem Janusz Waluś.

Na razie jest kilka minut po dziewiątej. Khwezi rozmawia ze znajomymi przez telefon, ojciec szykuje się do wyjścia. Mówi, że jedzie po gazetę, i przed zamknięciem drzwi rzuca żartobliwie: „Tylko nie gadaj bez końca".

Gdy za kilka chwil brzęczy dzwonek w drzwiach, ona wciąż jeszcze wisi na telefonie. „Muszę kończyć" – rzuca do słuchawki i krzyczy do ojca stojącego przed zamkniętymi drzwiami: „Już idę". Wtedy słyszy huk. Jakby ktoś przebił balon. A potem następny i następny. Biegnie więc do drzwi, otwiera. Przed domem ojciec leży w kałuży krwi. Jest w swoim ulubionym niebieskim dresie i się nie rusza.

W sąsiednim domu spikerka telewizyjna Noxolo Grootboom też słyszy huk, a zaraz po nim dziewczęcy pisk. Wychodzi przed dom zobaczyć, co się dzieje. Widzi córkę Haniego biegnącą ulicą. „Zabili mojego tatusia!" – krzyczy dziewczyna zalana łzami.

„Przytuliłam ją, potem poszłam zobaczyć, co się tam stało – powiedziała reporterom dziennika »The Star«. – Widziałam martwego Chrisa, leżał tam, wciąż ściskając w ręku gazetę".



Galeria handlowa Dawn Park, gdzie Chris Hani kupił gazetę na krótko przed śmiercią.
Fot. Cezary Łazarewicz

Po chwili są już telewizyjne kamery i Południowa Afryka ogląda na żywo policjanta Fransa Malherbego, który potwierdza oficjalnie, że dokonano zamachu na sekretarza generalnego Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej. „Nie mogę na razie nic więcej powiedzieć poza tym, że zgon pana Haniego nastąpił natychmiast” – mówi.

Wszystko widać w telewizyjnych przekazach.

Na jasnoczerwonej kostce brunatnoczerwoną plamę dzieli na dwie części bezwładna głowa czarnego mężczyzny. Leży na plecach, otoczony wianuszkiem czarnych nóg. To na zbliżeniu, a w planie ogólnym tłumy na wąskich uliczkach osiedla i zaciśnięte w pięści dłonie. Przez to zgromadzenie przedziera się zwalisty facet w fioletowym dresie z kreszu. To Tokyo Sexwale, przyjaciel zmarłego, jego sąsiad (mieszka tuż za rogiem) i przewodniczący lokalnych struktur ANC. Nachyla się nad krwawą plamą i kładzie na piersi Haniego czarno-zielono-żółtą flagę Afrykańskiego Kongresu Narodowego.

To on jest tu najważniejszy i to on udziela pierwszych wywiadów. Później zjawią się schorowany, podpierający się laską Oliver Tambo i Winnie

Mandela.

Kamery skupiają się na łzach.

„To jest czas, żeby płakać" – mówi do kamery człowiek w kreszu.

Tych, co płaczą, widać wzdłuż ulic Deon i Hakea Crescent, gdy próbuje się przebić przez nich żółty karawan. Wokół samochodu żołnierze w mundurach moro, z wycelowanymi w ziemię karabinami.

Jest dwunasta pięćdziesiąt. Południowa Afryka ogląda, jak spod domu wynoszą ciało na stalowych noszach i wkładają je do żółtego vana. Samochód rusza powoli, a tłum podnosi pięści i śpiewa partyzancką pieśń gniewu:

Thin' abantu boMkhonto sizimisele
Ukuwabulala wona amaBhunu
Hamba kahle Mkhonto Mkhonto
Mkhonto weSizwe

My, ludzie z Włócznią, chcemy
Zabić tych Burów
Prowadź nas dobrze, Włócznio
Włócznio Narodu

***

Limpho Hani o śmierci męża dowiaduje się późnym popołudniem w Maseru w Lesotho. Jest czterysta kilometrów od Dawn Park. Wsiada w samochód i wracają z córką do domu, gdy jest już ciemno. Na wąskich uliczkach osiedla wciąż stoi tłum.



Miejsce śmierci Chrisa Haniego.
Fot. Cezary Łazarewicz

„Jak tylko wysiadłam, zobaczyłam na betonowym podjeździe ciemną plamę krwi – napisała potem Lindiwe. – Zastanawiałam się, czy to naprawdę się wydarzyło, czy może to jakieś straszne nieporozumienie. Znalazłam odpowiedź, gdy zobaczyłam zdruzgotaną twarz Khwezi. Wpadłyśmy sobie w ramiona i płakałyśmy. Czułam, że nasze łzy nigdy się nie skończą".

Dom jest teraz pełen ludzi, których Lindiwe nie zna. Kręcą się po wszystkich pomieszczeniach. Żadnej intymności. Lindi i Khwezi zamykają się przed nimi w sypialni. Zaszywają się tam na noc, wtulają w siebie i tak zasypiają. Khwezi nieprzerwanie szlocha i przez łzy opowiada młodszej siostrze, co się tu w ciągu ostatnich godzin stało. O porannych planach, o wypadzie ojca po gazetę, o dzwonku do drzwi, o strzałach, które słyszała.

„Ma ogromne poczucie winy, że niewystarczająco szybko podbiegła do tych zamkniętych drzwi – pisze Lindiwe. – Że przez nią ojciec musiał tam czekać".

Pretoria – Kgosi Mampuru II

Nie możesz od razu zakładać, że się nie uda, ale na wszystko musisz być przygotowany.

Że cię złapią albo zastrzelą – też.

Musisz mieć plan, co dalej. Mój jest prosty. Wracam do domu i czekam tam na wiadomość od Clive'a.

Mam wrócić i żyć normalnie. Po świętach planowałem jechać z towarem do Zimbabwe albo Botswany. I nikt by tych sznurków na pewno nie powiązał, gdyby nie ta biała kobieta.

Odjeżdżając stamtąd, wierzyłem, że mam jeszcze szansę. Dlaczego miałaby na mnie donieść? Wierzyłem w powodzenie, nawet wtedy, kiedy zauważyłem koło Boksburga białego policyjnego nissana sentrę. Auto było nieoznakowane, ale w środku siedzieli umundurowani policjanci. Przez pewien czas jechali za mną, a potem mignęli kierunkowskazem, dodali gazu i odjechali. Kamień spadł mi z serca.

Ale nie zniknęli. Widziałem ich przez cały czas przed sobą. Trochę mnie to niepokoiło, ale pomyślałem, że lepiej mieć ich z przodu niż z tyłu.

W Boksburgu były jakieś roboty drogowe, pozamykali pasy, droga się zwęziła i zaczęły tworzyć się korki. Raz jeden pas wolny, raz drugi. Jechałem slalomem, a oni ciągle w pobliżu. Raz ja ich wyprzedzam, raz oni mnie. I nagle, przy kolejnej mijance, dają znak, żebym zjechał na pobocze. Robią to tak, jakby mnie zatrzymywali za przekroczenie prędkości. Miałem nadzieję, że to tylko jakaś rutynowa kontrola.

Było ich dwóch. Obaj biali. Jeden bardzo przyzwoity, ale ten drugi – typowy rozwalający państwo zwolennik de Klerka. O tym dowiedziałem się później.

Nawet nie wyciągnęli broni. „Można by się ich łatwo pozbyć". Taka myśl przeleciała mi przez głowę. Ale nawet gdyby to byli czarni, byłoby to sprzeczne z tym, o co walczymy.

„Dlaczego mieliby mnie posądzać?" – myślę sobie i udaję rozluźnionego.

Nie wiedziałem wtedy, że policja miała mój numer rejestracyjny. I że kobieta pomyliła tylko jedną cyfrę.

Że jest źle, stało się jasne, gdy zapytali o broń. To już nie mógł być przypadek. Dałem im swój nieużywany pistolet. Powąchali lufę. Nic nie wyczuli. Trochę ich to zbiło z tropu. A mnie zostawała już tylko nadzieja, że nie będą przeszukiwać samochodu. Ale szybko się zorientowali.

Broń miałem schowaną w sportowej torbie na tylnym siedzeniu. Gdy znaleźli pistolet, zaczęli działać profesjonalnie i bardzo ostrożnie.

Zakuli mnie w kajdanki, posadzili w moim samochodzie na miejscu pasażera. Jeden prowadził moje auto, drugi jechał za nami i ubezpieczał. Nic już zrobić nie mogłem. Wiedziałem, że moje życie się kończy. Że z tego nie wyjdę.

A najgłupsze, że dałem się złapać z bronią w ręku. Wyrzuciłbym ten pistolet, ale Clive zabronił. „Będzie nam jeszcze potrzebny – mówił. – Nie wiadomo, co nas w przyszłości czeka".

Gdybym go nie posłuchał, może byłbym wolny.

***

Zawieźli mnie na posterunek w sąsiadującym z Boksburgiem miasteczku Benoni.

Z początku nie jest źle. Do celi przychodzi dwóch sympatycznych, uśmiechniętych młodych policjantów. Gratulują mi i dziękują. Przynoszą mi wielkiego burgera i colę. Przepraszają, że nie mogą postawić mi piwa, bo to za duże ryzyko. Boją się stracić pracę. Proszą o zachowanie tajemnicy.

Ale cela jest brudna. Woda stoi na podłodze i materac jest mokry. Zastanawiam się, czy to zaniedbanie, czy element zmiękczający.

Przesłuchują mnie na przemian trzy grupy śledczych. Jedni kończą, drudzy zaczynają. Bicie? Mnie nie bili. Grozili, ale nie bili. To nie zawsze jest skuteczne, bo bity do wszystkiego może się przyznać.

Mnie wzięli na wycieńczenie. Tydzień przesłuchań non stop, praktycznie bez snu.

Kiedy mnie zatrzymują, mówią tę policyjną formułkę, na którą nikt nie zwraca uwagi, a która jest bardzo ważna, o tych pytaniach, na które można nie odpowiadać, ale jak się już coś powie, to mogą to wykorzystać przeciwko tobie.

Ja chcę być sprytniejszy od nich i myślę sobie, że będzie mądrzej, jeśli na niektóre pytania będę odpowiadał, a na inne – nie. To wielki mój błąd, wielka głupota i naiwność. Weźmy to na prostą logikę. Po co oni o to wszystko pytają? Po to, żeby wyciągnąć z nas jak najwięcej i wykorzystać w śledztwie. Każda informacja jest dla nich wartościowa.

Potrzebowali szybkiego sukcesu, bo kraj stanął na granicy załamania, co miało pomóc naszym planom. Wierzyłem, że po śmierci Chrisa Haniego coś się zacznie tu dziać. Że Murzyni wyjdą na ulicę, będą zamieszki i wojsko, które wtedy nie było

zniszczone, przejmie władzę, zaprowadzi porządek i skończą się te ustępstwa. Nam nie chodziło o zakonserwowanie apartheidu, ale stworzenie czegoś nowego. Chodziło o to, żeby biali głosowali na białych, a czarni na czarnych. Żeby oddzielić jednych i drugich. By czarni mieszkali w swoich homelandach i sami o sobie decydowali, a my o sobie. Przede wszystkim o niedopuszczenie do integracji szkół i osiedli mieszkaniowych.

Wiedziałem, że jestem ostatnim ogniwem w łańcuchu, który ma zatrzymać zmiany w kraju. Nade mną jest Clive – od niego dostaję rozkazy, on jest moim przywódcą. O innych zaangażowanych w spisek nic nie wiem, ale wierzę, że są i się teraz włączą. Czekam.

W areszcie dochodzą mnie wieści o wybuchach zamieszek w Soweto i gdzie indziej. O to przecież chodziło Clive'owi! Więc mam nadzieję, że to może być początek przejmowania przez wojsko władzy i zaprowadzania nowego porządku.

Jeśli w ręce wroga wpada agent, to przyjmuje się, że w czterdzieści osiem godzin zostanie złamany. Takie obowiązują zasady w służbach wywiadowczych. W tym czasie jego wspólnicy muszą zadziałać.

Ja im już dałem cały tydzień. Na przesłuchaniach w ogóle nie odpowiadam na pytania o zamach, nic, co mogłoby im pomóc trafić na innych. Clive ma swoje kontakty w wojsku i w policji. Powinien je teraz szybko uruchomić. Czekam, aż wdroży swój plan i przystąpi do działania. A gdy wojsko sprawy państwa weźmie w swoje ręce, to mi na pewno pomogą. Więc wypatruję w areszcie tej pomocy. Że zjawi się ktoś i spróbuje mnie z tego wyciągnąć.

Benoni

To, co się wydarzyło w ciągu pierwszych dni po aresztowaniu Janusza Walusia, można odtworzyć na podstawie księgi zdarzeń aresztu w Benoni i dziennika śledztwa.

Poniedziałek, 12 kwietnia. Całodzienne przesłuchania w Wydziale Zabójstw i Rozbojów komisariatu w Boksburgu. Sierżant Vorster pyta o organizacje, z którymi Waluś był związany – założoną przez Clive'a Derby-Lewisa Fundację Stallarda, promującą afrykanerskie państwo wśród angielskojęzycznych białych, i o paramilitarną bojówkę AWB (Afrikaner

Weerstandsbeweging) Eugène'a Terre'Blanche'a, która walczy o powołanie białego państwa burskiego.

„Podejrzany odmawia składania wyjaśnień" – notuje oficer.

Wtorek, 13 kwietnia. Miejski sąd w Boksburgu. Niedaleko miejsca, gdzie policyjny patrol zatrzymał trzy dni wcześniej Janusza Walusia.

Rozprawa aresztowa toczy się przy najwyższych środkach bezpieczeństwa. Na dachach snajperzy z gotową do strzału bronią, wokół sądu setka ciężko uzbrojonych policjantów. O 8:30 zabójca Chrisa Haniego pojawia się tam w szarozielonym garniturze. (Dzień wcześniej garnitur i jasnozieloną koszulę przywiózł mu do aresztu brat Witold). Po krótkiej rozprawie sąd decyduje, że Waluś pozostanie w areszcie przez najbliższy miesiąc, do czasu zakończenia policyjnego śledztwa. „Jedyną oznaką napięcia są jego zaciśnięte szczęki" – relacjonuje reporter „The Star"[12].

Policyjny brygadier Frans Malherbe skarży się dziennikarzom na konferencji prasowej, że śledztwo nie posuwa się naprzód. „Waluś w ogóle nie współpracuje ze śledczymi" – mówi.

Środa, 14 kwietnia. Pojawia się jeszcze jedna para śledczych – kapitan Nick Deetlefs i sierżant Grimbeeck. Rano o 10:30 wiozą aresztowanego ponownie do jego mieszkania przy Bourke Street w Pretorii (105 Milewanda Flats, Bourke Street). Zabierają z sobą pozostałe dokumenty: biuletyny partyjne, listy, notatki, rodzinne fotografie.

W nocy z czwartku, 15 kwietnia na piątek, 16 kwietnia Waluś znów odmawia składania zeznań, ale atmosfera robi się mniej formalna, a nawet przyjazna. Kapitan Deetlefs, przeglądając rodzinne albumy, dopytuje go o poszczególne osoby na fotografiach. „Przesłuchanie odbiega od standardów i prowadzone jest w bardzo przyjaznej atmosferze w formie przyjacielskich plotek" – zezna potem Waluś.

Kapitan Deetlefs otwiera się nawet w pewnym momencie przed aresztantem. Tłumaczy, że nie jest zwykłym gliną, tylko funkcjonariuszem departamentu bezpieczeństwa policji. Departament zajmuje się od lat zwalczaniem terroryzmu, czyli Afrykańskiego Kongresu Narodowego i Umkhonto we Sizwe. Ze zrozumiałych względów nie potępia więc

zabójstwa Haniego, a nawet rozumie. I że tak myśli większość policjantów z departamentu bezpieczeństwa.

W nocy z piątku na sobotę przesłuchanie jest kontynuowane. Znów przypomina to bardziej towarzyskie spotkanie kolegów niż dociskanie do ściany mordercy. Kapitan Deetlefs jest jeszcze bardziej otwarty. Zwierza się przesłuchiwanemu, że też jest zwolennikiem białej Afryki i z sierżantem Bietge'em stanowią patriotyczną komórkę oporu, infiltrującą policję od wewnątrz. Podlegają rozkazom generała Groenewalda, który przygotowuje wojskowy zamach stanu. On i jego zwolennicy chcą obalić jednocześnie Afrykański Kongres Narodowy i rząd prezydenta de Klerka. Mówi, że za generałem stoją potężne struktury, które chcą przywrócić dawny porządek. Tylko że teraz te plany może pokrzyżować seria przypadkowych aresztowań pod pretekstem poszukiwań wspólników zabójstwa Chrisa Haniego.

W czternastej godzinie przesłuchania kapitan Nick Deetlefs wychodzi z celi z nazwiskiem osoby, która przekazała Walusiowi pistolet z tłumikiem.

Gdy w sobotę, 17 kwietnia o szóstej dwadzieścia rano, strażnicy odprowadzają po przesłuchaniu Janusza Walusia do celi aresztu w Benoni, kapitan Nick Deetlefs jest już w drodze na osiedle Acacia Park w Krugersdorfie, gdzie w piętrowym domku przy ulicy Wolkberg 18 mieszka z żoną pięćdziesięciosiedmioletni były poseł Partii Konserwatywnej i obecny doradca prezydenta Frederika de Klerka, Clive Derby-Lewis.

Qunu/Johannesburg

„Morderstwo było aktem szalonej desperacji, próbą wykolejenia procesu negocjacji pokojowych. Obawialiśmy się, że jego [Chrisa Haniego] śmierć wywoła wojnę rasową" – pisze w swojej autobiografii Nelson Mandela[13]. Prezydent Afrykańskiego Kongresu Narodowego jest wtedy najważniejszym partnerem białych w rozmowach o zniesieniu apartheidu.

Wielką Sobotę, 10 kwietnia 1993 roku spędza w swoim domu w Qunu w Transkei. Przed południem rozmawia z policyjną reprezentacją rugby z Transkei. W trakcie spotkania podchodzi do niego zapłakana gosposia, by

przekazać bardzo ważną informację, którą ktoś jej przed chwilą zakomunikował telefonicznie.

„Śmierć Chrisa była dla mnie osobistym ciosem – pisze w swojej autobiografii Mandela. – Był żołnierzem, patriotą. Był bohaterem młodzieży Południowej Afryki, człowiekiem, który mówił jej językiem i którego słuchała. Republika Południowej Afryki została pozbawiona jednego z największych synów, człowieka, który byłby nieoceniony w przekształcaniu kraju.

Stanęliśmy na krawędzi wojny. Obawialiśmy się, że młodzież, dla której Hani był bohaterem i męczennikiem, może chcieć oddać za niego życie”[14].

Mandela wsiada do helikoptera i po chwili ląduje w niewielkiej wiosce Sabalele koło Queenstown, tam, gdzie urodził się Hani i gdzie jest najbardziej popularny. Pisze, że wieś pogrążona jest w głębokim smutku. Odnajduje osiemdziesięcioletniego Gilberta Haniego, ojca Chrisa, i składa mu kondolencje w imieniu wszystkich mieszkańców RPA.

„[Gilbert] mówi o bólu utraty, ale też o satysfakcji, że syn zginął w walce” – zanotował Mandela.

W tym czasie prezydent Frederik de Klerk zwołuje posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Państwa i wysyła do pilnowania porządku dwadzieścia trzy tysiące dodatkowych żołnierzy. Zapewnia białych mieszkańców Południowej Afryki, że mogą czuć się bezpiecznie i że państwo ma wystarczającą liczbę żołnierzy, by zapewnić spokój.

Po południu Mandela przylatuje do Johannesburga. Tu dowiaduje się, że zabójca Haniego został już zatrzymany. Że jest nim imigrant z Europy Wschodniej, Polak, bojownik prawicowej paramilitarnej grupy Afrikaner Weerstandsbeweging (AWB).

Nocą po raz pierwszy pojawia się w państwowej telewizji SATV (South Africa TV) z orędziem do narodu.

Na ekranie: w jasnobeżowym garniturze na tle niebieskiej ściany w żółte grochy. Czyta z promptera:

„Dzisiaj popełniono niewybaczalną zbrodnię. Wykalkulowane z zimną krwią zabójstwo Chrisa Haniego to nie tylko zbrodnia przeciwko ukochanemu synowi naszej ziemi. To zbrodnia przeciwko wszystkim ludziom w naszym kraju.

Zostało przerwane życie człowieka pełnego pasji i niezrównanej odwagi, kochanego przez miliony, znienawidzonego tylko przez tych, którzy boją się prawdy.

Mówimy do wszystkich Południowoafrykańczyków, czarnych i białych – nadchodzi dzień prawdy".

Na zakończenie mówi twardo: „To zabijanie musi się skończyć"[15].

***

O chaosie, który zapanował po śmierci Haniego, można przeczytać w starych gazetach. (Są zarchiwizowane na mikrofilmach w Bibliotece Narodowej w centrum Pretorii. Nikt od dawna się tym nie interesuje, więc trzeba długo czekać, aż archiwiści znajdą w magazynach odpowiednie szpulki z kliszami).

Na okładkach niedzielnych wydań z 11 kwietnia podobne tytuły: *Hani zabity – Południowa Afryka w szoku*. W dwóch najważniejszych gazetach – „Sunday Times" i „Sunday Star" – zdjęcia wielkich, zdziwionych oczu otaczających zastrzelonego sekretarza generalnego i jego zakrwawiona twarz w dużym zbliżeniu.

(Na nic się zdały prośby Gill Marcus, rzeczniczki Afrykańskiego Kongresu Narodowego, apelującej o okazanie szacunku zmarłemu).

W „The Star" pojawia się informacja o zatrzymanym, pochodzącym z Polski emigrancie (ale jeszcze bez nazwiska), a w „Sunday Star" – dementi rzecznika policji w sprawie krążącej plotki, że morderca jest czynnym policjantem i częścią większego spisku.

Może za zabójstwem Haniego stoi Wit Wolf? – zastanawia się „The Star", a Barend Strydom zwany Białym Wilkiem (Wit Wolf), morderca z placu Strijdom w Pretorii, który w 1988 roku zastrzelił tam siedmioro czarnoskórych, tajemniczo odpowiada: „Nie mogę potwierdzić ani zaprzeczyć".

Strydom twierdził, że jest przywódcą Białych Wilków, mścicieli, którzy wkrótce zaprowadzą w RPA porządek. Za zabójstwo z roku 1988 został skazany na śmierć, ale wyroku nigdy nie wykonano. Prezydent de Klerk niedawno skorzystał z prawa łaski i Strydom wyszedł na wolność. Biały Wilk z miejsca staje się więc dla mediów ekspertem od zabójstw czarnoskórych.

„To bardzo prawdopodobne, że człowiek, który zabił Chrisa Haniego, był jednym z nas" – przekonuje dziennikarzy „Sunday Star". I trudno mu nie wierzyć, skoro zapewnia, że utrzymuje bezpośredni kontakt z Bogiem.

W kolejnych dniach w gazetach pojawia się dużo zdjęć wzburzonych tłumów Afrykańczyków. Gniew na twarzach, roztrzaskane witryny sklepowe, spalone samochody, pancerne transportery na ulicach miast, uzbrojeni po zęby policjanci i mgły gazów łzawiących. Po śmierci Haniego w kraju odbywa się ponad tysiąc manifestacji i wieców. Niektóre wyrywają się spod kontroli.

Wtedy zaczyna być groźnie.

W Kapsztadzie pięćdziesiąt tysięcy nastolatków rusza do centrum, by je rabować. W Soweto manifestanci otaczają posterunek policji i nie chcą nikogo z niego wypuścić. (Czterech zabitych i dwustu sześćdziesięciu rannych). W Durbanie i Pietermaritzburgu podpalają samochody na ulicy.

Niemiecki „Der Spiegel" pisze: „W starciach z policją ginie w tych dniach siedemdziesięciu demonstrantów. Smutek po śmierci Chrisa Haniego zamienił się w ślepą złość. Republika Południowej Afryki jest w zamęcie. Biali ekstremiści solidaryzują się z mordercą czarnego polityka Chrisa Haniego, a czarni radykałowie wzywają do demonstracji przeciwko białym i znajdują coraz więcej zwolenników wśród młodzieży z getta. Oni nie słuchają już umiarkowanych liderów, takich jak Nelson Mandela.

Ten kaznodzieja pokoju został w ubiegłą środę wygwizdany przez dziesiątki tysięcy młodych ludzi na stadionie Jabulani w Soweto.

Coraz więcej młodych z czarnych slumsów nie chce podążać za umiarkowanymi przywódcami Afrykańskiego Kongresu Narodowego, którzy po zwycięstwie zamierzają dzielić się władzą z białymi. Dla wojowniczej młodzieży z gett zabity Chris Hani był idolem. I niestety, jedynym, który mógł ich powstrzymać"[16].

Trzy dni po jego śmierci do studia telewizyjnego ponownie wkracza Mandela. Kamera pokazuje go teraz na tle regału z książkami i czarno-żółto-zielonej flagi Afrykańskiego Kongresu Narodowego.

Jest sztywny, ma nieruchomą twarz, która nie wyraża emocji.

Mówi prosto. Krótkimi zdaniami. By zrozumieli go ci, którzy w czarnych gettach szykują się już do ostatecznej rozprawy z białymi.

Całe jego wystąpienie to głośny apel do radykałów szykujących odwet.

Prośby o rozwagę i rozsądek: „Nie wolno pozwolić, by ludzie, którzy czczą wojnę i domagają się krwi, pogrążyli nasz kraj".

O porządek: „Chris Hani był żołnierzem. Wierzył w żelazną dyscyplinę. Wykonywał rozkazy. Wierzył w procedury. Każdy brak dyscypliny dzisiaj depcze te wartości, za jakimi stał Chris Hani. Ci, którzy nie wykonują poleceń, służą wyłącznie interesom zabójców i bezczeszczą jego pamięć".

O solidarność: „Teraz jest czas, by wszyscy mieszkańcy Południowej Afryki stanęli razem przeciwko tym, którzy z każdej strony chcą zniszczyć to, za co oddał życie Chris Hani – za wolność nas wszystkich".

O wykorzystanie sprzyjającej koniunktury: „To jest przełomowy moment dla nas wszystkich. Nasze decyzje i działania zdecydują o tym, czy wykorzystamy nasz ból, smutek i oburzenie, by dojść do jedynego rozwiązania dla naszego kraju – wyboru nowych władz przez cały nasz lud i dla naszego ludu".

W swojej autobiografii Mandela napisał, że udało się wtedy zapobiec krwawemu odwetowi dzięki organizowaniu w całym kraju wieców i demonstracji. „Dało to ludziom możliwość wyrażenia własnych frustracji bez uciekania się do przemocy – napisał we wspomnieniach. – Pan de Klerk i ja rozmawialiśmy prywatnie i zgodziliśmy się, że nie pozwolimy, by morderstwo Haniego doprowadziło do przerwania negocjacji"[17].

Pretoria

W Wielką Sobotę 10 kwietnia do biura Witolda Walusia koło południa dzwoni jego daleki kuzyn.

„Gratulacje dla ciebie, dla mnie, dla wszystkich Polaków – mówi radosny. – Jakiś Polak zastrzelił Chrisa Haniego”.

Witold: – Już wtedy miałem bardzo złe przeczucia. Godzinę później zadzwonił do biura mój znajomy polski dziennikarz : „Panie Witku, czy Jan Waluś, który zastrzelił Haniego, to jakaś pana rodzina?”. Nie mogło być wątpliwości.

Były szok i wkurzenie, że to on go zastrzelił. Nie potępiałem go, bo wiedziałem, jak postrzegany był Hani w konserwatywnym środowisku. Wiedziałem też, że nie będzie łatwo Kubę z tego wyciągnąć i że na mnie to też się wszystko odbije. Większość tych komunistycznych murzyńskich organizacji będzie teraz szukać zemsty na wszelkie sposoby. Zaraz rzucili się na mnie dziennikarze. Znaleźli mój adres domowy. Nic nie mówię, żadnych wywiadów. Ale następnego dnia widzę zdjęcie swojego domu w gazecie. To jak zaproszenie dla ludzi, którzy życzą źle mnie i mojej rodzinie. Wyprowadzamy się z domu na kilka dni i wynajmujemy agencję ochrony, najlepszą z najlepszych. Przez miesiąc pilnuje nas trzech facetów, są z nami w dzień i są z nami w nocy. Na szczęście okazują się niepotrzebni.

Zgłaszają się do mnie prawicowe organizacje. Chcą pomóc, obiecują pieniądze na proces, tylko jak przychodzi co do czego, to zostaję z tym sam. Ściągam najlepszych adwokatów. Obiecują prowadzić sprawę za symboliczne wynagrodzenie, a potem okazuje się, że ta symboliczna opłata niemal mnie wykańcza finansowo. Znajduję innych, tańszych, ale skutek ich działań jest zerowy. Sprawa od początku jest przesądzona, zbyt medialna i zbyt poważna, więc nikt jej nie odpuści.

Nazwisko Waluś przez wiele lat było w Afryce jak znak firmowy. Teraz coraz rzadziej jest rozpoznawane. Jak płaciłem za zakupy kartą kredytową, czarni sprzedawcy się czasem pytali: „Waluś? Tak jak ten, który zabił Chrisa Haniego? Czy to jakaś rodzina?”. Była w tym raczej ciekawość niż agresja. Natomiast dla dużej części Afrykanerów Kuba wciąż jest bohaterem.

Dawn Park

Rethę Harmse, młodą Afrykanerkę, dzięki której udało się zatrzymać zabójcę Chrisa Haniego, przewodniczący Nelson Mandela obwołuje bohaterką narodową.

„Ryzykowała życiem, byśmy mogli poznać i postawić przed sądem mordercę" – mówi w telewizyjnym przemówieniu.

„W przeciwieństwie do wielu naocznych świadków, którzy widząc podobne sceny, nie chcą się angażować, poczucie obowiązku dyktowało jej podjęcie szybkich działań. Gdyby nie odwaga tej młodej kobiety, złoczyńca nie zostałby złapany" – napisze później w swoim wyroku sędzia Lambson z Sądu Najwyższego Republiki Południowej Afryki[18].

To, co sędzia Lambson uważa za poczucie obowiązku, radykalni Afrykanerzy uznają za zdradę białej rasy. Dlatego od dnia zabójstwa Haniego Retha Harmse jest pod ścisłą ochroną policyjną. I zamiast czuć dumę, boi się o własne życie. Nie odbiera telefonów, nie rozmawia z prasą, do pracy jeździ tylko w towarzystwie policyjnej eskorty. Gdy kilka dni po zamachu reporterzy docierają do domu Harmse, przed posiadłością stoi już wbita w trawnik tabliczka „Na sprzedaż". Jej mąż, Daan Harmse, pakuje właśnie walizki. „Nie czujemy się tu, w Dawn Park, bezpieczni. Jeśli Haniego można było zamordować na progu własnego domu, to mnie i żonę jeszcze łatwiej" – mówi reporterom[19].

Pretoria

Stanisław Cieniuch jest pierwszym polskim ambasadorem w Republice Południowej Afryki po nawiązaniu przez Polskę stosunków dyplomatycznych w 1991 roku. Ambasadę i dobre relacje musi zbudować od podstaw. Kiedy obejmuje placówkę, nadal obowiązuje prawo apartheidu i nikt nie wie, jak będzie wyglądała ta zapowiadana przez prezydenta de Klerka demokratyczna przemiana Południowej Afryki. Z perspektywy polskiej ambasady na scenie politycznej RPA jest dwóch głównych graczy – rządząca od 1948 roku i reprezentująca białych Partia Narodowa oraz reprezentujący czarną

większość Afrykański Kongres Narodowy. Oprócz Nelsona Mandeli, który wciąż jest najbardziej rozpoznawalnym symbolem walki z apartheidem, wyróżnia się również Chris Hani. Ambasador Cieniuch poznaje go osobiście. Tak go zapamięta:

– Charyzmatyczny przywódca, dobrze wykształcony, miłośnik Shakespeare'a, niezwykle popularny wśród młodzieży.

O zabójstwie Haniego dowiaduje się z nasłuchu południowoafrykańskiego radia, gdy je wielkanocne śniadanie z radcą Włodzimierzem Ciborem w jego rezydencji w Pretorii. („Muzyka w radio zostaje przerwana, spiker kamiennym głosem czyta komunikat: »Dowódca Umkhonto we Sizwe, sekretarz generalny Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej i jeden z liderów Afrykańskiego Kongresu Narodowego, został właśnie zastrzelony«").

Cieniuch wspomina:

– Zapanowały od razu chaos, rozpacz i wielka niepewność, co będzie dalej z procesem pokojowym. Ludzie bali się, że nikt nad tym nie zapanuje, wybuchną zamieszki i cały kraj spłynie zaraz krwią. I nagle w tym informacyjnym zgiełku pojawia się gdzieś pogłoska, że zabójcą Haniego jest polski emigrant.

Ambasada jest pusta, bo są święta. Wszyscy, którzy mogli, wzięli już urlopy i wyjechali z Pretorii. Zostałem sam w tej dramatycznej sytuacji. Więc idę do ambasady i wysyłam depeszę do centrali w Warszawie. Opisuję, co się tu wydarzyło i jak bardzo poważne konsekwencje może mieć ta sytuacja dla polskiej społeczności w RPA.

Czekam na instrukcje z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ale nic nie nadchodzi. W Warszawie też już są Święta Wielkanocne. A tu rośnie napięcie. Dziennikarze już wiedzą, że Haniego zastrzelił jakiś Polak, więc dobijają się do polskiej placówki. Chcą dowiedzieć się, co na to Polska. Unikam komentarzy. Skupiam się na pomocy Polonii.

Po południu ciągną tu do mnie Polacy z Pretorii i okolic. Czują się zagrożeni, boją się odwetu. Nie wiedzą, co robić, oczekują wsparcia.

Policja południowoafrykańska chroni budynek ambasady i moją rezydencję [przy Amos Street], ale nie może postawić posterunków przy każdym polskim domu.

To czasy schyłkowe apartheidu, zmierzchu prezydenta Frederika de Klerka i narodzin nowego przywódcy – Nelsona Mandeli. To jego teraz ludzie słuchają. To jego głos liczy się najbardziej. I to on jest najważniejszym politykiem w państwie, choć nie pełni żadnych państwowych funkcji.

Gdy w towarzystwie policyjnej ochrony Polacy przyszli na wielkanocną mszę w niedzielę powitał ich nabazgrany na ścianie kościoła St. John Fisher w Pretorii napis: „We will kill you all" (Wszystkich was zabijemy).

Następnego dnia jadę więc do Johannesburga. Centrala Afrykańskiego Kongresu Narodowego mieści się w jednym z hoteli[20]. Długo czekam w sekretariacie na przyjęcie, bo Mandela jest rozchwytywany.

A gdy mnie już zaprasza do swojego gabinetu, nie bardzo wiem, jak mam mu to wszystko powiedzieć. Zaczyna on: „Polacy? Jak my na was bardzo liczymy".

Nie ma w nim żadnej niechęci.

I opowiada mi o mało znanym epizodzie drugiej wojny światowej, gdy południowoafrykańscy lotnicy z narażeniem życia latali nad walczącą Warszawą, dokonując zrzutów uzbrojenia dla polskich powstańców.

Czuję się jak zły uczeń na dywaniku u dyrektora. I on to wyczuwa. Podchodzi, obejmuje mnie, próbuje dodać otuchy.

Na pożegnanie mówi, żebym przekazał afrykańskiej Polonii, żeby się niczego nie obawiała. „Dołożę wszelkich starań, żeby Polacy nadal byli ważnymi obywatelami w naszym państwie".

Potem Mandela ma to swoje słynne telewizyjne przemówienie do narodu, w którym wyrywa kły rasizmowi. Mówi o zamordowaniu Chrisa Haniego, ale ani razu nie wspomina, że zrobił to Polak. To była duża sztuka. Skupia się na tym, że zabójcę zatrzymał biały policjant, a było to możliwe dzięki białej kobiecie, która z narażeniem życia spisała numer rejestracyjny samochodu sprawcy. [O Walusiu powiedział wtedy tylko jedno zdanie: „Biały człowiek, pełen uprzedzeń i nienawiści, przybył do naszego kraju i popełnił czyn tak paskudny, że cały nasz naród balansuje teraz na krawędzi katastrofy"].

Pretoria – Kgosi Mampuru II

Szczerze mówiąc, nigdy nie słuchałem specjalnie uważnie, co Mandela ma do powiedzenia. I tego przemówienia, w którym mówił o mnie, też nie słucham. Nic do mnie nie dociera. Jestem już odizolowany w areszcie.

Ale nie dziw się, że on robił wszystko, żeby załagodzić sytuację. W jego interesie było utrzymanie spokoju. On sobie świetnie zdawał sprawę, że gdy tylko dojdzie do konfrontacji, to z naszym wojskiem i policją nie mają żadnych szans i zostaną zmieceni. Przegrają wtedy wszystko. Musieli uspokajać nastroje, bo już byli dogadani z de Klerkiem na przejęcie władzy.

Ja na nic wpływu już nie mam. Siedzę wtedy w pojedynczej celi policyjnego aresztu w Benoni. Pozwalają mi rozmawiać jedynie z adwokatem, bo tego odmówić mi nie mogą. Raz odwiedził mnie Witek i przyniósł mi ciuchy. Mogłem zamienić z nim zaledwie kilka słów, tylko po angielsku, żeby mogli wszystko kontrolować. Trwa to kilka sekund.

Nie wiem, co się dzieje na zewnątrz. Wierzę jednak, że Clive uruchomił swoje tajne komórki, przygotowuje przewrót i na pewno zaraz zjawi się tu ktoś, by mnie ratować. Wypatruję więc kogoś, kto mi pomoże i wyciągnie mnie z kłopotów.

Wtedy przychodzi tych dwóch. Do dziś pamiętam ich nazwiska. Kapitan Deetlefs i jego przydupas Waren Officer Bietge – jeden z trzech teamów mnie przesłuchujących. Są inni. Sympatyczni i mili. Są po mojej stronie, mówią. Deetlefs, który wcześniej sam walczył z ANC, teraz dziękuje mi za to, co zrobiłem. Przeprasza, że nie może na razie wiele pomóc. Obaj narzekają na zdrajców z policji, którzy teraz popierają de Klerka i jego „reformy". Zapewniają, że jest tam jeszcze wielu przyzwoitych chłopaków, którzy nie godzą się z tym, w jaki sposób zmienia się Południowa Afryka.

„Ktoś się wreszcie musi przebudzić i przywrócić tu porządek" – mówią.

Grają ze mną w otwarte karty i twierdzą, że są z tajnej organizacji, która szykuje przewrót.

Są patriotami. Będą zacierać za mną ślady, by policja, która jest już na tropie, nie doszła do moich zleceniodawców. By ich chronić, muszą znać jak najwięcej szczegółów i nazwiska osób, które mi pomagały. Czasu jest mało, żeby zdążyć je wszystkie ostrzec.

I podają mi kilka nazwisk, którymi się uwiarygodniają.

Jestem jeszcze trochę nieufny, ale pamiętaj, że mija już tydzień przesłuchań i jestem strasznie zmęczony. Zasypiam i tracę świadomość. I wtedy przynoszą mi puszkę z piwem.

Mój opór tępieje, tracę czujność, czuję się dziwnie odprężony i ufny. Czegoś musieli tam dosypać. Niewiele z tego pamiętam.

Uwierzyłem im, bo to było światełko, którego wtedy wypatrywałem.

Krugersdorp

O zabójstwie Chrisa Haniego pięćdziesięciosiedmioletni poseł Partii Konserwatywnej Clive Derby-Lewis dowiaduje się w sobotę, 10 kwietnia podczas wizyty u Faana Ventera, sąsiada z osiedla w Krugersdorpie.

Piją właśnie herbatę w ogrodzie, gdy dzwoni telefon. Za chwilę przybiega podekscytowana żona gospodarza i ogłasza nowinę: „Zastrzelili Haniego".

Przy stole robi się wesoło. „Cudowna wiadomość" – mówi Gaye, żona posła Derby-Lewisa, a on sam pomyślał wtedy: „Szczęśliwy traf sprawił, że nie będziemy musieli zrobić tego, co już zostało zaplanowane"[21]. Nie przychodzi mu do głowy, że zrobił to Waluś, któremu cztery dni wcześniej dostarczył broń.

„Zgodnie z moją najlepszą wiedzą nie mógł tego zrobić, bo nie miał amunicji. Zresztą sugerowałem mu, żeby tego nie robił w czasie wielkanocnego weekendu, bo to czas zadumy i mogło być dużo ludzi na osiedlu".

Gdy dowiaduje się o śmierci Haniego, dzwoni do mieszkania Walusia. (Jest wczesne popołudnie, na pewno przed 14:00, bo nie było tam jeszcze śledczego Holmesa). Odbiera jego przyjaciółka, Marija. Jest zaniepokojona. Mówi, że Kuba wyjechał wcześnie rano na trening karate, jeszcze nie wrócił. Do tej pory się nie odezwał, choć powinien już dawno być w domu.

Po południu dzwoni do Derby-Lewisa Pieter Mulder, kolega z Partii Konserwatywnej, by skonsultować partyjne oświadczenie dotyczące śmierci Chrisa Haniego.

On pierwszy wymienia nazwisko mordercy.

– Znasz Walusia? – pyta.

– Znam dwóch Walusiów: Janusza i Witka – odpowiada Derby-Lewis.

Potem telefonuje jeszcze jakiś dziennikarz. Pyta o Jana Wallace'a.

W niedzielę wszystko staje się jasne. Zdjęcie Kuby pojawia się na pierwszej stronie „Sunday Times" – jednej z największych gazet w RPA.

„Wiedziałem, że nie ma niczego, co mogłoby mnie połączyć z tym morderstwem. Nie mieli żadnych dowodów, że brałem w tym udział. Wiedziałem też, że Waluś nie powie o mnie policji, więc postanowiłem czekać, aby zaplanować kolejny krok"[22].

U Walusia policja znajduje stosy propagandowych angielskojęzycznych gazetek wydawanych przez Fundację Stallarda. Kolejnego dnia dzwoni jeszcze jakiś policjant i pyta, co łączy Derby-Lewisów z mordercą Chrisa Haniego.

„Przyjaźnimy się" – odpowiada Clive.

Tydzień później, w nocy z piątku na sobotę, dopiero nad ranem Gaye i Clive Derby-Lewis wracają do domu z przedwyborczej akcji plakatowej. Ona siada przed telewizorem, on wychodzi przed dom sprawdzić, co się dzieje, bo usłyszał jakieś podejrzane hałasy. Wraca skuty kajdankami, w towarzystwie kilkunastu policjantów i kamer telewizyjnych. Od tej chwili Południowa Afryka na żywo śledzi policyjną akcję prowadzoną w domu bardzo ważnego białego polityka zamieszanego w zabójstwo Chrisa Haniego.

„Gdy poseł Derby-Lewis dowiedział się, że zostanie aresztowany, zbladł i zemdlał z wrażenia" – pisały następnego dnia południowoafrykańskie gazety. (Kapitan Deetlefs z zespołu śledczego każe go wtedy położyć na kanapie i podać mu wodę z cukrem).

Rewizja w domu państwa Derby-Lewisów przy Wolkberg 18 w Krugersdorp trwa od szóstej do dziewiątej trzydzieści. Aresztowania posła w miejscu zamieszkania dokonuje pułkownik Human. Potem wyprowadzają go do zaparkowanego przed domem radiowozu i proszą, by zajął miejsce w bagażniku. Podczas konwoju do aresztu w Benoni ma leżeć i nie podnosić

głowy. Ponoć istnieje duże zagrożenie, że ktoś będzie próbował go zastrzelić w trakcie transportu do więzienia.

Na posterunek w Benoni trafia około dziesiątej trzydzieści, a do celi (w sekcji 29) dopiero po północy. W czasie pierwszego przesłuchania nie odpowiada na pytania śledczych. Prosi, by zapisali w protokole: „Niniejszym oświadczam, że nie będę składał żadnych wyjaśnień".

O aresztowaniu Derby-Lewisa gazety piszą jak o największej sensacji. Jeszcze nigdy w historii Republiki Południowej Afryki biały polityk nie doznał takiego upokorzenia. (Derby-Lewis jest jednym z liderów największej opozycyjnej partii RPA – Partii Konserwatywnej, byłym jej posłem, z jej nominacji zasiada w radzie prezydenckiej i doradza przewodniczącemu partii doktorowi Andriesowi Treurnichtowi).

Jeszcze żaden biały parlamentarzysta nie trafił za kratki z powodu podejrzenia o zamordowanie jakiegoś czarnego. Żaden parlamentarzysta nie spał na kawałku filcu rozłożonym na betonowej posadzce, zalewanej wodą z uszkodzonego kibla. Żadnemu parlamentarzyście policjanci nie krępowali rąk i nóg łańcuchem.

„Nie pozwolili mi nawet spać – skarżył się kilka lat później przed Komisją Prawdy i Pojednania. – Nigdy w życiu nie byłem tak zmęczony jak wtedy".

Śledczy jasno stawiają sprawę: za ujawnienie wszystkich dowodów i osób biorących udział w spisku obiecują nadzwyczajne złagodzenie kary i amnestię. Brak współpracy natomiast pociągnie za sobą całkowite odizolowanie. Derby-Lewis odmawia współpracy, ale ostatecznie sam dostarcza najważniejszego dowodu przeciwko sobie.

Z celi bloku 29 pod koniec kwietnia 1993 pisze odręczny manifest i wysyła w postaci grypsu do dziennikarki Chris Steyn ze wspierającego apartheid dziennika „The Citizen". Podaje tam trzy powody, dlaczego Chris Hani musiał zginąć.

Po pierwsze: „Żeby ze wsparciem Wszechmogącego Boga uderzyć w antychrysta, czyli komunizm reprezentowany przez przywódcę Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej".

Po drugie: „Żeby zniszczyć przywódcę militarnego Umkhonto we Sizwe, odpowiedzialnego za morderstwa z zimną krwią starców, kobiet i dzieci oraz ataki na pracowników naszych sił bezpieczeństwa”.

Po trzecie: „Żeby atak ten uaktywnił i zjednoczył w działaniu przywódców Afrykanerów, by mogli uratować ojczyznę i naród”.

Tam, gdzie powinien być podpis, Derby-Lewis zamieści dopisek: „Dla Boga, mojego narodu i mojej ojczyzny”.

Tylko że Steyn zawodzi Clive’a. Nie drukuje manifestu w patriotycznej gazecie. Przekazuje go policji.

Dawn Park/Johannesburg

Według afrykańskich zwyczajów zanim rozpocznie się pogrzeb, ciało zmarłego zostaje zwrócone rodzinie. Pożegnanie odbywa się w domu zmarłego przy otwartej trumnie, w obecności najbliższej rodziny. Tylko że w wypadku Chrisa Haniego jest to niemożliwe. Zbyt wiele osób chce się z nim pożegnać. Domek przy Hakea Crescent nie jest w stanie przyjąć wszystkich żałobników, więc karawan–limuzyna, kremowy mercedes 500 SE przejeżdża tylko przez osiedle Dawn Park. Za nim w takim samym kremowym mercedesie podąża jego najbliższa rodzina – Limpho z trzema córkami.

Właściwa uroczystość odbywa się na oddalonym o czterdzieści kilometrów największym stadionie Południowej Afryki – stutysięczniku FNB Stadium na przedmieściach Soweto. (W tym samym miejscu siedemnaście lat później rozegrany zostanie finał mistrzostw świata w piłce nożnej między Hiszpanią a Holandią).

Trumnę przykrytą czerwoną flagą z pięcioramienną gwiazdą wnoszą na stadion partyzanci w panterkach z Umkhonto we Sizwe. „Łzy wypełniają oczy tych twardych umundurowanych bojowników Włóczni Narodu, kiedy opuszczają zamordowanego lidera” – pisze dziennik „The Star”[23]. Na zdjęciu na pierwszej stronie gazety widać w otwartej trumnie ciało w polowym mundurze, a przy nim wpatrzoną w dal samotną dziewczynkę w granatowej kurtce. To jego czternastoletnia córka Nomakhwezi.

„Khwezi stoi przy trumnie taty, bo odmówiła powrotu na krzesło, gdy rzeka ludzi zaczęła przechodzić obok niego w ostatnim pożegnaniu” – notuje po latach Lindiwe[24].

W niedzielę, 18 kwietnia trzydzieści pięć tysięcy żałobników żegna sekretarza generalnego PPK na stadionie FNB, ale prawdziwe tłumy zmierzają dopiero na oficjalne uroczystości pogrzebowe, które rozpoczną się nazajutrz o dziewiątej rano, po całonocnym czuwaniu przy trumnie zmarłego.

Ma to być największy pogrzeb, jaki kiedykolwiek widziała Afryka. Z setkami tysięcy żałobników, delegacjami zagranicznymi, korpusem dyplomatycznym i celebrytami, którzy przylatują tu z całego świata (swój udział zapowiedział też pięściarski mistrz świata – legendarny Muhammad Ali).

Wszystko będzie można zobaczyć na żywo w telewizji (na kanale OCV-TV) lub wysłuchać w radiu (Radio 2000). Między czwartą a piątą po południu bezpośrednią relację z cmentarza nadawać będzie dziewiąty program państwowej telewizji SABC.

Na linii Johannesburg – Nasrec kursuje specjalny wahadłowy pociąg dowożący żałobników na stadion. Organizatorzy apelują, by każdy, kto zamierza dojechać tu na własną rękę, zrobił to najpóźniej dzień przed pogrzebem, bo w innym wypadku nie gwarantują miejsca.

Od dwunastej, w trakcie przejazdu konduktu, zamknięta będzie autostrada M1 Północ i autostrada M2 Wschód. Tłumy spodziewane są też w Boksburgu. Na trasie przemarszu do cmentarza od godziny dziesiątej rano rozstawione zostaną punkty z wodą, toaletami, pierwszą pomocą i samochody do transportu niepełnosprawnych. Największe korki spodziewane są między 16:00 a 18:00, gdy na boksburdzkim cmentarzu Southpark w Elsburgu w sekcji rzymskokatolickiej spocznie trumna sekretarza generalnego Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej.

Dwa dni wcześniej jest tam reporter „Gazety Wyborczej” Wojciech Jagielski, który notuje: „Pracując od rana pod palącym słońcem, murzyńscy grabarze na cmentarzu w Boksburgu wykopali wczoraj grób, w którym w poniedziałek pochowany zostanie Chris Hani, jeden z najpopularniejszych

czarnych polityków w RPA. Grób Haniego znajduje się obok mogiły czeskiego emigranta”[25].

Jeszcze przed pogrzebem Afrykański Kongres Narodowy zapowiada na sobotę i niedzielę demonstracje w Pretorii i Johannesburgu. „Od ich przebiegu, a także od przebiegu uroczystości żałobnych w Soweto i pogrzebu Haniego w Boksburgu zależeć będzie dalszy rozwój wydarzeń politycznych w RPA” – pisze prasa.

Mieszkańcy Boksburga, w większości Afrykanerzy, są przerażeni tym najazdem. Winnie Mandela, liderka radykalnej czarnej biedoty i była żona przewodniczącego Nelsona, wzywa wprost do mordowania Burów. Większość białych boksburczyków wyjeżdża z miasta jeszcze przed pogrzebem, a ci, którzy zostają, barykadują się w domach, rozstawiają zasieki z drutu kolczastego w ogrodach i czyszczą broń. Do miasta ciągną też umundurowani bojówkarze AWB ze swoimi organizacyjnymi sztandarami wzorowanymi na flagach Trzeciej Rzeszy. (Z tą tylko różnicą, że w białym kółku, gdzie NSDAP umieściło hinduski znak szczęścia, AWB ma trzy siódemki). Grożą rzezią, jeśli Afrykański Kongres Narodowy pozwoli swoim radykałom mordować i plądrować domy białych[26].

Na filmach z pogrzebu widać ludzi siedzących jeden obok drugiego, aż po samą koronę stadionu. Na lekkoatletycznej bieżni wokół boiska zaparkowane są dziesiątki luksusowych aut. Na murawie boiska w polu karnym rzędy krzeseł dla najważniejszych gości. Na środku boiska mała trybuna z trumną. Na niej wojskowa czapka moro. (W czerwony sztandar z sierpem i młotem zostanie owinięta przed złożeniem do grobu).

Ten fragment uroczystości transmitowany jest na cały świat na żywo poprzez największe stacje telewizyjne – amerykańską CNN i brytyjską SKY.

Świat chce wiedzieć, czy w Południowej Afryce będzie wojna domowa, czy Mandela jest nadal przywódcą i czy uda się zapanować nad gniewem ludzi.

Jego samochód wzdłuż bieżni zmierza do wzniesionego za bramką podium pod białą markizą, a on, stojąc, pozdrawia trybuny. Zanim dojdzie do mikrofonu, zapowie go odziany tylko w skóry dzikich zwierząt człowiek z włócznią: „Nelson Mandela, przyszły prezydent Południowej Afryki”.

Mandela przyjmuje hołdy. Dobrotliwie się uśmiecha. Gdy podchodzi do mikrofonu, stadion zamiera.

Unosi pięść nad głową i krzyczy swoim chropowatym głosem: „Amandla?". Odpowiada mu sto tysięcy gardeł: „Awethu!"[27]. Ten okrzyk zwalczających apartheid bojowników Afrykańskiego Kongresu Narodowego wciąż oznacza to samo: walkę przeciwko uciskowi.

Wkłada okulary i czyta z kartki swoim bezbarwnym, mechanicznym głosem.

Nie wygląda na trybuna ludowego, raczej na kiepskiego lektora, który trzyma się wiernie tekstu z kartki, by niczego nie pominąć, i raz po raz zerka zza okularów na widzów, czy jeszcze go słuchają. Nie ma w tym żaru, raczej rozwlekłe dłużyzny.

Najpierw o zamordowanym Hanim. Że był niezłomny, zaangażowany w walkę o wolność i nigdy się nie poddał. Że jego morderstwo wpisuje się na długą listę podobnych przypadków: Rick Turner, Matthew Goniwe, Sparrow Mkhonto, David Webster, Ruth First, Dulcie September. Z tą jednak różnicą, że mordercy Haniego nie zostaną bezkarni. („Życie czarnego jest tanie i takie pozostanie, jak długo będzie istniał apartheid").

Potem o kierowanej przez władzę fali nienawiści, która stworzyła klimat do zabicia Chrisa Haniego. I o dyszących zemstą tłumach gotowych na wszystko murzyńskich bojowników.

I o najważniejszym żądaniu postawionemu białemu człowiekowi w zamian za pokój – zakończeniu białej dominacji, wolnych, demokratycznych wyborach. I jak najszybszym ogłoszeniu ich terminu. („Chcemy pokoju, ale nie jesteśmy pacyfistami").

Na koniec apeluje o powstrzymanie agresji:

„Jesteście naszymi żołnierzami pokoju, naszą armią wyborczą, która przemieni ten kraj. Wracajcie do domów i organizujcie się jak nigdy dotąd. Razem jesteśmy niepokonani. Wolność w Południowej Afryce to największy hołd, jaki możemy złożyć Chrisowi Haniemu".



Grób Chrisa Haniego na cmentarzu w Boksburgu.
Fot. Cezary Łazarewicz

„Zamiast natchnąć ich swoją siłą, skarży się, że biały prezydent [de Klerk] go zwodzi, przeciąga w nieskończoność rozmowy o przekazaniu władzy” – pisze obecny na pogrzebie Wojciech Jagielski[28]. („Za dnia układa się, mówi o pokoju i zgodzie, a po zmroku posyła na czarne przedmieścia szwadrony śmierci, by tam zabijały, prowokowały zamieszki i bratobójcze walki, które podważają zaufanie do ruchu wyzwoleńczego, sieją zwątpienie, czy bohaterowie poradzą sobie z rządzeniem krajem”).

Znów unosi pięść.

– *Amandla*! – krzyczy.

– *Awethu*! – odpowiada mu ponad sto tysięcy gardeł.

Johannesburg

W środę, 21 kwietnia o świcie, dwa dni po pogrzebie, policja zatrzymuje kolejne osoby zamieszane w zabójstwo, a brygadier Frans Malherbe ogłasza, że przełom w śledztwie był możliwy dzięki współpracy Derby-Lewisa.

Śledczym udaje się odtworzyć, w jaki sposób nielegalna broń trafiła do Janusza Walusia.

Wyprodukowany przez Armaments Corporation of South Africa Vektor Z88 jest jednym z siedemdziesięciu pistoletów skradzionych 14 kwietnia 1990

roku z bazy Voortrekkerhoogte Sił Powietrznych RPA w Pretorii. Faan Venter, sąsiad Derby-Lewisa z osiedla Acacia Park w Krugersdorpie, kupił pistolet od złodziei i gdy na początku 1993 roku Derby-Lewis pyta go, czy pomoże zdobyć nierejestrowaną broń, oferuje właśnie tę sztukę.

Broń Faan Venter przekazuje za pośrednictwem Lionela Du Randta i miesiąc później doradca prezydenta zawozi ją do Kapsztadu, by dorobić tłumik. Zajmuje się tym Keith Darroll, który zleca wykonanie tłumika rusznikarzowi Gavinowi Smithowi. Wszyscy pośrednicy są blisko związani z Partią Konserwatywną i wszyscy trafiają za kratki.

Zatrzymany zostaje też autor „Hit List", z której korzystał Janusz Waluś. Przygotował ją Artur Kemp, dziennikarz johannesburskiego prawicowego dziennika „The Citizen". W styczniu 1993 roku o pomoc w skompletowaniu adresów dziewiętnastu najbardziej zagorzałych przeciwników apartheidu poprosiła go żona Derby-Lewisa – Gaye. Kemp dostarczył tylko dziewięć nazwisk i był przekonany, jak potem zeznał, że pomaga w dziennikarskim śledztwie koleżance z „The Patriot". Zaprzecza, by cokolwiek wiedział o planowanym zamachu. Podobnie bronią się pośrednicy dostarczający broń. Wszyscy, z wyjątkiem Gaye, zostają po kilku dniach zwolnieni z aresztu.

Dwudziestego pierwszego maja troje podejrzanych – Janusz Waluś, Clive Derby-Lewis i jego żona Gaye Derby-Lewis – zostaje oskarżonych o morderstwo z premedytacją, spisek w celu zamordowania kolejnych ośmiu osób, nielegalne posiadanie broni i amunicji. Gaye obciążają wpisy w jej pamiętniku i znaleziona w jej komputerze „lista celów". Cała trójka zostaje przeniesiona do centralnego więzienia w Pretorii. W sierpniu, po wpłaceniu kaucji w wysokości trzydziestu tysięcy randów, Gaye Derby-Lewis zostaje zwolniona z aresztu.

Pretoria – Kgosi Mampuru II

Kilka godzin po przesłuchaniu, na którym Deetlefs proponuje mi współpracę, wiem już, że zostałem nabity w butelkę. Orientuję się, gdy w sobotę prowadzą mnie korytarzami na kolejne przesłuchanie i wtedy na posterunek wjeżdża kawalkada

radiowozów. Szybko wycofują mnie do celi. Wiem, że dzieje się coś ważnego, coś, czego nie chcą, żebym zobaczył. Domyślam się, że aresztowali Clive'a i że mnie oszukali.

Jestem dokładnie odseparowany. Nie mam dostępu do radia ani do gazet. Nikt z zewnątrz się ze mną nie kontaktuje. Dopiero gdy wpuszczają adwokata, wszystko mi potwierdza.

Tydzień później, po zakończeniu dochodzenia, przenoszą mnie do więzienia w Pretorii. Trafiam na oddział maximum security *dla najniebezpieczniejszych więźniów. To specjalne miejsce o zaostrzonym rygorze i najwyższych standardach bezpieczeństwa. Godzina na spacerniaku i dwadzieścia trzy pod kluczem. Cela na pierwszym piętrze w sekcji dla więźniów wyższego profilu, przeznaczonej kiedyś tylko dla białych. Na moim oddziale tylko trzy cele, wspólna łazienka z wanną i korytarz. Wygląda to jak przechowalnia, miejsce przejściowe przed stryczkiem.*

Mam wszystkie przywileje osoby czekającej na proces. Dostaję lepsze jedzenie niż w Benoni, dostęp do książek i nieograniczone prawo do widzeń. (Od kwietnia do października przychodzą znajomi, przyjaciele, rodzina, liderzy partii i zwykli ludzie, którzy chcą mnie poznać).

Jestem tam sam. Non stop pilnuje mnie trzech strażników. Dwaj siedzą na korytarzu przed zamkniętą celą, a jeden na cat walku obserwuje mnie z góry. Okna mam pod sufitem, więc może przez nie zajrzeć w każdej chwili i zobaczyć, co robię w celi. Mam zakaz gaszenia światła. Śpię przy zapalonej lampie. Boją się, że ucieknę albo coś sobie zrobię.

Po tygodniu wprowadzają do celi obok Clive'a, a pół roku później dodają nam jeszcze jednego czarnego, ale takiego do wytrzymania. Nazywał się Thlume Ouppa.

To są czasy przed upadkiem, więc jest jeszcze bardzo dużo białych strażników. Wszyscy, albo prawie wszyscy, sympatyzują z nami. Są ciekawi, jak to było.

W miarę możliwości, bo przecież jest jeszcze przed procesem, staramy się im opowiedzieć wszystko półsłówkami, ale tak, by sobie nie zaszkodzić.

Traktują nas tam bardzo dobrze. Zamiast jednej godziny spacerniaka pozwalają nam na trzy, czasem nawet więcej. Robią wszystko, żebyśmy się dobrze czuli.

Każdy dzień wygląda tak samo. Pobudka, śniadanie między siódmą a ósmą, a potem zajmujemy się sobą.

Najważniejsze w więzieniu to się nie rozsypać, dużo czytać, zaserwować sobie dużo ćwiczeń fizycznych i umysłowych. Clive'owi pozwolili przynieść nawet ciężary

i hantle, więc codziennie ćwiczymy godzinę–półtorej. Mam swój własny worek treningowy. Ćwiczę karate.

Z naszej sekcji jest wyjście do małego ogródka z trawnikiem. Wygląda to jak klatka w zoo. Wszystko jest tam zakratowane, nawet sufit, ale dociera słońce. Clive, który jest bardzo przedsiębiorczy, sadzi tam krzaki pomidorów. Mamy więc do swojej dyspozycji świeże pomidory.

Clive'a bardzo szanuję. Uważam go za swojego przyjaciela. Okazał się jedynym politykiem wyższego szczebla Partii Konserwatywnej, który był coś wart. Był jeszcze nasz przywódca – doktor Andries Treurnicht[29]. Bardzo rozsądny, oddany sprawie, ale zmarł zaraz po naszym aresztowaniu, a od jego następców wielkiego wsparcia już nie mieliśmy.

Treurnicht miał chore serce, robili mu bypassy w szpitalu. Przy takich operacjach umiera się raczej na stole, a nie od powikłań. Po wszystkim bardzo dobrze się czuł, a potem, po dwóch dniach, nieoczekiwanie umarł. Niektórzy twierdzą, że z tą jego śmiercią to bardzo podejrzana sprawa. Jak było naprawdę – Bóg jeden wie.

Poza tym staramy się z Clive'em zbyt dużo nie rozmawiać o nieudanej akcji. Clive jest bardzo odważnym człowiekiem, byłym żołnierzem, ale w momencie śmierci Haniego został zupełnie sparaliżowany. Już wiem, że nie było żadnego łańcucha, o którym myślałem, że jestem jego ostatnim ogniwem. Wiem, że jesteśmy tylko my dwaj, a jeśli ktoś jeszcze był poza nami, to kompletnie zawiódł. Tłumaczę sobie, że dla Clive'a moje aresztowanie musiało być szokiem, bo nie zrobił nic, tylko czekał. A czekać można było tylko na aresztowanie.

Nie mam do niego żalu. Czy Clive ma do mnie? Nie wiem. Jeżeli nawet, to tego nie okazuje. Staramy się nie rozmawiać o tym, co się stało, ani o zbliżającym się procesie, ani o obronie. Boimy się podsłuchów.

Co się stało, to się nie odstanie. Obaj jesteśmy w niedoli. Nie ma się co pognębiać. Jeden nic nie zrobił, a drugi głupio dał się złapać. Ale jak o tym zaczniemy rozmawiać, to się skończy awanturą. Obaj więc podchodzimy do tego ze stoickim spokojem. Jesteśmy w gównie po uszy, pomagamy sobie wzajemnie, bo i tak nic więcej już nie da się zrobić.

Radom

Wieczorem w Wielką Sobotę na czwartym piętrze w bloku przy ulicy Miłej w Radomiu czternastoletnia Ewa ogląda wieczorne wydanie Panoramy w Dwójce. Jedną z najważniejszych informacji jest ta o polskim emigrancie, który zastrzelił jakiegoś murzyńskiego działacza w Południowej Afryce.

W RPA Polonia jest bardzo nieliczna, więc rozmawiają z mamą o tym, że mógł to być ktoś, kogo poznały, gdy pięć lat temu odwiedzały tatę.

Czterdziestotrzyletnia Wanda jest wciąż formalnie żoną Janusza. Małżeństwo rozpadło się na początku lat osiemdziesiątych, gdy on wyjechał do RPA, ale dwukrotnie zaprosił do siebie córkę z matką. Do Ewy pisze listy i czasami dzwoni. Odwiedził Ewę i Wandę pół roku temu, gdy pierwszy raz po jedenastu latach przyjechał do Polski.

Następnego dnia po informacji o zabójstwie Radom przeżywa wielki najazd dziennikarzy. Nie znają adresu zamieszkania Wandy i Ewy, ale szybko odnajdują ulicę Średnią na Glinicach, gdzie Tadeusz Waluś ma swoją hutę szkła. Wanda pracuje w niej jako księgowa.

– Wracałam wtedy z mamą z pracy, gdy po drodze zatrzymała nas Monika Olejnik. Zapytała mamę, czy nie zna przypadkiem Wandy Waluś. „Nie", odpowiedziała szybko mama, a jak dziennikarka odeszła, mama wzruszyła ramionami: „Bo to człowiek może znać samego siebie?".

Byłam nastolatką, nie zdawałam sobie sprawy z tego, co się tam wydarzyło. Zrozumiałam, gdy spojrzałam na mamę zaraz po tym, jak już wiedziała, że to był tata. Zrobiła się nagle szara, pomarszczona i siwa, jakby w kilka chwil przybyło jej wiele lat. Ona przewidywała konsekwencje, wiedziała, co nas czeka, ja nie.

Krótko potem ksiądz katecheta z mojej szkoły powiedział w pokoju nauczycielskim, że nie dziwi go, co się tam stało, bo w naszym domu były grzech i upadek moralny. Dowiedziałyśmy się o tym od moich nauczycielek, które przyszły do nas, żeby powiedzieć, że jeśli pójdziemy przeciwko księdzu do sądu, to one chętnie będą zeznawać w tej sprawie.

Gdy byłam dziennikarką telewizyjną, pojechałam na rozmowę z dyrektorem dużej publicznej instytucji, który zapytał żartem, czy ten zbrodniarz to jakiś mój krewny. „Tak – odpowiedziałam. – Mój ojciec". I poczuł się głupio.

Ale takich przypadków nie było dużo.

Jest we mnie coś, co sprawia, że gdy kogoś poznaję, od razu naprowadzam rozmowę na sprawę taty. Na wejściu chcę wiedzieć, czy to mu będzie przeszkadzać.

Ewa ma czterdziestkę, blond włosy, szaroniebieskie oczy ojca i jest jedyną córką Janusza Walusia. Nie usprawiedliwia go, nie próbuje tłumaczyć ani racjonalizować zabójstwa. Mówi, że poniósł karę za to, co zrobił, i powinien już do niej wrócić.

Znalazłem jej profil na Facebooku. Pod koniec 2017 roku pojechałem do Radomia poprosić, by namówiła ojca, by się ze mną spotkał. Nie stawiała warunków. Chciała, żebym opisał jego historię uczciwie.

***

„Dla ludzi z Radomia Południowa Afryka jest miejscem abstrakcyjnym" – pisze Toni Younghusband z „The Star", która przyjechała specjalnie do Polski, by o aresztowanego Walusia zapytać jego sąsiadów z ulicy Miłej. „Wiele osób nie słyszało nigdy o Nelsonie Mandeli, ale znają Janusza i nie wierzą, że jest mordercą".

Younghusband pisze, czego dowiedziała się w Radomiu: Waluś nigdy nie interesował się ani bronią, ani polityką. Nie należał w Polsce do żadnej organizacji, nawet do „Solidarności", do której na początku lat osiemdziesiątych zapisało się dziesięć milionów Polaków.

Wanda przyjmuje reporterkę w swoim mieszkaniu na czwartym piętrze. „On jest apolityczny i głęboko zakochany w Południowej Afryce – tłumaczy żona. – Dzwonią do mnie znajomi i nikt w to [zabójstwo] nie wierzy. Mówią: to jakaś pomyłka. Każdy, kto go zna, wie, że Janusz nie był zdolny do zabicia. To jest jakaś polityczna gra, której nie rozumiem. Mąż został użyty jako pionek, mały kamyk, który miał uruchomić lawinę"[30].

Tekst, który ukazuje się tydzień po śmierci Haniego w niedzielnym wydaniu „The Star", ilustrowany jest zdjęciem szczęśliwej rodziny: Janusza, Wandy i malutkiej Ewy, siedzącej na ulicy na wielkim białym pluszowym niedźwiedziu.

W niedzielę, tuż po zamachu, do warszawskiej redakcji „Gazety Wyborczej" przyjeżdża Tadeusz Waluś, dziadek Ewy i teść Wandy. Po bankructwie firmy w RPA wrócił do Radomia, próbując odbudować rodzinne imperium. Prowadzi teraz hutę szkła i hurtownię Africana.

Przyjechał do redakcji na Czerską w Warszawie, by sprostować informacje o synu. Jest oburzony, że zdjęcie i nazwisko Janusza publikowane jest w południowoafrykańskiej prasie, jakby był już skazany.

„On tego nie mógł zrobić – przekonuje i mówi, że syn musiał się stać ofiarą jakiejś politycznej prowokacji. – Nie miał żadnych konfliktów z Murzynami. Podejrzenie, że mógł zabić za pieniądze, jest po prostu żałosne. Jest człowiekiem dobrze sytuowanym. Gdyby nawet rzeczywiście z jakichś powodów miał zabić Haniego, to z pewnością nie dałby się tak łatwo złapać policji. Jest inteligentnym człowiekiem, byłym kierowcą rajdowym. Zabezpieczyłby się"[31].

„Jest to naród, który tak obsesyjnie odrzuca komunizm, że nawet zmienił niedawno nazwę ulicy z 1 Maja na 25 Czerwca, żeby uczcić wybuch powstania przeciwko komunistom [wydarzenia radomskiego czerwca z 1976 roku]" – pisze z Warszawy reporter Peter Malherbe, którego „Sunday Times" kilka dni po zabójstwie Haniego wysłał do Polski, by opisał kraj mordercy. „Sprawa zamordowania przez Polaka lidera komunistów wciąż jest tu najważniejszą informacją" – relacjonuje.

W Radomiu Malherbe rozmawia z Tadeuszem.

„Był idealnym kandydatem na kozła ofiarnego: cichy, nieagresywny, posłuszny, łatwy do prowadzenia, bo jest obcokrajowcem – tłumaczy mu ojciec Janusza i zamiast odpowiadać na pytania dziennikarza, zadaje swoje: – Dlaczego na miejsce morderstwa pojechał czerwonym samochodem, widocznym na milę? Dlaczego trzymał broń na tylnym siedzeniu w samochodzie? Dlaczego zostawił w domu tę listę z nazwiskami celów?"

„Mój syn nie jest głupi. Jest za inteligentny, by się tak narażać".

Johannesburg

„Czytałem komentarze południowoafrykańskich i zagranicznych korespondentów po zabójstwie Haniego sugerujące, że wojna domowa była wtedy nieuchronna albo możliwa. To nieprawda. Nie było na nią żadnych szans" – pisze do mnie mailem z Pretorii Victor Zazeraj.

Zazeraj przez wiele lat był bliskim współpracownikiem ministra Pika Bothy, który aż do upadku apartheidu kierował polityką zagraniczną Republiki Południowej Afryki.

Botha zaczął pracę w dyplomacji w 1977 roku, w czasach głębokiego apartheidu, tuż po krwawo stłumionym buncie w Soweto i zamordowaniu w więzieniu charyzmatycznego przywódcy Steve'a Bika. Świat potępiał rasistowski reżim, w którym Botha uchodził za liberała. Kolejnych premierów i prezydentów, którym służył, namawiał, by dogadali się z czarnymi przywódcami, póki nie jest za późno. Mówił, że nie może przetrwać system, w którym trzy czwarte obywateli pozbawionych jest praw. Wysłuchał go dopiero w roku 1990 nowy prezydent Frederik Willem de Klerk. Pół roku po objęciu stanowiska zapowiada wielką zmianę – demokrację i nową konstytucję.

Znosi stan wyjątkowy i zwalnia z więzień czarnych przywódców. Tylko że po tych zapowiedziach następuje impas w negocjacjach. Zaczyna się spór, kto nową konstytucję napisze i kto ją uchwali. Mandela chce, by zrobił to nowy tymczasowy rząd i naród w referendum. De Klerk upiera się, że będzie rządził, dopóki nie powstanie Konstytucja Przejściowa.

Dopiero 20 grudnia 1991 roku w Kempton Park koło Johannesburga rozpoczynają się negocjacje rządu ze wszystkimi niemal partiami z RPA na temat zmiany systemu. (Bojkotują je tylko radykałowie: z prawej Partia Konserwatywna, z lewej Kongres Panafrykański). Sesja CODESA (Konwencja na rzecz demokratycznej Republiki Południowej Afryki) trwa kilka dni i wyłania grupy robocze, które mają pracować nad konkretnymi rozwiązaniami demontującymi system.

W trakcie trwających negocjacji odbywa się w marcu 1992 roku referendum, w którym sześćdziesiąt osiem procent białych obywateli, bo tylko oni mają prawo wyborcze, opowiada się za kontynuacją reform i negocjacji.

W kwietniu 1993 roku, ponad trzy lata od zwolnienia z więzienia Nelsona Mandeli i zalegalizowania Afrykańskiego Kongresu Narodowego, nadal nie ma żadnych konkretów. Nie wiadomo, kiedy zostanie uchwalona nowa konstytucja ani kiedy będą pierwsze demokratyczne wybory. Negocjacje grzęzną w proceduralnych i merytorycznych sporach.

Viktor Zazeraj jest wtedy dyrektorem południowoafrykańskiego MSZ i prawą ręką ministra Bothy, architekta przemiany. Dziesiątego kwietnia 1993 roku ma dyżur w biurze parlamentarnym Partii Narodowej w Kapsztadzie. To od polskiego ambasadora Stanisława Cieniucha, który dzwoni do niego około południa, dowiaduje się o zastrzeleniu Chrisa Haniego i o polskim wątku w tej sprawie.

Pamięta, że ambasador był bardzo wzburzony. Bał się zemsty i odwetu na Polakach. Prosił o przekazanie ministrowi Pikowi Bothcie kondolencji i zapewniał, że rząd polski udzieli każdego wsparcia, by pomóc rozwiązać tę trudną sytuację.

„Zapewniłem go, że nie wpłynie ona na stosunki z Polską – pisze do mnie w mailu Zazeraj. – Dla naszego rządu to morderstwo było jednostkowym aktem przemocy, a nie jakimś konspiracyjnym spiskiem, jak łudzili się politycy prawicy.

Podobnie myślał Mandela. To nie »biali« zabili Haniego, tylko jeden człowiek, z którym można się rozliczyć w ramach zwykłego systemu sprawiedliwości. Prezydent de Klerk uznał, że dobrze by było, żeby narodowi powiedział to Mandela, bo jego słowa mają większe znaczenie dla zwolenników Haniego i Partii Komunistycznej”.

Czy był to przełomowy moment historii? – pytam go w kolejnym mailu.

„Zabójstwo Haniego wywołało wielki gniew jego rodziny i przyjaciół, a także Partii Komunistycznej. I nadal mają wielki uraz do Walusia. Ale większość społeczeństwa już tego nie pamięta. Śmierć Haniego to niewiele więcej niż przypis do wielu dramatycznych wydarzeń, do których doszło w czasie transformacji Południowej Afryki” – odpowiada Zazeraj.

Czy polityczne morderstwo mogło ten proces zatrzymać?

„Powód, dla którego Waluś zabił Haniego, zawsze wydawał mi się naiwny i oparty na ignorancji. Kiedy on dokonywał zabójstwa, proces odchodzenia

od apartheidu był już bardzo zaawansowany i nieodwracalny, choć trudny i skomplikowany. Wiele pytań pozostawało wtedy jeszcze bez odpowiedzi, wiele osób nie wiedziało, jak to się skończy, a po obu stronach barykady ekstremiści próbowali wszystko wywrócić. Ale chęć zakończenia sukcesem tej drogi do demokracji była ważniejsza od wszystkiego innego. A to oznaczało, że zabójstwo Haniego nie mogło już niczego zmienić”.

By uspokoić nastroje ulicy, po śmierci Haniego rząd Frederika de Klerka obiecuje przyspieszyć rozmowy o podziale władzy, zdając sobie sprawę, że Południowa Afryka przypomina beczkę prochu, której każda iskra grozi wybuchem. Dlatego już tydzień po pogrzebie rozpoczynają się rozmowy południowoafrykańskiego okrągłego stołu. Afrykański Kongres Narodowy domaga się w nich wyznaczenia terminu demokratycznych wyborów, a zanim do nich dojdzie, oczekuje wspólnej kontroli nad policją i siłami bezpieczeństwa.

Zmiany następują ekspresowo.

Trzeciego czerwca 1993 roku de Klerk i Mandela, mimo różnic i napięć, dogadują się w sprawie przyszłości Południowej Afryki. Pierwsze wolne, wielopartyjne, demokratyczne wybory mają się odbyć za dziesięć miesięcy – 27 kwietnia 1994 roku. Wyłoniony w nich parlament wybierze Rząd Jedności Narodowej, który w pięć lat napisze nową konstytucję. Do tego czasu obowiązywać będzie Konstytucja Przejściowa, znosząca wszystkie rasistowskie przepisy.

Rok później w wyborach startuje dziewiętnaście partii, ale tylko siedem zdobywa mandaty. Zdecydowanym zwycięzcą jest Afrykański Kongres Narodowy – wprowadza do czterystuosobowego parlamentu dwustu pięćdziesięciu dwóch posłów. W Rządzie Jedności Narodowej ma osiemnaście najważniejszych ministerstw. Partii Narodowej de Klerka przypada sześć resortów, a zuluskiej IFT – trzy.

Reporter Wojciech Jagielski odwiedza więzienie w Pretorii nazajutrz po ogłoszeniu wielkiego zwycięstwa czarnych. Waluś jest zdruzgotany.

„Jakby umarł mi ktoś bliski w rodzinie – mówi. – Oni są komunistami, którzy zniszczą ten wspaniały kraj. Zmarnują to wszystko, co zostało z takim trudem zbudowane przez białych. Boli mnie, że to wszystko zostanie zniszczone w imię utopii wielorasowego społeczeństwa, która się tu nigdy

nie spełni. Chcieli wolności i demokracji. Za parę lat ta wolność i demokracja będą jedynymi rzeczami, jakie będą tu mieli. Zresztą o jakiej wolności może być mowa w komunistycznym ustroju”[32].

Dawn Park

Zanim Waluś i Derby-Lewis zostają skazani, w domu przy Hakea Crescent pojawia się reporter „The Star” Newton Kanhema, by porozmawiać z córkami Chrisa Haniego – dwunastoletnią Lindiwe i czternastoletnią Nomakhwezi. („Wszystkich wchodzących do domu wita szeroko uśmiechający się z kolorowej fotografii na ścianie w holu Chris Hani w brązowej skórzanej kurtce. Jest tak realistyczny, że wydaje się żywy” – notuje Kanhema).

Dwunastoletnia Lindiwe pierwszy raz zobaczyła Walusia w maju w sądzie w Boksburgu, gdy decydowały się losy jego aresztowania. Zapamiętała zimne niebieskie oczy i niespotykane w Afryce blond włosy, jak u Bruce’a Peyne z jej ulubionego filmu *Pasażer 57*[33]).

„Nie mogę tego zrozumieć – skarży się reporterowi. – Skoro mówił, że komuniści w Polsce wyrządzili mu tyle zła i zniszczyli mu życie, to dlaczego przyjechał do Południowej Afryki, by zabić? Dlaczego nie zaczął we własnym kraju? Tam miał mnóstwo komunistów. Dla niego to żadna różnica, a dla mnie wielka, bo nie mam taty”.

Nomakhwezi: „Jeżeli Bóg jest tak potężny, dlaczego nie obronił mojego taty? Dlaczego nie zatrzymał morderców? Tata nie zrobił nikomu nic złego.

Czasami wydaje mi się, że tylko wyjechał na dłużej i zaraz wróci. Nie akceptuję tej śmierci. Nie ma dla mnie większej różnicy, czy ich powieszą, czy puszczą wolno, bo żaden wyrok mi go nie wróci. I po wyroku nic się nie zmieni – nie mam mojego ojca i bardzo za nim tęsknię”[34].

Na pytanie, czy wybaczy mordercom ojca, odpowiada zdecydowanie: „Nie, nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek im wybaczyła. Mam czternaście lat

i wiem, co jest dobre, a co złe. To, co zrobili, było złem”.

Johannesburg

„Wysoki, szczupły blondyn o lodowatoniebieskich oczach, patrzył beznamiętnie, jak dwoje z zaplanowanych pięćdziesięciu świadków zeznaje przeciw niemu” – tak w poniedziałek 4 października 1993 roku, w dniu rozpoczęcia procesu, opisuje Walusia John Carlin, południowoafrykański korespondent brytyjskiego dziennika „The Independent”[35].

Sprawa toczy się w stylizowanym na edwardiański budynku Sądu Najwyższego w centrum Johannesburga. Na ulicach setki zwolenników Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Obelgi, bójki i wykrzykiwane na przemian hasła: „Chcemy Walusia!” i „Powiesić ich!”.

Na sali rozpraw czarno-biały tłum. Nie obowiązuje segregacja rasowa, więc czarni siadają na ławkach obok białych, a tym, którzy są zdziwieni, biały policjant wyjaśnia: „Na tej sali rasizm nie będzie tolerowany”.

Proces prowadzi sędzia Fritz Eloff, wnuk wielkiego, jak piszą afrykanerskie gazety, Paula Krugera, bohatera wojen burskich, prezydenta republiki Transwalu, założyciela Południowej Afryki. Symbolu afrykanerskiego państwa.

„Ma to posmak obrad Narodów Zjednoczonych – pisze John Carlin. – Żaden z oskarżonych nie jest Afrykanerem, populacji stanowiącej rdzeń państwa skrajnie prawicowego. Pan Waluś wyemigrował z rodzinnej Polski dwanaście lat temu. Była mniszka Gaye Derby-Lewis pochodzi z Australii. A jej drugi mąż (i trzeci oskarżony), były członek Partii Konserwatywnej, członek parlamentu Clive Derby-Lewis, urodził się w Południowej Afryce, ale jest Anglikiem”[36].

Cała trójka odpowiada przed sądem za zamordowanie Chrisa Haniego, spisek na życie kolejnych ośmiu osób, a Waluś z Derby-Lewisem dodatkowo za nielegalne posiadanie broni i amunicji.

Carlin pisze: „Wyzwaniem dla prokuratury będzie udowodnienie winy panu i pani Derby-Lewisom. Po pierwsze, że są zamieszani w morderstwo; po drugie, że ponoszą jakąkolwiek odpowiedzialność za użycie broni; i po trzecie, że zaangażowali się w spisek mający na celu zamordowanie ośmiu innych osób – w tym Nelsona Mandeli – których nazwiska znaleziono na liście w domu pana Walusia".

Dowody przeciwko Januszowi Walusiowi są druzgocące. Obciążają go znaleziony w jego samochodzie pistolet z odciskami palców, testy balistyczne, ślady prochu na rękach i krwi na ubraniu.

„Człowiek lód" (Ice Man) – tak o nim piszą gazety, bo na sali sądowej nie okazuje żadnych emocji. Nie składa oświadczeń, nie dopytuje świadków, nie odpowiada na pytania sądu, prokuratora ani swojego obrońcy. Milczy.

Obrońca nie ma zbyt wielu argumentów, więc sięga po zeznania najbliższych. („To znak, że stracił nadzieję na uniewinnienie klienta, więc szuka argumentów za okolicznościami łagodzącymi" – piszą komentatorzy[37]).

„Maria Ras jest pierwszą osobą, dzięki której na kamiennej twarzy Janusza Walusia pojawia się uśmiech" – zauważa Peta Thornycroft z „The Sunday Star". („Pogodna i opanowana, uśmiecha się do swojego chłopaka i jego prawników").

Nie opuszcza go w najtrudniejszym momencie, odwiedza go w areszcie tak często, jak na to pozwalają przepisy więzienne. „Ludzie uważają go za wcielonego diabła, ale dla mnie jest jedynym mężczyzną w moim życiu" – opowiada już po rozprawie reporterce „The Sunday Star"[38].

Obrońca Walusia wyznacza Marii Ras trudne zadanie ostatniej deski ratunku. Jest świadkiem obrony, choć przecież nic nie wie o samym zamachu ani o przygotowaniach do niego. Ma jednak przekonać sąd, że zabicie Chrisa Haniego było próbą odreagowania oskarżonego na cierpienia w komunistycznej Polsce.

Taką samą rolę wyznacza obrońca Witoldowi Walusiowi, starszemu bratu Janusza. Zeznaje, jak on i jego rodzina cierpieli w komunistycznej Polsce,

wystawali w kilometrowych kolejkach po jedzenie, latami oczekując na przydział mieszkania. I jak komuniści zniszczyli ich fabryczkę cukierków i czekolady. „Komunizm to niszczący dusze system, który zabija godność i dumę” – mówi w sądzie Witold[39].

Ani zeznania Marii Ras, ani Witolda Walusia nie robią większego wrażenia na sądzie.

Kluczowymi świadkami oskarżenia są biali sąsiedzi Haniego – Michael Buchanan i Retha Harmse. Oboje nie tylko byli świadkami strzelaniny w Dawn Park, ale także rozpoznali zabójcę podczas identyfikacji.

Szczególnie zeznania Afrykanerki Rethy Harmse, dzięki której udało się schwytać mordercę Haniego, są przełomowe dla sprawy. W sądzie w Johannesburgu wszystko drobiazgowo potwierdza. Że były cztery strzały, że widziała oskarżonego przykucniętego przy zmarłym, że w ręku trzymał pistolet, że odjechał czerwonym hatchbackiem, że spisała numery rejestracyjne i że szybko wezwała policję. Na koniec wskazuje na ławę oskarżonych i pokazuje palcem Walusia. „To właśnie ten mężczyzna wtedy strzelał” – mówi. Na wszystkie sugestie obrońcy oskarżonego, że być może się myli, że być może nie jest pewna, że powinna się jeszcze zastanowić, odpowiada pewnie oburzonym, niewinnym głosem: „Widziałam to”.

Walusia i Derby-Lewisa pogrążają w sądzie zeznania kolegów z Partii Konserwatywnej: Faana Ventera, właściciela broni, Lionela Dyu Randta, pośrednika, który przekazał ją dalej, i Keitha Darrolla, który zawiózł ją do rusznikarza. Oraz rusznikarza Gavina Smitha, który dorobił tłumik.

Dziennikarz Artur Kemp, który przygotował osławioną adresową listę celów („Hit List”), wykorzystaną przez Walusia i Derby-Lewisa, zeznał natomiast, że przygotował ją na potrzeby artykułu, w którym Gaye Derby-Lewis chciała porównać lewicowych przywódców ANC ze stylem życia ich zwolenników. I że ani on, ani ona nie mają nic wspólnego z zabójstwem.



Clive Derby-Lewis (z lewej) i Janusz Waluś podczas Dnia Rodziny w więzieniu Kgosi Mampuru II.
Fot. z archiwum Gaye Derby-Lewis

W ciągu dwóch tygodni przed johannesburskim sądem zeznaje pięćdziesięciu świadków, którzy w mniejszym lub większym stopniu obciążają Walusia i Derby-Lewisa.

Siedemnastego października 1993 roku, gdy Norweski Komitet Noblowski ogłasza w Oslo laureatów Pokojowej Nagrody Nobla – Frederika de Klerka i Nelsona Mandelę – sędzia Fritz Eloff w Johannesburgu ogłasza wyrok w sprawie Walusia i Derby-Lewisa.

„Poprawił okulary, dotknął czerwonej peleryny i zaczął szybko wyrzucać z siebie podniesionym głosem słowa: »chaos«, »anarchia«, »fundamentalny«, »muszą zapłacić«, »najwyższa kara«" – notuje Peta Thornycroft, która jest obecna na sali rozpraw w Johannesburgu podczas ogłaszania wyroku.

Wspomina o narastającym napięciu, duszącej atmosferze oczekiwania, wstrzymującej oddech sali sądowej, dziennikarzach zamierających nad notesami i ciszy, której nie zakłóca nawet szelest papieru.

„Każdy życzy sobie, żeby już to powiedział, żeby mieć to już z głowy" – pisze dziennikarka.

Gdy sędzia dochodzi do konkluzji, jego głos staje się głębszy, zagląda w oczy Walusia.

– Oskarżony numer jeden, proszę wstać – mówi.

Waluś jest zmieszany, podrywa się na nogi. Odwraca twarz w stronę sędziego, wysoko trzyma podbródek.

– Januszu Jakubie Waluś, czy życzy pan sobie coś powiedzieć? – pyta Eloff.

Waluś chwilę się zastanawia. Mruga oczami, potrząsa głowa i mówi tak, że ledwo go słychać: – Nie, proszę pana.

– Jest pan skazany na śmierć – mówi sędzia i oskarżony siada cicho na krzesło.

Równie szybko skazany zostaje Derby-Lewis.

„Śmierć" to ostatnie słowo wypowiedziane na rozprawie przez sędziego Eloffa.

„Potem wstaje, zgarnia papiery i wychodzi" – pisze Peta Thornycroft.

Wtedy rozpoczyna się radosna zabawa. Setka głosów zaczyna śpiewać hymn plemienia Xhosa – *Nkosi Sikelel' iAfrika (Boże, pobłogosław Afrykę)*.

„Brzmi to teraz jak triumfalny marsz zwycięstwa, aż Clive Derby-Lewis odwraca się i patrzy z wyrzutem, jakby już widział przyszłość, której próbował zapobiec" – pisze Thornycroft w gazecie sprzed dwudziestu sześciu lat.

Pomaga mi ją odnaleźć Matthew Day, warszawski korespondent „The Daily Telegraph", z którym współpracuje Thornycroft. Choć urodziła się w Wielkiej

Brytanii, to karierę dziennikarską zaczynała w Południowej Afryce w „Durban Daily News" w czasach schyłkowego apartheidu, pod koniec lat osiemdziesiątych. Zawsze na pierwszej linii reporterskiego frontu – jeździ na afrykańskie wojny, opisuje partyzantów w Angoli i w Kongu, handlarzy bronią i tajne fabryki broni chemicznej.

Po upadku apartheidu buduje demokratyczne media publiczne.

By wykonywać zawód, zrzeka się nawet brytyjskiego obywatelstwa, gdy w 2001 roku rząd Zimbabwe zabrania wykonywania pracy dziennikarskiej obcokrajowcom. Rok później zostaje tam aresztowana, bo władzom Zimbabwe nie podobają się jej teksty, pisane przez nią dla zachodnich gazet. W obronie staje wówczas cały dziennikarski świat, domagając się jej uwolnienia. Wiele razy jest za swoją pracę i teksty nagradzana.

Teraz jako afrykańska korespondentka brytyjskiego dziennika „The Daily Telegraph" podróżuje po całym kontynencie i wysyła z najciekawszych miejsc relacje.

Nie zbiera wycinków prasowych, notesów, zdjęć, nagrań z dyktafonów.

Z ławy oskarżonych pamięta szczupłego, bardzo bladego i bardzo zimnego mężczyznę.

Obserwowała go w trakcie procesu i zastanawiała się, dlaczego to zrobił.

– Mogłam w pewnym sensie zrozumieć Derby-Lewisa, ale nie Walusia – mówi przez telefon ciepłym, łagodnym głosem. – Clive Derby-Lewis był prymitywnym facetem. Nawet w niedouczonym elektoracie białej prawicy postrzegany był jako grubianin. Brakowało mu ogłady. Jeśli kiedykolwiek miał poparcie wyborców, to po zamachu na Haniego właśnie je całkowicie stracił. Nie budził współczucia. Nawet swoich partyjnych kolegów. Zostawili go samego, bez żadnego wsparcia. Dziennikarze też go nie lubili. Uważaliśmy go za tchórza, który sam nigdy nie odważyłby się pociągnąć za spust, więc do tej brudnej roboty posłużył się niezbyt bystrym Walusiem. Wykorzystał tego prostego i słabo wykształconego człowieka.

Dlatego było mi go żal.

„Jeśli któryś z morderców Chrisa Haniego budzi współczucie, to jest nim Janusz Waluś. On i jego rodzina cierpieli w komunistycznej Polsce (...)

represje tajnej policji, tłumienie rodzinnego biznesu, utratę majątku i brak wolności” – pisała ćwierć wieku temu po ogłoszeniu wyroku.

Teraz dodaje:

– Był człowiekiem z innego świata i nie miał pojęcia o nas i naszej historii. Zastanawialiśmy się, dlaczego on, obcokrajowiec, w ogóle się w to zaangażował? Dlaczego Derby-Lewis go zostawił? I kiedy się zorientował, że jest sam i nikt mu nie pomoże?

Mnie dręczyło jeszcze jedno pytanie: ile Waluś z tego procesu rozumie?

Johannesburg

Janusz Jakub Waluś jest dwieście osiemdziesiątym szóstym, a Clive Derby-Lewis dwieście osiemdziesiątym siódmym więźniem oczekującym na wykonanie kary śmierci. Obaj są też pierwszymi białymi w historii Republiki Południowej Afryki skazanymi na śmierć za zamordowanie czarnoskórego polityka.

Karę śmierci wykonuje się w Południowej Afryce przez powieszenie, a więźniowie oczekują na nią w specjalnej sekcji więzienia w Pretorii zwanej The Pot (Kocioł). Egzekucje odbywają się na siedmioosobowej szubienicy, na której od roku 1959 roku powieszono 2949 skazanych. Ostatni z nich, Solomon Ngobeni, zamordował taksówkarza. Został stracony 14 listopada 1989 roku. Trzy miesiące później nowy prezydent Frederik de Klerk ogłosił moratorium na wykonywanie kary śmierci w Południowej Afryce.

Zaraz po wyroku rozpoczyna się więc ogólnokrajowa dyskusja: powieszą Walusia i Derby-Lewisa czy nie powieszą?

Teoretycznie nie powinni, bo Afrykański Kongres Narodowy od dawna domaga się zniesienia kary śmierci, a do wyborów, w których Kongres jest zdecydowanym faworytem i zapewne je wygra, zostało zaledwie pół roku. Ale z drugiej strony pojawiają się głosy, by te dwa przypadki potraktować wyjątkowo. Ekspert prawny ANC Mathews Phosa tuż po ogłoszeniu wyroku rzuca pomysł, by zawiesić moratorium i rozważyć uruchomienie szafotu

tylko dla dwóch przypadków – Walusia i Derby-Lewisa[40]. W ANC trwa na ten temat dyskusja.

„Pomysł jest taki – tłumaczy dziennikarzom Tokyo Sexwale, przyjaciel Haniego i jeden z liderów Kongresu – żeby powiesić ich publicznie w Soweto na stadionie FNB, tym samym, na którym w kwietniu odbył się pogrzeb Haniego.

Ale niech o tym już decyduje demokratycznie wybrany rząd".

Pretoria – Kgosi Mampuru II

Proces zaczął się i skończył w październiku dziewięćdziesiątego trzeciego. Wszystko szybko, bo im się z tą zdradą bardzo spieszy. Już są wtedy dogadani, że ANC przejmuje władzę w kraju. Chcą szybko załatwić sprawę, uporządkować i udowodnić, że mają jak najlepszą wolę, by to przekazanie zbytnio się nie opóźniło.

Nam zarzucają spisek i konspirację, i to, że chcieliśmy zabić innych przywódców. Tylko że nie ma na to żadnych dowodów. Trudno im zaakceptować fakt, że ich legendarnego partyzanta zastrzelił emigrant z Polski, bez przygotowania wojskowego i bez rozeznania. Co innego grupa spiskowców. Tak próbują maskować swoją niekompetencję i to, że nie potrafili go chronić.

Z procesu niewiele pamiętam. Nic ciekawego tam się nie wydarzyło. Gdyby wypadało, to bym tam drzemał.

Od chwili aresztowania wiedziałem, jak się to skończy.

Pamiętam nieprzyjazny tłum spędzony tam przez komunistów i ANC. Próbowali nas zastraszyć. Zakrzyczeć. Była też wdowa. Nie mogę sobie przypomnieć, jak była ubrana, ale podeszła w pewnej chwili do ławy oskarżonych i stanęła naprzeciwko nas. Nic nie mówiła. Stała tak i patrzyła.

Pamiętam zeznania niektórych świadków: tej dziewczyny, która mnie wtedy widziała, i tego, z bożej łaski, który zrobił ten nieszczęsny tłumik. Jemu i wszystkim tym, którzy nam pomagali zdobyć broń, policja obiecała zwolnienie z odsiadki w zamian za to, że zeznawali przeciwko nam. Wszyscy mówili, że nic nie wiedzieli, po

co ta broń była. A Clive, który był bardzo porządnym człowiekiem, wziął wszystko na siebie. Uratował ich wszystkich.

Nie wiem, jak ty czujesz przeciętnego czytelnika, ale opisywanie tego, co się tam działo, wydaje się nudne. Możesz przeczytać te akta, ale radzę ci: streść je najbardziej, jak się da. Tam naprawdę nie ma nic zaskakującego.

Cały proces był jednym wielkim cyrkiem. Ciągle powtarzali to samo: „drańczęsto", „łajdactwo", „tchórzostwo" i że usunęliśmy tak wartościowego człowieka. Nikt się nie zajmował jego przeszłością. Nikt nie badał, co robił i jakie akcje przeprowadzał. I tylko my byliśmy źli i bezwzględni. Ja i Clive.

W tej sprawie wyrok zapadł, zanim jeszcze zaczął się proces. Nie próbowałem się nawet bronić. Przez cały czas milczałem, bo taka była taktyka adwokacka, więc kara śmierci mnie nie zaskoczyła. Może nawet się uśmiechnąłem, gdy sędzia to ogłosił. Bo jakie to miało zrobić na mnie wrażenie, skoro od początku się tego spodziewałem? A ja mam taką filozofię – staram się nie martwić tym, na co nie mam wpływu.

Na sali rozpraw pojawiają się kolejni świadkowie i mówią, jacy z nas dranie. Na koniec sędzia zapytał, czy chcę coś powiedzieć, zanim zapadnie wyrok. No to się tylko uśmiechnąłem i odpowiedziałem: „Nie mam nic do powiedzenia, Wysoki Sądzie".

Wydaje mi się, że gdybyś był w podobnej sytuacji, też byś się tak zachował. Każdy by się tak zachował, gdyby chodziło o sprawę, w którą naprawdę wierzy. A ja niezłomnie wierzyłem. I ta wiara nigdy się nie zachwiała.

Skazali mnie na karę śmierci, ale wiem, że obowiązuje moratorium na jej wykonywanie, więc raczej nas nie powieszą. Ale to jest Afryka, nic nie jest pewne. Nie ma żadnej gwarancji, że się to nie zmieni. Mogą zrobić dla nas wyjątek. Nie można być niczego pewnym, ani że cię powieszą, ani że cię nie powieszą.

Pretoria

W kwietniu 1994 roku do Południowej Afryki przyjeżdża z Polski Wojciech Jagielski. Ma relacjonować dla „Gazety Wyborczej" przebieg pierwszych wolnych wyborów w Republice Południowej Afryki. Spotyka się też w więzieniu z Walusiem. Wchodzi tam jako kuzyn, a wprowadza go starszy brat Janusza, Witold. – To rozmowa z człowiekiem, który chciał zmienić

historię Południowej Afryki, i jego pierwszy wywiad dla mediów – mówi dziś o tym więziennym spotkaniu.

„Wysoki, muskularny, opalona twarz o wyrazistych rysach, krótko ostrzyżone blond włosy, nieco przyprószone siwizną. W zgniłozielonym więziennym kombinezonie Janusz Waluś przypomina Steve’a McQueena” – notuje Jagielski[41].

Rozmawiają przez telefoniczną słuchawkę, oddzieleni pancerną szybą, w zakratowanej sali przy tym wielkim spacerniaku, na którym dwadzieścia cztery lata później będę się z Walusiem spotykał. Rozmowa trwa pół godziny.

„Uważa się za więźnia politycznego, takiego samego jak działacze Kongresu więzieni w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych za walkę z apartheidem. Nie ma sobie nic do zarzucenia” – notuje reporter.

„Jestem z sobą w największym porządku – mówi Waluś Jagielskiemu. – W Afryce zrozumiałem, że bez religii, wartości duchowych, wiary, człowiek jest pusty. A wtedy staje się ofiarą takich ideologii jak komunizm”.

„Jego zdaniem zabójstwo człowieka uznanego przez kogoś za zagrożenie dla bezpieczeństwa czy porządku może być nie tylko usprawiedliwione, ale wskazane” – zapisuje Jagielski.

„Chcieliśmy żyć osobno po swojemu. Europejczycy przy linijce wykreślili granice państw, nie bacząc, że zmuszają różne narody do życia w jednym państwie. Żadne afrykańskie państwo nie funkcjonuje prawidłowo. Przyjęło się mówić, że w Europie żyją narody, a w Afryce plemiona. Ale te plemiona to też narody. Powinny żyć osobno, bo pozabijają się nawzajem” – tłumaczy.

„– Czy jesteś rasistą?

– Nie w większym stopniu niż każdy inny człowiek z Europy. Jeśli rasizmem jest widzieć różnicę, że należy się do innego narodu, do innej rasy, to tak, jestem rasistą.

– Czy czujesz się przegrany?

– Jeśli masz w życiu jakieś wartości i zasady, jeśli jesteś im wierny, jeśli masz szacunek dla samego siebie, to nigdy nie czujesz się przegrany. Jeśli czujesz się przegrany, to tak, jakbyś już nie żył. A ja wciąż żyję.

– Czy myślisz o przyszłości?

– Raczej nie. Jestem świadomy swojej sytuacji. Rozumiem, że nawet jeśli zniosą karę śmierci, dla mnie będzie to bez znaczenia. Mogą mnie przenieść do wieloosobowej celi z czarnymi. Z trzema, czterema sobie poradzę, ale z większą liczbą może być krucho. Mogą mnie nawet wypuścić, ale tylko po to, by załatwić po cichu tuż za bramą".

„Starannie dobiera słowa. Patrzy prosto w oczy. W jego głosie czuje się pewność siebie i jakiś wewnętrzny spokój" – zapisuje Jagielski.

Dziś Jagielski mówi: – Miałem wrażenie, że rozmawiam z człowiekiem bardzo ostrożnym. Wprost mi nie powiedział, że zabił. Tylko że niektóre zabójstwa są dopuszczalne. Powoływał się na honor. Miał wyrok śmierci, ale się odwoływał. Silna osobowość, pewny siebie. O skrusze nie było mowy. Przekonany o słuszności tego, co zrobił.

Rozmowa z Januszem Walusiem ukazuje się najpierw w Polsce, a potem zostaje przedrukowana w afrykanerskim tygodniku „Rapport" w przededniu zaprzysiężenia nowego prezydenta RPA – Nelsona Mandeli. Tekst ukazuje się na pierwszej stronie na tle zakrytych kocem zakrwawionych zwłok Haniego i opatrzony jest tytułem redakcyjnym: *Waluś w celi śmierci nadal uważa, że zabójstwo Haniego było konieczne*.

Przerażony jest brat Janusza.

„To zmniejszyło jego szansę na ewentualne skorzystanie z zapowiedzianej przez nowe władze RPA amnestii dla więźniów politycznych" – mówi „Gazecie Wyborczej"[42].

CZĘŚĆ 4

Warszawa

Od 1993 roku Janusz Waluś przebywa w centralnym więzieniu w Pretorii przy autostradzie wylotowej do Johannesburga. To największe więzienie w Południowej Afryce. Tysiące więźniów podzielonych na bloki, sekcje, piętra. Zaraz po procesie na widzenia doprowadzany jest w kajdanach. Łańcuch krępuje mu ręce i nogi. Rozmowy mogą odbywać się tylko przez pancerną szybę i tylko po angielsku. Podobnie z korespondencją – wychodzącą i przychodzącą.

Z ramienia polskiej ambasady sprawuje nad nim opiekę konsul Andrzej Opaliński. Jest pierwszym polskim urzędnikiem, który odwiedza Walusia po ogłoszeniu wyroku.

„Zimny, twardy, bez emocji. Niczego nie żałuje. Sprawia wrażenie bezwzględnego zabójcy. Zero skruchy" – raportuje swoim przełożonym konsul Opaliński.

W maju 1994 roku czterdzieści minut sam na sam za pancerną szybą spędza z nim Ryszard Malik, wtedy dziennikarz „Rzeczpospolitej", później dyplomata, teraz emeryt.

– Szedłem tam, licząc na szczerą rozmowę, bo chciałem się dowiedzieć, dlaczego zamordował, a usłyszałem trochę oklepanych frazesów i zdawkowych odpowiedzi. On nie miał ochoty ze mną rozmawiać. Nie odpowiadał na pytania, bąkał coś pod nosem, unikał prostych odpowiedzi. Ciągnąłem go na różne strony. O rodzinie, o kolegach, o więzieniu. Nic. Tylko ogólniki.

Jedno, co z niego emanowało, to przekonanie, że zrobił słusznie, że temu Haniemu się należało, bo to był zły człowiek i doprowadziłby na pewno do wojny domowej. To było tak oczywiste dla niego, że nie próbowałem nawet z tym dyskutować.

Malik: „Jak czuje się człowiek w celi śmierci? Czego mu brakuje?”.

Waluś: „Przede wszystkim spotkań z najbliższymi, z rodziną. Wolności, otwartych przestrzeni, powietrza, no i piwa”.

Malik: „Jest Pan w celi śmierci, może wykonają wyrok?”.

Waluś: „Nie sądzę. Myślę, że »nowa« Południowa Afryka nie zacznie rządów od wykonywania wyroków. To byłoby źle przyjęte. Raczej rozwiążą tę sprawę po cichu”.

Malik: „Nie boi się Pan?”.

Waluś: „Boję się, że przeniosą mnie do celi z czarnymi, a oni się szybko ze mną rozprawią. Może to lepsze niż siedzenie do końca życia. (...) Nie zgadzamy się na rządy czarnych. Powinno powstać państwo białych – Volstaat”.

Malik: „Nie lubi pan czarnych?”.

Waluś: „W Kongresie [Afrykański Kongres Narodowy] to nie czarni mają coś do powiedzenia, ale komuniści, którzy chcą ten wspaniały kraj doprowadzić do ruiny, w imię swojej fanatycznej ideologii. Tak dobrze znanej w Polsce. Tak dobrze znanej w sąsiednich państwach. W Rodezji, gdzie rządzi totalitarny dyktator, w Angoli i Mozambiku, gdzie po okresie ich rządów jest totalna anarchia. Oni to lubią, to uzasadnia ich istnienie”.

Malik: „Czy jest Pan niewinny?”.

Waluś: „Powiem tak... w moim sumieniu oceniam, że jestem niewinny”[43].

Wywiad ukazuje się w „Rzeczpospolitej” w maju 1994 roku. Największe zainteresowanie budzi u redaktora naczelnego pisma Dariusza Fikusa. Opowiada swoim dziennikarzom, że świetnie zna rodzinę Walusiów, bo jeździł do nich do Zakopanego w latach pięćdziesiątych, gdy mieszkali w willi „Pyszna”. Ale gazeta tematu nie podchwytuje, bo Polska żyje już czymś innym. Upadkiem fabryk, rosnącym bezrobociem, rozwijającym się handlem chodnikowym, aferą Banku Śląskiego, wizytą prezydenta Billa Clintona, koncesją dla pierwszej ogólnopolskiej prywatnej telewizji – Polsatu.

W Południowej Afryce temat zabójstwa Haniego też schodzi z pierwszych stron gazet. Są ważniejsze sprawy: upadający apartheid, gigantyczny wzrost

przestępczości, przejęcie władzy przez Afrykański Kongres Narodowy i nowy prezydent Nelson Mandela. Dlatego rozprawa apelacyjna morderców Chrisa Haniego nie budzi już dużych emocji. Ani w Polsce, ani w RPA.

W listopadzie 1994 roku w sekcji apelacyjnej Sądu Najwyższego Republiki Południowej Afryki po analizie spraw nr 585/93 i 586/93 odrzucona zostaje apelacja obu skazanych.

Wyrok sędziego apelacyjnego G.G. Hoextera nie daje skazanym żadnych nadziei: „Niewiele jest przestępstw budzących większe obrzydzenie obywateli niż to, za które wnoszący apelację zostali należycie skazani. Sąd pierwszej instancji ostatecznie doszedł do wniosku, że kara śmierci była jedyną właściwą. I ja nie mam tu wątpliwości. W tej kwestii całkowicie zgadzam się z wyrokiem. W związku z tym potwierdzam wyrok śmierci".

Radom

Do Ewy w Radomiu wysyła listy w kolorowych kopertach. Pisze po angielsku, bo inaczej nie pozwalają. I po angielsku Ewa na te listy odpowiada, bo w przeciwnym razie nie dostarczyliby ich ojcu do celi.

Ani słowa w nich o karze śmierci, o trudach więziennego życia, braku nadziei. Tylko same dobre informacje.

W kopertach są kolorowe widoczki, serduszka, misie. Są karteczki z rysunkami szczura, którego spotkał w celi, i afrykańskimi zwierzętami, z dopisanymi informacjami, ile ważą, ile mierzą, jak szybko biegają. Pyta, jak Ewa radzi sobie w szkole, a jak w domu. Ale tematy dla małych dziewczynek się wyczerpują. Ewa dorasta i się tym pisaniem coraz bardziej irytuje: „Jaki jest sens korespondowania o afrykańskich zwierzętach? Albo o normalnym życiu, albo wcale?" – pisze do ojca.

– I wtedy wypluł ten kij, stał się otwarty i zaczęliśmy rozmawiać normalnie – opowiada mi Ewa.

W połowie lat dziewięćdziesiątych listy ojca zmieniają ton.

Pisze o radościach:

„Święta już za pasem. Od 5 grudnia do 10 stycznia mamy nieograniczone wizyty, bo normalnie najwyżej pięć w miesiącu. Pogoda dość wyczerpująca – raz upał, raz zimny front. I tak w kółko. Z żarciem nieco lepiej, bo mogę sam sobie gotować. Jest, jak jest. Wczoraj na przykład okazyjnie kupiłem rybę. Oczywiście była kradziona w kuchni. Dwa kilogramy za pięć randów. Co jakiś czas udaje mi się zdobyć jajka, kurczaka lub kawałek wieprzowiny. Można by uznać tę cenę za okazyjną, z drugiej strony płacę przecież za to, co powinienem mieć za darmo".

O troskach:

„Jakiś pismak próbuje udowodnić, że nam amnestia się nie należy. Ale na szczęście nie jest to w ręku ani rządu, ani tym bardziej dziennikarzy".

O codziennym życiu:

„Wiesz, że specjalnym telewidzem nigdy nie byłem, ale tutaj z nudów albo dla zagłuszania hałasu z innych cel czasem pozwalam sobie na luksus wyłączania mózgu i oglądania obrazków. Godziny otwartych cel jak zawsze wykorzystuję w większości na trening, gotowanie i oczywiście wizyty w innych celach. Jednym słowem okej i bez większych zmian".

O dobrych radach i mądrościach:

„Posyłam Tobie i mamie kartkę produkcji więziennej wykonaną przez jednego z moich kolegów, który nie jest więźniem politycznym. Jest tutaj od siedmiu lat.

Zrobił duży błąd w życiu. Chciał sfingować swoją własną śmierć i pobrać wysokie ubezpieczenie. Żeby plan się mógł powieść, musiał użyć starego włóczęgi i alkoholika (to nic usprawiedliwiającego). Spalił go w swoim samochodzie. Dostał karę śmierci i jego wspólnik też. Cóż, przekonali się chłopcy, że nie ma łatwych pieniędzy".

W roku 1996 po raz pierwszy pojawia się w listach nadzieja:

„Podobno mamy być powołani przez komitet amnestyjny w styczniu, ale jak ze wszystkim tu, to nic pewnego. Więc jak zwykle nie martwić się, tylko czekać. (...) Nie jest także wykluczone, że nasza aplikacja zostanie rozpatrzona bez publicznego wysłuchania. Na pewno bym tak wolał, bo

wszystko potoczyłoby się szybciej. Z drugiej strony publiczne wysłuchanie naszych aplikacji dałoby znakomitą okazję propagandy dla naszej strony".

W 1996 roku Janusz Waluś (wniosek AM 270/96) przerywa milczenie. Z Clive'em Derby-Lewisem (wniosek AM 271/96) piszą do powołanej niedawno Komisji Prawdy i Pojednania (True and Reconciliation Commission) prośbę o objęcie ich postępowaniem amnestyjnym:

„W Południowej Afryce toczyła się wojna. Chris Hani był żołnierzem i bojownikiem o sprawę. Stanowił więc usprawiedliwiony cel wojskowy".

W zamian za ujawnienie całej prawdy o zamachu domagają się darowania kary.

Komisja Prawdy i Pojednania to pomysł Nelsona Mandeli na zakopanie topora wojennego między białymi a czarnymi, zgłoszony zaraz po wyborze go na prezydenta Republiki Południowej Afryki w maju 1994 roku. Ma to być rodzaj trybunału ludowego do rozliczenia zbrodni apartheidu po obu stronach barykady. Z tym że zamiast wymierzania kar ma być ich odpuszczenie. Procesy miałyby przypominać publiczną spowiedź; w zamian za szczere wyznanie grzechów i wyrażenie żalu sprawcy mogliby doświadczyć łaski wybaczenia im zbrodni popełnionych z pobudek politycznych.

Komisja zostaje powołana przez prezydenta Nelsona Mandelę w 1995 roku. Ma ogromne kompetencje i może unieważniać prawomocne wyroki sądowe i darować kary. Janusz Waluś jest jedną z 7112 osób, które chcą skorzystać z tego dobrodziejstwa. Musi tylko przekonać sędziów komisji, że zabicie Haniego to czyn popełniony z pobudek politycznych. I wydaje się, że ma duże szanse, bo przecież zabicie Haniego to najgłośniejszy mord polityczny od wielu lat.

Pretoria – Kgosi Mampuru II

Za bramą więzienia zostajesz sam. Jedni mają odwagę cię odwiedzać, inni już nie.

Zostają ci, którzy byli prawdziwymi przyjaciółmi. Reszta powoli się wykrusza, odchodzi. Mają coraz mniej czasu dla ciebie, przestają odpisywać na listy, a potem znikają. I musisz to zaakceptować.

Po zwycięstwie w wyborach do Kongresu w 1994 roku było już wiadomo, że ja z więzienia nie wyjdę. Z gazet dowiedziałem się, że Marija znalazła sobie nowego faceta, ma już inny punkt zaczepienia. Nie będę jej przecież trzymał na siłę. Widać było, że nie ma to sensu, więc kiedy przyszła na kolejne widzenie, życzyłem jej szczęścia. Z Mariją straciłem kontakt w 1995 roku, ale wiem, że jest w dobrych relacjach z mężem i że ma syna, co sprawia mi radość, bo się o nią martwiłem.

Nie możesz się czuć zdradzony i oczekiwać, że ktoś będzie czekał na ciebie całe życie. W więzieniu zaczynasz lepiej dostrzegać realia. Zdajesz sobie sprawę, że twoje życie się skończyło i że nic się w nim już nie wydarzy. Ale to już wiedziałem w chwili aresztowania.

Miałem tu jeszcze jedną dziewczynę. Afrykanerkę. Ma na imię Beril. Poznaliśmy się listownie. Potem zaczyna mnie odwiedzać. Zostaje moją dziewczyną, zamierzamy się pobrać, ale władze nam to uniemożliwiają. Czeka na mnie jedenaście lat. W końcu proszę ją, by odpuściła i dłużej na mnie nie czekała. Wyszła za mąż za bardzo przyzwoitego człowieka – Edwina. „Ma dwoje dzieci z poprzedniego małżeństwa – Itvin i Tanię, które traktuję jak swoje", napisała mi. Z Beril i jej mężem jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Odwiedzają mnie, kiedy tylko mogą. Ja też jestem z nimi w stałym telefonicznym kontakcie[44]*.*

Miałem wielkie wsparcie ze strony mamy, która chorowała na parkinsona, ale co tydzień była z wizytą i przynosiła ciężkie siatki z owocami, kiedy było to jeszcze dozwolone.

Mama wiedziała, kim była ofiara zamachu, wiedziała, w jakim byłem politycznym środowisku i nie było jej czego tłumaczyć. Rozumieliśmy się. Byliśmy politycznie po tej samej stronie. Nigdy nie było słowa nagany, zawsze poparcie: jak pomóc? czego ci potrzeba?

I tak do samego końca.

Tak samo z Witkiem i ojcem, z którym miałem po jego wyjeździe tylko listowny kontakt. (Ojciec nie wyraża żalu w listach. Pisze wprost: „Tak trzymać").

Do Wandy i Ewy napisałem w 1993 roku list, w którym starałem się wszystko wyjaśnić. List wysłałem przez prawnika, ale nigdy do nich nie dotarł.

Wiem, za co siedzę. To nie jest dla mnie żadne poniżenie. To jest wkalkulowane ryzyko, które przyjąłem na siebie w momencie, kiedy podjąłem się tej misji. Zostałem uwięziony przez reżim zdrajców de Klerka. A przetrzymuje mnie tu reżim, który w moim mniemaniu jest nielegalny. Republika Południowej Afryki przestała istnieć w 1994 roku, a nazwa RPA funkcjonuje dla utrzymania kontraktów handlowych i rozpoznawalności międzynarodowej.

Nie czuję się więźniem kryminalnym. Nawet strażnicy to uznają.

Mam poczucie winy z powodu zabicia męża, ojca rodziny, boskiego stworzenia, ale kontekst polityczny to już jest całkiem inna sprawa. Dostrzegam dwoistość natury ludzkiej. Ale w pewnych warunkach jesteś zmuszony do działań, które wydają się w tym momencie niezbędne. Podejmujesz w życiu decyzję i się jej trzymasz.

Czy zrobiłbyś to jeszcze raz? – pyta mnie wielu ludzi. To są dla mnie nie za mądre pytania. Nie możesz porównywać doświadczenia czterdziestolatka i sześćdziesięciopięciolatka ani sytuacji kraju sprzed dwudziestu pięciu lat z tym, co dzisiaj.

Jak trafiasz za kraty, zaczynasz żyć życiem więziennym, z jednej strony walczysz, by nie dać się stłamsić, z drugiej jesteś wbity w to życie i stajesz się zinstytucjonalizowany. Nie masz już tej werwy wolności.

Kiedy przychodzi informacja, że stajemy przed Komisją Prawdy i Pojednania, Clive jest wielkim optymistą. Ja może trochę mniejszym, ale jest w nas głęboka wiara, że tę polityczną amnestię dostaniemy. Przecież jesteśmy jednym z najbardziej politycznych przypadków, jakie mogą tam być rozpatrywane. Docierają do nas jakieś plotki z wewnętrznych dyskusji w Kongresie, że są w kropce z naszego powodu. Wiedzą, że nie ma innego wyjścia, jak tylko nas zwolnić.

Johannesburg

Publiczne przesłuchania przed Komisją Prawdy i Pojednania do spraw Naruszenia Praw Człowieka i do spraw Amnestii odbywają się

w Kapsztadzie, Johannesburgu, Randburgu, Pretorii, Soweto i wielu innych miastach i miasteczkach Południowej Afryki. Chodzi o to, żeby niemal każdy mógł przyjść i spojrzeć oprawcom w oczy. Dlatego przesłuchania odbywają się w pobliżu wielkich skupisk czarnych obywateli. Wszędzie są pełne sale. Widać je w telewizorze, gdzie zwykle relacje z procesów nadawane są na żywo, a ich skróty w wieczornych dziennikach.

Przez dwadzieścia jeden miesięcy przesłuchań południowoafrykańska telewizja pokazuje ofiary tortur, pobić, postrzeleń, farm śmierci i brutalnej policji politycznej. Ale też terrorystycznych zamachów bombowych i samosądów dokonywanych przez Włócznię Narodu.

W muzeum apartheidu w Johannesburgu, w betonowej salce kinowej można zobaczyć czterdziestominutowy film o działalności Komisji Prawdy i Pojednania. Dokument wyświetlany jest jednocześnie na trzech ekranach.

Na lewym: czarnoskóry purpurat. Na środkowym: starszy mężczyzna na inwalidzkim wózku, wciągany po schodach do jakiegoś urzędowego budynku. Na prawym: ten sam mężczyzna na wózku siedzi już przed mikrofonem w sali pełnej ludzi. To Sinqokwana Ernest Malgas, który za działalność w Afrykańskim Kongresie Narodowym trafił w 1963 roku na wyspę Robben. Spędził tam czternaście lat. A potem był wielokrotnie aresztowany w Port Elizabeth i Cradock. Opowiada o torturach i upokorzeniach, które go spotykały. Niewiele można z tego zrozumieć, bo płacze.

Ten w purpurze to biskup południowoafrykańskiego Kościoła anglikańskiego Desmond Mpilo Tutu, laureat Pokojowej Nagrody Nobla i jeden z najbardziej znanych na świecie przeciwników apartheidu. W lipcu 1995 roku stanął na czele Komisji Prawdy i Pojednania, która ma rozliczyć przeszłość. Przed komisją przewija się tysiące oficerów apartheidowskich służb specjalnych, ale nie ci, którzy wydawali im rozkazy. Wśród nich jest człowiek o wyglądzie biegłego księgowego, w okularach o szkłach grubych jak denka od słoików. W gazetach nazywany jest „pierwszym złym” albo „egzekutorem okularnikiem”. Ma na sumieniu około trzech i pół tysiąca ofiar. Około, bo nikt nie jest w stanie ich dokładnie policzyć. Nazywa się

Eugene de Kock, jest byłym pułkownikiem policji, odpowiedzialnym za porwania i tortury przeciwników apartheidu. Na środkowym ekranie można zobaczyć najważniejsze miejsce jego pracy – gospodarstwo rolne Vlakplaas, dwadzieścia kilometrów na zachód od Pretorii. To tu od 1980 roku przywożono czarnych na przesłuchania. Na prawym ekranie pułkownik wciąż opowiada po afrykanersku o szczegółach swojej pracy na farmie Vlakplaas.

Kolejny bohater – major policji Craig Williamson. Gruby, łysiejący, z rudą brodą. Na jego polecenie służby specjalne zamordowały Ruth First, żonę południowoafrykańskiego komunisty Joego Slova, wysyłając jej bombę w przesyłce pocztowej. Jego zeznaniom przysłuchują się dwie osłupiałe córki First.

Na prawym ekranie kapitan Lawrence Gerald Wasserman w wyprasowanej białej koszuli opowiada o dwudziestotrzyletniej Phili Portii Ndwandwe, a na środkowym prowadzi kamerę przez mokry busz do polany. Tu rozkopują dół i wyciągają z błota przestrzeloną czaszkę Ndwandwe, którą śledczy Komisji Prawdy i Pojednania pokazują do kamery.

Tylko ani słowa o sprawie numer 12447: *Clive John Derby-Lewis i Janusz Jakub Waluś przeciwko Jego Wysokości, Honorowemu Przewodniczącemu Komisji Prawdy i Pojednania, Wielebnemu Arcybiskupowi Desmondowi Tutu, pani Limpho Hani i Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej.*

(Śmierci Haniego poświęcono w muzeum tylko jedną gablotę. Zdjęcie Janusza Walusia zrobione podczas zeznań przed Komisją Prawdy i Pojednania, pistolet Vektor Z88 kaliber 9 mm, którego użył 10 kwietnia, i jednozdaniowe wyjaśnienie, że był to punkt zwrotny w historii Południowej Afryki, po którym Partia Narodowa i Afrykański Kongres Narodowy powróciły do negocjacji pokojowych, co uchroniło państwo przed wojną domową).

W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych sprawa zabójstwa Chrisa Haniego nie budzi już takich emocji: przebieg wypadków jest mniej więcej znany, wiadomo, kto zabił i że obaj sprawcy zamachu ponieśli za to karę. Gdy 11 sierpnia 1997 roku w Ratuszu w centrum Pretorii rozpoczynają się przed

Komisją Prawdy i Pojednania przesłuchania zabójców Chrisa Haniego, pozostaje tylko jedno pytanie: czy istniała mityczna góra, która zleciła zabójstwo, i kto jeszcze brał w tym udział? To mógł wiedzieć jedynie Clive Derby-Lewis, który zeznaje pierwszy.

Derby-Lewis przemawia, jakby był na wyborczym wiecu. Stara się przekonać komisję, że zabicie Haniego to jedyny racjonalny wybór. Mówi, że dla niego stało się to jasne 26 maja 1990 roku, gdy był jednym z dziesiątek tysięcy białych obywateli, którzy na wzgórzu pod Pretorią, w świętym miejscu dla każdego Afrykanera – przy pomniku Voortrekkera – przyszli zaprotestować przeciwko zdradzie de Klerka, kolaboracji z czarnymi i zapowiedzi zakończenia białej dominacji. Przewodniczący Partii Konserwatywnej doktor Andries Treurnicht wezwał wtedy Burów do trzeciej wojny o wolność. [Dwie poprzednie Burowie toczyli na przełomie wieków z Brytyjczykami].

Na pytanie, dlaczego Chris Hani, Derby-Lewis odpowiada:

„Zdrada de Klerka stawała się coraz bardziej oczywista i oczywiste też było, że walka zbrojna jest nieunikniona, dyskutowaliśmy więc dużo o tym, jak zadać ostateczny cios komunizmowi, który był dla nas prawdziwym wrogiem – tłumaczy komisji Derby-Lewis. – Jasne było też, że Chris Hani, jako przywódca partii komunistycznej, stanowi realne zagrożenie dla naszej przyszłości i dla Republiki Południowej Afryki. Był bardzo popularny. Wierzyliśmy, że to on może zostać wybrany na pierwszego prezydenta Południowej Afryki.

Nie było w tym nic osobistego. Chodziło o działania, które przyniosą pożądany skutek. Spodziewaliśmy się, że po jego zabójstwie kraj pogrąży się w chaosie, zmobilizuje to ludzi po prawej stronie i wykorzystana zostanie ta próżnia do kontrrewolucji i przejęcia władzy w kraju. By tego dokonać, naszym celem musiał być ktoś taki jak nieżyjący Chris Hani.

Nie znałem nikogo innego, za kim podążałyby takie tłumy. Wybór celu był hołdem złożonym Chrisowi Haniemu.

I jeśli przeanalizujemy wydarzenia, które po tym nastąpiły, to wszystko działo się zgodnie z planem. Zapanował chaos, generałowie się zjednoczyli, prawica rozpoczęła rozmowy z wojskiem, by stworzyć front narodowy. Z gazet i od osób, które mnie odwiedzały, dowiadywałem się o planach, by

zapobiec zniszczeniu kraju i przejąć go. Nie znam szczegółów, bo mnie tam już nie było, ale było dla mnie całkiem jasne, że prawica chciała przejąć władzę. Zamierzałem zwołać pilne posiedzenie klubu Partii Konserwatywnej, aby im powiedzieć, co zrobiłem, i zmotywować do kolejnych działań, ale niestety, zostałem aresztowany”.

Na pytanie, jak wielu ludzi spodziewał się zabić, żeby osiągnąć zamierzony cel, odpowiada:

„Miałem nadzieję, że zostanie to ograniczone do minimum. Nie chcieliśmy krzywdzić niewinnych ludzi i mieliśmy nadzieję, że straty zostaną ograniczone do minimum. To, że celem była tylko jedna osoba, pokazuje, że naszym zamiarem było ograniczenie strat do minimum”.

Na pytanie, czy jako chrześcijanin nie miał wątpliwości:

„Pod względem nauk biblijnych, my, jako chrześcijanie, mamy obowiązek zwalczać antychrysta w każdy możliwy sposób. Jako praktykujący musiałem sobie odpowiedzieć na pytanie, czy moje działania są zgodne z chrześcijańską wiarą. Te bardzo głębokie kwestie teologiczne omówiłem z przewodniczącym Partii Konserwatywnej Treurnichtem, który był doktorem teologii.

Dostałem od niego jednoznaczną odpowiedź, że w walce z antychrystem w pewnych okolicznościach zabijanie jest dopuszczalne. W sprawie antychrysta nauka płynąca ze świętej Biblii jest całkiem jasna: komunizm jest wehikułem antychrysta. A my walczyliśmy z komunizmem, zanim pan Hani stał się naszym celem”.

Po zeznaniach Derby-Lewisa niewiele więcej wiadomo niż przed. Bo skoro Waluś miał być tylko zapalnikiem uruchamiającym cały proces odzyskiwania państwa przez białych, to dlaczego przez kolejne siedem dni, aż do aresztowania, Derby-Lewis nie zrobił nic, by zaangażować wojsko i policję, które miały dokonać przewrotu? Był wtedy wiceprzewodniczącym największej opozycyjnej partii i człowiekiem o wielkich politycznych wpływach. Dlaczego nie podjął żadnych działań?

Pretoria/Mamelodi

W czwartek 21 sierpnia 1997 roku Janusz Waluś wkracza na scenę Ratusza w Pretorii w szarym garniturze. Opowiada o cierpieniach swoich i swojej rodziny, których doświadczali w komunistycznym reżimie. O represjach, które spadały na tych, którzy nie chcieli brać udziału w komunistycznym święcie 1 Maja, o wprowadzonej na przełomie 1978 i 1979 roku reglamentacji jaj, masła i mięsa[45]. Budzi współczucie dziennikarzy, gdy mówi o głodowej racji trzech i pół kilograma mięsa przypadających miesięcznie na głowę dorosłego Polaka, dwudziestu latach oczekiwania na przydział mieszkania, ciułanych przez Polaków dolarach, za które można cokolwiek kupić.

Mówi o swojej ucieczce z Polski, o przygotowaniach do zamachu i o samym morderstwie. Z wielogodzinnego przesłuchania przebija się do mediów tylko minutowa relacja, gdy opowiada o tym, jak zastrzelił Haniego.

Na widowni siedzi w turkusowym kostiumie wdowa – Limpho Hani, obok w oliwkowej bluzce jej córka – osiemnastoletnia Nomakhwezi. Obie mają słuchawki na uszach, bo Waluś zeznaje po polsku i wszystko jest dopiero tłumaczone na angielski. Dlatego sens jego słów dociera do nich z pewnym opóźnieniem. Widać to po reakcjach Nomakhwezi, która słucha w skupieniu, jak mężczyzna w szarym garniturze mordował jej ojca:

Waluś tłumaczy: „...i wyjąłem pistolet zza paska spodni, oddałem pierwszy strzał w korpus, po którym pan Hani obrócił się w miejscu, i podczas tego obrotu oddałem drugi strzał w głowę".

Waży każde słowo, dla którego tłumacz bardzo starannie szuka najlepszego angielskiego odpowiednika. Kiedy więc mówi o dwóch strzałach oddanych z najmniejszej odległości za ucho do leżącego na podjeździe mężczyzny, telewizja robi przebitkę na córkę, której twarz z wolna tężeje i zastyga w bólu dopiero wtedy, gdy po wypowiedzeniu całej kwestii Waluś sięga po szklankę z wodą. Potem kamera pokazuje pomrukującą wrogo widownię, która przyniosła z sobą portret Chrisa Haniego, i nielicznych zwolenników Walusia przed Ratuszem, protestujących przeciwko jego uwięzieniu. Wszystko to Południowa Afryka ogląda na żywo w ogólnokrajowej telewizji. „Zrobiłem to dla Partii Konserwatywnej, by powstrzymać komunistów i radykałów przed zdobyciem władzy w tym kraju".

Pod koniec listopada kolejne przesłuchania na Uniwersytecie w Mamelodi, trzydzieści kilometrów na wschód od Pretorii. Dziedziniec wysypany jest czerwonym żwirem, sala wygląda jak kinoteatr w domu kultury, krzesła ustawione w rzędach przed sceną, na której Wysoki Trybunał przesłuchuje Walusia.

„To tu pięciu mężczyzn za szerokim stołem ma rozstrzygnąć, czy w imię pojednania narodowego wybaczyć Januszowi Walusiowi, zabójcy murzyńskiego przywódcy Chrisa Haniego. Imigrant z Polski Janusz Waluś zachowuje podczas przesłuchań kamienną twarz. Tylko nerwowo splatane ręce świadczą o tym, że ta maska może być pozą” – pisze z Mamelodi Wojciech Jagielski[46].

– Był poważny, rzeczowy, ale pozbawiony emocji, jakby to go nie dotyczyło – opowiada dziś reporter. – Był przekonany, że dla wszystkich jest jasne, że to był mord polityczny i bez wielkiego proszenia o łaskę zostanie potraktowany tak jak ludzie z Kongresu, którzy przygotowywali zamachy bombowe na cywili. Oczekiwał takiego samego traktowania.

Komisja czeka natomiast na jakiś gest empatii, na skruchę, na uderzenie się w piersi. Gdyby powiedział, że jest mu przykro i zrobi wszystko, by naprawić krzywdy, wrażenie byłoby inne. Nic takiego się nie zdarza, więc jest rozczarowanie.

Ułaskawieniu Walusia sprzeciwia się adwokat wdowy George Bizos, człowiek wpływowy, przyjaciel prezydenta Mandeli, obrońca w procesach politycznych ery apartheidu, współtwórca Komisji Prawdy i Pojednania. Mówi, że komisja jest kompromisem między całkowitą amnestią a południowoafrykańską Norymbergą. Jego zdaniem Waluś na łaskę nie zasługuje, bo zabijając Haniego, chciał wywołać wojnę domową, w której zginęłyby tysiące ludzi, a ponadto nie powiedział całej prawdy o spisku[47].

Bardziej radykalna jest Nomakwezi, która po wysłuchaniu Walusia mówi dziennikarzom: „Zabił mojego tatę. Nie ma prawa żyć”[48].

Pretoria – Kgosi Mampuru II

Na każdym przesłuchaniu jest wdowa Hani i tłumek jej wielbicieli, którzy mi wygrażają. Nie jest to przyjemne, ale staram się ich ignorować. Wiem, że to wszystko nie jest wymierzone we mnie, tylko w sędziów, którzy podejmują decyzję o moim życiu. To ich chcą zastraszyć.

Nie czuję, że są stronniczy. (Okazali się lepszymi aktorami niż sędziami).

Mają wszystkie moje rozmowy ze śledztwa na taśmach wideo. Wtedy się dowiaduję, że oni mnie po kryjomu nagrywali. Taśmy potwierdzają w zasadzie wszystko to, co zeznałem przed komisją. I pewnie dlatego zostają przed komisją zupełnie pominięte.

Lider Partii Konserwatywnej Ferdi Hartzenberg też zeznaje. Ale zamiast powiedzieć: „Zaczęła się przemoc i niektórzy członkowie Partii Konserwatywnej przystąpili do ataku", to kluczy. Niby zeznaje na naszą korzyść, ale wszystko to mętne i bez konkretu. Mówi, że czuł się jak ojciec, który dostaje na gwiazdkę prezent od syna, który mu się nie podoba, ale musi go zaakceptować. To jeszcze nie było najgorsze; najgorsze było to, że po wyjściu z przesłuchania nic już nie zrobił, żeby nam pomóc. Przynajmniej takie mam wrażenie.

Clive jest urodzonym optymistą, więc wierzy, że decyzja o amnestii dla nas będzie jednogłośna i pozytywna. Ja, sceptyk, mam oczywiście wątpliwości.

Czekamy ponad rok.

Witek ma swoje wejścia w sekretariacie przewodniczącego i próbuje dowiedzieć się czegoś nieoficjalnie. Mówi, że decyzja została już podjęta. Ma być ogłoszona przed świętami. To czwarty rok naszego uwięzienia. Czekamy z Clive'em niecierpliwie.

Docierają do mnie przecieki, że moja apelacja będzie uznana, dostanę amnestię, ale Clive'a nie wypuszczą. Nie mówię mu o tym. Bo jak czegoś nie wiesz na pewno, to nie warto o tym w ogóle wspominać. To byłoby przecież nieludzkie.

Decyzja przyszła do więzienia listem. Komendant wezwał nas do siebie, wręczył pismo i kazał czytać.

„W dniu siódmego kwietnia 1999 roku Komitet w składzie Justice Mall (jako przewodniczący) oraz sędziowie Wilson, Ngoepe, Potgieter i Khampepe odrzucił wnioski o amnestię złożone przez obu skarżących[49].

Podstawą odmowy jest ustalenie, że zarówno Derby-Lewis, jak i Waluś nie spełnili dwóch z trzech jurysdykcyjnych warunków wstępnych przyznania amnestii. (...)

Komitet nie był przekonany, że zabijając Haniego, aplikanci działali w imieniu Partii Konserwatywnej, publicznie znanej organizacji politycznej, której obaj w momencie zabójstwa byli członkami lub byli przez nią wspierani. (…) Partia Konserwatywna nigdy nie zaakceptowała ani nie propagowała polityki przemocy lub zabijania przeciwników politycznych. Partia nigdy nie była świadoma planowanego zabójstwa i tylko dowiedziała się o tym po wydarzeniu. Nigdy nie zatwierdziła tego morderstwa.

Komitet uznał, że zabójcy Haniego nie działali w imieniu swoich partyjnych obowiązków lub z wyraźnego upoważnienia Partii Konserwatywnej. Zostało to potwierdzone przez dowody przedstawione przez przewodniczącego Ferdiego Hartzenberga oraz przez samych skarżących.

Wreszcie Komitet stwierdził, że zarówno Derby-Lewis, jak i Waluś nie ujawnili w pełni szeregu »ważnych i istotnych dowodów«”.

To był cios zupełnie niespodziewany. Nogi się pode mną ugięły, ale nie możesz tego pokazać po sobie, bo ludziom życzliwym robisz przykrość, a ludziom nieżyczliwym dajesz mnóstwo satysfakcji. Tak mniej boli.

Warszawa

O tym, co dzieje się z Januszem w więzieniu, profesor Magdalena Fikus dowiaduje się od jego matki, Teresy, z którą w latach dziewięćdziesiątych wciąż utrzymuje kontakty listowne.

Teresa ma żal, że Partia Konserwatywna nie pomaga jej synowi i odwróciła się od niego. Skarży się, że Janusz ma nędznego adwokata i że przez niego przegrał proces.

Po wyroku drży o życie syna. Boi się, że mimo zapewnień władzy egzekucja jednak zostanie wykonana. A potem, gdy zaczynają się postępowania przed Komisją Prawdy i Pojednania, żyje nadzieją, że Kuba zaraz opuści więzienie.

– On tam opowiadał o strasznych represjach i cierpieniach, których doświadczał w komunistycznej Polsce. Nigdy o tym nie słyszałam – mówi

Magdalena Fikus. – Dla mnie to było dwóch rozpuszczonych facetów, którym ojciec dawał tyle pieniędzy, ile chcieli.

Teresa skarży się, że jej listy do syna nie dochodzą i ma z nim utrudniony kontakt.

Do Polski jej listy wysyłane z Południowej Afryki docierają coraz rzadziej i są pisane coraz bardziej rozedrganą ręką, aż w końcu stają się nieczytelne. A potem przestają w ogóle przychodzić.

– Była bardzo chorą i nieszczęśliwą osobą – mówi o niej profesor Fikus.

Teresa umiera w roku 2004, w wieku osiemdziesięciu lat. Pochowana zostaje w Pretorii. Do domu pogrzebowego i na cmentarz więzienni strażnicy przywożą Janusza Walusia zakutego w kajdanki. To jego jedyna przepustka w ciągu dwudziestu sześciu lat przebywania w więzieniu w Pretorii.

– Wyglądał strasznie – opowiada Zofia Florczyk, która uczestniczyła w pogrzebie. – Chudy i zimny. Stał tam bez ruchu, jakby odlany z wosku.

CZĘŚĆ 5

Johannesburg

Widać ją na filmach dokumentalnych z pogrzebu. To ta mała dziewczynka w czerwonej marynarce z wielkim białym kołnierzem. Stoi przy trumnie ojca, z białym gołębiem w rękach, którego wypuszcza nad stadionem, by zapewnić Południowej Afryce pokój.

Ma na imię Lindiwe, co w języku plemienia Xhosa znaczy „wyczekiwana córka". Ma wtedy dwanaście lat i jest najmłodszym dzieckiem Chrisa Haniego (Neo Phakama – ma wtedy dziewiętnaście, a Nomakhwezi Lerato czternaście).

Urodziła się w małym miasteczku Roma na terenie Lesotho, niezależnego państwa leżącego na terenie Południowej Afryki, gdzie do niedawna mieszkała jej rodzina. Ojcu zawsze grozili śmiercią i zawsze się ukrywał, dlatego nie mógł wrócić do Republiki Południowej Afryki. Ukrywali się, od kiedy pamięta.

Na początku lutego 1990 roku wszystko się zmienia. Gdy wraca ze szkoły, mama jest uśmiechnięta i podekscytowana. Krzyczy do niej z radości, że teraz tatuś wróci do domu.

Lindiwe jest w szóstej klasie i chodzi do prywatnej szkoły w Maseru, gdy z mamą i siostrami ogląda w telewizji, jak po dwudziestu siedmiu latach, sześciu miesiącach i sześciu dniach władze Republiki Południowej Afryki zwalniają z więzienia Nelsona Mandelę. („Każde dziecko wtedy znało jego nazwisko"). Ubrany w ciemny garnitur i białą koszulę idzie wolno, otoczony tłumem, trzymając za rękę swoją żonę Winnie. Potem wsiada do szarego samochodu i rusza niespiesznie przez rozentuzjazmowany gąszcz ludzi. Kamera zamontowana na helikopterze pokazuje, jak mija kolejne miasta i miasteczka. Wszędzie na drodze przejazdu stoją ludzie, pozdrawiają Mandelę i tłoczą się, by zobaczyć go z bliska.

Wtedy mama im powiedziała, że pojadą wkrótce do Południowej Afryki szukać nowego mieszkania, gdzie zamieszkają razem z ojcem.

Z Maseru w Lesotho do Johannesburga w Południowej Afryce jest ponad czterysta kilometrów. Lokum szukają w okolicach stolicy w Johannesburgu. Znajdują pod Boksburgiem, w Dawn Park, białej, zdominowanej przez Afrykanerów podmiejskiej dzielnicy. (Obowiązuje jeszcze wtedy ustawa zabraniająca zamieszkiwać czarnym w miejscach zasiedlonych przez białych, ale nikt jej już nie przestrzega).

„Byłam zachwycona pięknem tego miejsca: schludne domy, zielona trawa, rajskie żywopłoty, wszystko bezpieczne" – Lindiwe notuje swoje wrażenia. A tak opisuje wystawiony na sprzedaż dom: „Po przekroczeniu progu – wielki *open space* z łukiem nad wejściem. Gdy za przesuwaną szklaną szybą zauważyłam basen w ogrodzie, to wyłam z radości. Ale to było nic w porównaniu z tym, gdy odkryliśmy kuchnię. Wyglądała jak z telewizyjnego show o dobrym gotowaniu. To była na pewno największa kuchnia, jaką widziałam w życiu, pełna białych drzwiczek do szafek z drewnianymi uchwytami. Wydawało się, że to miejsce jakiegoś mistrza kucharskiego. Oczywiście mnie, dorastającej na ograniczonej przestrzeni, wszystko wydawało się ogromne w tym domu. Bez wahania mama i ja zaakceptowałyśmy, że będzie to nasz dom. (...)

Kiedy tata po raz pierwszy zaparkował tam samochód na podjeździe, popędziłam przez pokój z łukami, ogród i zatrzymałam się na krawędzi wielkiego błękitnego basenu, zachwycając się, że wciąż tam jest"[50].

Lindiwe Hani ma wtedy dziesięć lat, teraz – trzydzieści dziewięć. Jest autorką bestsellera, w którym opisała życie w traumie po śmierci ojca i cierpieniu po stracie uzależnionej od narkotyków siostry (Nomakhwezi zmarła w 2012 roku). W książce opisała też szczerze swoje uzależnienie od kokainy i alkoholu, staczanie się i podnoszenie z dna.

Jej zdjęcia są w kolorowych magazynach i codziennych gazetach. Jako córka bohatera narodowego często pokazuje się w telewizji.

Mieszka w Modderfontein, na bogatych przedmieściach Johannesburga. (Po drugiej stronie miasta jest Szpital Akademicki im. Chrisa Haniego). Mam na nią czekać we włoskiej kawiarni we Flamingo Shopping Center, blisko jej domu. Wielki parking otoczony sklepikami, kawiarenkami

i restauracjami, który dla mieszkańców okolicznych strzeżonych osiedli pełni funkcję europejskiej starówki. Zjeżdżają popołudniami, by zrobić drobne zakupy, zjeść z rodziną kolację lub napić się kawy. Zbliża się południe, więc wszędzie jeszcze jest pusto.

Na spotkaniu pojawia się z ustami pomalowanymi czerwoną szminką, zaplecionymi w kok warkoczykami i w sukience na ramiączkach. Z dzieciństwa zbyt dużo nie pamięta.

Wiedziała, że muszą się ukrywać, bo szukają ich ludzie, którzy mogą ich w każdej chwili zabić. Że gdy pojawi się zagrożenie, będzie musiała wszystko zostawić i natychmiast uciekać. I wiedziała, że może się to stać w każdym momencie.

Tata był tylko łagodnym i niskim głosem w słuchawce telefonu, który pytał: „Co u was słychać?". Fizycznie nigdy go przy nich nie było.

Wiedziała, że jest żołnierzem, dowódcą jakiejś armii, bo gdy była u niego w Zambii, ludzie w mundurach stawali przed nim na baczność i okazywali mu respekt.

Pamięta egzotyczny wyjazd z ojcem do Moskwy, spacer po placu Czerwonym, wspólne zabawy, jego miłość do muzyki klasycznej, Shakespeare'a i książek. I to, że nigdy nie dał jej odczuć, że wolałby mieć syna, choć przecież była trzecią z kolei córką.

– Nie wiem, dlaczego wybraliśmy przedmieścia Boksburga – mówi. – Chyba dlatego, że znaleźliśmy ten wymarzony dom i od razu go pokochaliśmy. Pierwszy raz mogliśmy zamieszkać tam wszyscy razem, jak prawdziwa rodzina. Nie byliśmy jedyną czarną rodziną, która tam zamieszkała. I nikt nie miał poczucia, że może się stać coś złego.



Lindiwe Hani, córka Chrisa Haniego.
Fot. Cezary Łazarewicz

W domu nie było żadnych alarmów. Nie było bramy, więc do ogrodu można było wejść prosto z ulicy.

Może nie było dla nas bezpiecznego miejsca, ale tam nie żyliśmy w poczuciu zagrożenia. Choć tacie ciągle ktoś groził śmiercią. Pamiętam, jak wyjęłam kiedyś list ze skrzynki pocztowej przed domem. Tata otworzył go przy mnie, a tam były same pogróżki.

W piątek, 9 kwietnia wstaliśmy rano, bo mama chciała pojechać do naszego starego domu w Maseru. Cztery godziny drogi autostradą. Khwezi została w domu, bo chciała z tatą następnego dnia iść do fryzjera. Neo była na uczelni. W końcu do Maseru mama wzięła tylko mnie. Rano tata wyszedł przed garaż, by się z nami pożegnać. Gdy już ruszyłyśmy spod domu, coś mnie tknęło i się obróciłam. Widziałam go w tylnej szybie samochodu, jak stoi na podjeździe z podniesioną ręką i macha nam na pożegnanie. Był tam taki samotny.

Następnego dnia zadzwonił telefon i ktoś powiedział mamie, że tata nie żyje. Wracałyśmy w pośpiechu. W domu panował chaos. Mnóstwo ludzi się tam

kręciło. Przestawiano mnie z miejsca na miejsce i nie dawano mi płakać. Miałam być silna.

Następnego dnia pokazali nam jego ciało w kostnicy. Był zimny i obcy. Nie mogłam uwierzyć, że to już koniec. Każda mała dziewczynka wierzy, że jej ojciec jest supermenem i nic złego nie może go spotkać. I ja też w to wierzyłam. Nie potrafiłam sobie wyobrazić życia bez niego, zwłaszcza teraz, gdy po tylu latach zamieszkaliśmy wreszcie razem i byliśmy rodziną.

Pełno było we mnie bólu i gniewu. Dlaczego on? – pytałam. Nie mogłam sobie z tym poradzić.

Gdy Waluś i Derby-Lewis zostali skazani na śmierć, poczułam ulgę. Dwunastoletnia Lindiwe była szczęśliwa. Chciałam, żeby umarli, i cieszyłam się, że stanie się to wkrótce. Tylko wciąż się to przedłużało. Coś było nie tak i zawsze się opóźniało. Rok później odbyły się wybory i już było wiadomo, że wyrok nie będzie wykonany. Zamienili im karę śmierci na dożywocie. Też się ucieszyłam. Śmierć byłaby zbyt dobra dla nich, tak to sobie tłumaczyłam. Chciałam, żeby cierpieli, żeby do końca życia myśleli o tych, których wtedy skrzywdzili. Nienawidziłam ich za to, że tak zranili naszą rodzinę.

Pierwszy raz zobaczyłam go na własne oczy w sądzie. Przeszedł obok mnie.

Miał zimne, puste niebieskie oczy. Patrzył przed siebie, ale nikogo nie widział.

Chciałam wiedzieć, kim jest. Dlaczego przyjechał do nas z obcego kraju? Co to za kraj? Dlaczego nienawidzi komunistów? Dlaczego nie walczył z nimi w Polsce? I najważniejsze: dlaczego zabił mojego tatę?

Chciałam zrozumieć.

Nadal go nienawidziłam, ale zaczął mnie interesować.

Warszawa

W połowie lat dziewięćdziesiątych do biura poselskiego Konfederacji Polski Niepodległej przy Nowym Świecie w Warszawie przyjeżdża Tadeusz Waluś.

Prosi posłów najbardziej antykomunistycznej partii w Sejmie o interwencję w sprawie przebywającego w afrykańskim więzieniu syna. Młody, ale bardzo ideowy pracownik biura obiecuje pomoc. Pisze list z zapytaniem o los więźnia do polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, skąd dostaje zdawkową odpowiedź, że Waluś znajduje się pod opieką konsularną polskiej ambasady w Pretorii i niewiele więcej można zrobić.

Osobą, która wysyła list, jest warszawski historyk Tomasz Szczepański. W latach osiemdziesiątych też walczył z komunizmem, szukał swojej politycznej drogi, miotając się od lewej do prawej burty. Zaczynał w socjalistycznym PPS, potem było piłsudczykowskie KPN, antykomunistyczny Ruch Odbudowy Polski, aż trafił w końcu do antyeuropejskiej, ultrakatolickiej Ligi Polskich Rodzin.

Potem robi krok w bok. I idzie własną drogą – kultu słowiańskiego boga Światowida, przeciwko truciznom zachodniego świata – liberalizmowi i chrześcijaństwu. Rejestruje neopogańskie stowarzyszenie Niklot i staje się prekursorem polskiego neopogańskiego nacjonalizmu. [W największym uproszczeniu – to połączenie myśli narodowej Romana Dmowskiego (bez Boga) z wojującym antyklerykalizmem].

Doktor Tomasz Szczepański jest nauczycielem historii w szkole (obecnie pracownikiem naukowym Muzeum Katyńskiego – Oddział Martyrologiczny Muzeum Wojska Polskiego), publicystą historycznym, warszawskim radnym, a jako Barnim Regalica wyznawcą neopogańskiej religii, wzywającym do rewolucji narodowej, zapowiadającym wymianę elit. Przez ostatnie ćwierć wieku o sprawie Walusia nigdy nie zapomina.

To on wymyśla akcję wysyłania do więzienia w Pretorii świątecznych kartek, zbierania podpisów pod petycjami o jego zwolnienie z więzienia, noszenia jego portretów, transparentów „Uwolnić Walusia", stawiania pikiet pod Ministerstwem Spraw Zagranicznych i ambasadą Republiki Południowej Afryki. Pierwszy nazywa Janusza Walusia ostatnim żołnierzem wyklętym.

Ale spotkać się nie chce.

„Pracował Pan w »Wyborczej« i »Newsweeku«, a teraz chce Pan zrobić, oczywiście, obiektywny i rzetelny :) reportaż o Januszu Walusiu i osobach go wspierających? Nie prościej od razu napisać, że jesteśmy bandą faszystów?" – odpowiada na maila, w którym proszę go o rozmowę.

Szczepański dużo na temat Walusia mówi na kanałach narodowców na YouTubie.

„Z perspektywy czasu widać, że Janusz Waluś miał rację. Chris Hani był komunistycznym terrorystą, agentem Moskwy i człowiekiem, który swoimi działaniami na śmierć zasłużył". (W wywiadzie dla internetowego kanału Centrum Edukacyjne Powiśle).

„Mamy do czynienia z idealistą, człowiekiem wierzącym w sprawę, patriotą Polski, który związał się z narodem Burów. Bolał nad tym, co będzie się działo z jego krajem. Bał się, że będzie się staczać do poziomu takiego, gdzie władzę przejmie czarna większość. Rozumiał zagrożenie komunistyczne i chciał tego oszczędzić krajowi, z którym się związał. (Spotkanie z dr. Tomaszem Szczepańskim i red. Michałem Zichlarzem w kwietniu 2016 roku: *Czy Janusz Waluś to ostatni żołnierz wyklęty?*).

„Janusz Waluś zrobił dobrą rzecz. Bo skoro komunizm jest złem zagrażającym nam wszystkim, to walka z komunizmem jest rzeczą dobrą. Zabijanie szczególnie groźnych przedstawicieli komunizmu jest rzeczą dobrą. To, co zrobił Janusz Waluś, jest czynem dobrym. Dlatego go bronię. (...)

Czyn Janusza Walusia zasługuje na nasze wsparcie, bo była to walka z zagrożeniem dla całej ludzkości. Czyn ten nawiązuje do szlachetnych tradycji narodu polskiego, który walczył o wolność narodu polskiego, ale też innych narodów. Sława Januszowi Walusiowi!" (Pikieta „Wolność dla Janusza Walusia" pod Ministerstwem Spraw Zagranicznych, 7 czerwca 2017 roku).

Pretoria – Kgosi Mampuru II

Mój obecny dom. Trzy na dwa i pół metra, na trzecim piętrze. Za stalowymi drzwiami po lewej – umywalka, a za nią w zaułku toaleta, czyli kibel z bieżącą wodą. Po prawej – duże łóżko, metr osiemdziesiąt na metr trzydzieści. Akurat dla mnie świetnie pasuje.

Na wprost ściana, którą widzisz, jak tylko otwierasz celę. W niej okno. Dosyć duże, wychodzi na północ i wpada przez nie sporo światła. Cela ma cztery metry wysokości,

a okno jest pod sufitem. Żeby coś przez nie zobaczyć, trzeba wspiąć się na łóżku. Widać przez nie kawałek więziennego skrzydła, niebieskie niebo i szary pagórek.

Wszystko, co mam, moje dobra doczesne, trzymam w czterech plastikowych skrzynkach, stojących pod oknem, po lewej od łóżka.

To moja sypialnia, jadalnia, pralnia, suszarnia, sala gimnastyczna, gabinet, a z rzadka – salon.

Mam jeden kontakt elektryczny, czajnik, radiomagnetofon z odtwarzaczem CD, który przydaje się do nauki języków. Niestety, w mojej celi nie mogę złapać programu Radia Pretoria, a to jedyna stacja, której jeszcze da się słuchać.

Telewizora, dzięki Bogu, nie mam. Mógłbym mieć, gdybym przeniósł się do zbiorowej celi, ale cenię sobie samotność. Mieszkam tu od pięciu lat. Władze więzienia uznają, że więźniowie o wyższym profilu powinni być w pojedynczych celach, bo jak będą razem i ktoś kogoś ukatrupi, to tylko niepotrzebne kłopoty.

Budzę się wcześniej, między piątą a wpół do szóstej. Nie lubię, gdy budzi mnie zgrzyt klucza, bo to ingerencja w moją prywatność. O szóstej, gdy strażnik otwiera celę, wolę być ubrany, umyty, ogolony, pić kawę, grzecznie się uśmiechać i pozdrawiać go, gdy staje w drzwiach.

Prysznic jest jeden na czterdziestu więźniów, ale jakoś się to w ciągu dnia rozkłada na wszystkich. Ciepła woda, jeśli w ogóle jest, to zimą zawsze znika. Ja biorę prysznic rano, a potem do dziewiątej czytanie, do jedenastej nauka portugalskiego.

Cele są wtedy pootwierane, można spacerować między sekcjami i między piętrami. Spotkania i rozmowy. Poznajesz nowych kumpli. Ja niedawno zakumplowałem się z Andree, Afrykanerem, byłym księgowym. Cyferki mu się poprzestawiały i zginęły miliony. Dostał dziesięć lat, ale już jest praktycznie na wyjściu. Przez ostatnie półtora roku pomagałem mu podciągnąć się trochę fizycznie.

O drugiej idę na godzinę na siłownię.

O czwartej zamykają cele.

Po zamknięciu robię sobie czterdziestopięciominutową drzemkę. Nie mogę spać dłużej niż godzinę, bo znowu w nocy nie zasnę.

Obiad jest niejadalny. Kurczak zawsze niedopieczony, krew wokół kości. By się nie nabawić salmonelli, trzeba to obgotować. Mam tylko czajnik, więc tam przygotowuję,

ale nie bezpośrednio, boby potem kawa śmierdziała. Kurczaka zalewam wrzątkiem w starej puszce po kakao, wstawiam do czajnika, gotuję z pół godziny.

Ryby dają już upieczone. Ale trzeba je oczyścić. To zajmuje z godzinę.

Lubię ryby, więc kupuję je za papierosy. Jedna ryba kosztuje dwa papierosy.

Obiad i jego przygotowanie zajmuje dwie godziny. Staram się to tak rozplanować, żeby skończyć przed siódmą.

Znowu czytanie. Po polsku, portugalsku, angielsku.

O dziewiątej robię przemeblowanie. Skrzynki spod okna przesuwam przed drzwi, żeby zrobić sobie miejsce na trening.

Na przemian: jeden dzień trening karate, drugi – trening siłowy. Pompki, przysiady, ćwiczenia brzucha i grzbietu.

Zasłaniam nos i usta podkoszulkiem i zamiatam podłogę, bo strasznie się kurzy. Myję się cały w tej umywalce przy wejściu.

Staram się codziennie modlić, odmówić pięć dekad różańca. Rano zawsze, a wieczorna modlitwa czasem się gubi. Bo po treningu jestem tak zmęczony, że idę od razu spać. Jeśli nie zasnę przed północą, to męczę się do rana: budzę się, przewracam.

I nic mi się nie śni.

Warpuny

Wyznacza spotkanie w restauracji We Młynie we wsi Warpuny koło Mrągowa. Konsul P. hoduje tu niedaleko konie, wynajmuje kwatery turystom i jest znany wszystkim jako pan Zbyszek z Warszawy.

Zajmujemy stolik pod oknem i przenosimy się do roku 1998. Pan Zbyszek zamienia się w konsula Rzeczypospolitej Polskiej w Pretorii. Jego głównym obowiązkiem jest zapewnienie opieki nad obywatelami polskimi, nawet jeśli takim obywatelem jest ktoś, kim Polska nie chce się chwalić.

W centralnym więzieniu w Pretorii jest ich dwóch. Medialny celebryta Janusz Waluś i zupełnie nieznany Andrzej K., który zastrzelił kochankę, gdy nakrył ją na zdradzie z własnym mężem. Jego zastrzelił przy okazji. Na K. afrykańscy więźniowie wołają „Kurwa", bo to polskie słowo, którego najczęściej używa w rozmowach z nimi.

Pod względem konsularnym obaj więźniowie są dość mocno zaniedbani. Nikt ich nie odwiedza, nikt się z nimi nie kontaktuje, nikt nie pomaga im w walce o przedterminowe zwolnienie. Przedstawiciele polskiej ambasady unikają ich jak ognia, bo szczególnie nazwisko Waluś źle się kojarzy. Nic na nim zbudować w Południowej Afryce nie można, za to wszystko można stracić. Jest jak czerwona płachta na byka. Dlatego nie ma się co z nim afiszować.

Pomóc Walusiowi też za bardzo nie można, bo sprawa jest beznadziejna, a każda próba zaangażowania dyplomatycznego może być źle odebrana przez miejscowe władze. Tego konsul P. dowiaduje się zaraz po przyjeździe do RPA od ambasador Zofii Kuratowskiej. Tłumaczy więc, że chce pomóc człowiekowi, którego oddziela od czynu, winy i kary.

– Byłem po prostu go ciekaw – mówi dziś.

Po jego przyjeździe zmienia się stosunek ambasady do niego. P. przynajmniej raz w miesiącu odwiedza Walusia w więzieniu w Pretorii. Jako dyplomata podejmowany jest na specjalnych warunkach. Może przychodzić, kiedy chce, i rozmawiać z więźniem, jak długo zechce. Zanim trafi do sekcji *maximum security*, gdzie przebywa osadzony, podlega jednak niezbyt szczegółowej rewizji. Strażnicy zaglądają jedynie do jego dyplomatycznej walizki, kartkując religijne książki, które niesie skazanemu, i nic więcej ich już nie obchodzi.

W sali, która przypominała zdemolowaną świetlicę w biednej afrykańskiej szkole, wymianie zdań przysłuchuje się tylko jeden strażnik. Szybko się nudzi rozmową w nieznanym, szeleszczącym języku i po kwadransie wychodzi. Wtedy konsul P. wyciąga ukryte w skarpetach papierosy, a z rękawów pęta kiełbasy. I rozmawiają z sobą aż do ostatniego plasterka.

Ma zimne oczy mordercy, ale jest sympatyczny, oczytany i pobożny. Odmawia różaniec trzy razy dziennie i pali jak smok – tak zapamiętał go konsul P.

Od razu przechodzą na „ty".

– Janusz uważa, że zabicie Haniego to lekkie puknięcie kulą historii, która zmierzała w niewłaściwym kierunku. Czuje się jak komandos, który zabija Hitlera tuż przed jego dojściem do władzy, oszczędzając tym Europie

strasznych wojennych cierpień. Uważa swój czyn za poświęcenie, gotów był przecież zginąć, by skierować historię na właściwe według niego tory. Jest przekonany, że pomógł Południowej Afryce, i rozczarowany, że nikt tego nie docenia.

Podobnie myśli miejscowa Polonia, która traktuje zabójcę Haniego z pełnym zrozumieniem, a nawet z podziwem. Bali się radykalizmu Haniego i tego, że zrujnuje Południową Afrykę, tak jak Robert Mugabe zrujnował Zimbabwe.

Gdyby Hani żył, być może to on, a nie Nelson Mandela byłby pierwszym czarnym prezydentem demokratycznej Południowej Afryki. I byłoby znacznie gorzej. Usprawiedliwiają więc Walusia, mówiąc, że uchronił ich przed złym losem.

Bo Hani był ukochanym przez lud dowódcą Umkhonto we Sizwe, Włóczni Narodu, bohaterskiej gwardii ludowej, która co prawda podkładała bomby w centrach handlowych, ale zawsze w słusznej sprawie. Robili zresztą to samo co nasi partyzanci dokonujący zamachów na restaurację Caffe Club czy kawiarnię Ziemiańską.

Żeby zmienić swoją tragiczną sytuację, Waluś musiałby się uderzyć w pierś i głośno poprosić: „Przebaczcie mi, błądziłem".

Tylko on tego nigdy nie powie. Odmawia jakiegokolwiek gestu skruchy. Gdyby to na mnie padło, pewnie już po miesiącu bym się pokajał i prosił o drugą szansę.

Jest twardy. Potrafi zrobić czterdzieści pompek na kłykciach, ale o żadnym geście uznania swojej winy nie chce słyszeć.

„Nie bądź idiotą – prosiłem. Masz tylko jedno życie. Zabiłeś człowieka, więc przeproś, a oni ci może przebaczą i wypuszczą z więzienia".

„A on ilu zabił? Ile podłożył bomb? Ile dzieci zginęło przez niego w zamachach bombowych?" – pytał.

„Pokajaj się. Przeproś wdowę, która hamuje twoje zwolnienie" – naciskałem.

„Nigdy w życiu" – odpowiadał.

I tak sobie rozmawialiśmy aż do końca mojej dyplomatycznej misji w 2002 roku.

P. wrócił do Polski. Kupił gospodarstwo koło Warpun. Hoduje konie. Kontakt z Walusiem się urwał. Wizyty w więzieniu powinna kontynuować jego następczyni, ale dowiedział się, że odmówiła. Była na spotkaniu raz czy dwa i poprosiła ambasadora o zwolnienie z tego przykrego obowiązku.

– To jest błędne koło: on nie wyrazi żadnej skruchy, a oni go nie wypuszczą bez zmiany tej jego niezłomnej postawy – mówi dziś były konsul P. – Boją się, że po wyjściu z więzienia przyjedzie do Polski i stanie się medialną gwiazdą. Będzie wygłaszał oświadczenia, udzielał wywiadów w telewizji, stanie się bohaterem. Na to nie chcą się zgodzić.

Wrocław/Pretoria/Warszawa

Kończą się posiedzenia Komisji Prawdy i Pojednania i kończy się medialne zainteresowanie zabójcami Chrisa Haniego. Nazwisko Waluś od 1998 roku pojawia się coraz rzadziej w gazetach. Mnożą się natomiast teorie spiskowe w dwóch ojczyznach Polaka.

Pierwszy oficjalne ustalenia śledztwa kwestionuje Stanisław Potrzebowski, działacz Światowego Ruchu Białego Człowieka, który raz, około roku 1990 (dokładnie nie pamięta), podczas pobytu w Południowej Afryce przez mniej więcej godzinę rozmawiał z Walusiem. „Był człowiekiem sympatycznym, spokojnym i opanowanym, o poglądach patriotycznych” – tak charakteryzował Walusia, gdy wrócił do kraju[51]. W połowie lat dziewięćdziesiątych ogłosił w partyjnej gazecie Konfederacji Polski Niepodległej, że to kto inny zabił Chrisa Haniego, a Waluś został tylko w morderstwo wrobiony.

Staszko z Wrocławia, bo tak się dzisiaj przedstawia, jest naczelnikiem Rodzimej Wiary – neopogańskiej religii słowiańskiej, którą zarejestrował i której mianował się najwyższym kapłanem. W sprawie Walusia zdania nie zmienił.

– On nie mógł tego zrobić – zapewnia.

– Ale się przecież przyznał.

– Moim zdaniem przyznał się tylko dlatego, żeby mieć możliwość skorzystania z amnestii i wyjść z więzienia – upiera się Potrzebowski.

***

W 1997 roku południowoafrykański tygodnik „Mail &Guardian” pisze, że służby specjalne apartheidu wiedziały o przygotowywanym zamachu na życie Haniego. Nie podjęły jednak żadnych działań, bo same chciały się go pozbyć, a gdy okazało się, że to samo szykują prawicowi ekstremiści i wyznaczyli już nawet do grupy uderzeniowej Polaka – odstąpili i oddali im inicjatywę, obserwując z oddali rozwój wypadków. Informacja o tym, że Hani pozbawiony jest ochrony, miała być przekazana spiskowcom przez jednego z jego ochroniarzy.

Zdaniem gazety apartheidowskie służby bezpieczeństwa, które przez wiele lat zwalczały Afrykański Kongres Narodowy, zaczęły blisko współpracować przy zamachu na życie Haniego właśnie ze swoim śmiertelnym wrogiem, czyli Afrykańskim Kongresem Narodowym. W ten sposób jedni chcieli pozbyć się groźnego radykała, który buntował czarną biedotę, drudzy – konkurenta do władzy. „Mail & Guardian” powołuje się przy tym na rozszyfrowanych przez siebie podwójnych i pojedynczych agentów biorących udział w tej najtajniejszej z tajnych akcji, relacje świadków i cytaty z tajnych dokumentów, do których mieli dotrzeć dziennikarze.

Tygodnik pisze, że obaj zamachowcy mieli być tuż po aresztowaniu przerzuceni za granicę. Clive Derby-Lewis miał trafić do Australii, a Janusz Waluś do Polski. Gazeta twierdzi, że w sprawie cichej deportacji tego drugiego toczyły się nawet tajne rozmowy z Polakami. Ale gdyby tak było, musiałby o nich przynajmniej wiedzieć ambasador Polski w Pretorii, a Stanisław Cieniuch podkreśla, że nigdy o niczym podobnym nie słyszał.

Inna sprawa, czy Derby-Lewis i Waluś poświęciliby tyle lat spędzonych w więzieniu, by kryć prominentnych ludzi Kongresu, przed władzą których chcieli uchronić Południową Afrykę.

W 2009 roku publicysta Robert Wood Johnson w swojej książce *South Africa’s Brave New World: The Beloved Country Since the End of Apartheid* (*Nowy wspaniały świat Południowej Afryki: ukochany kraj po zniesieniu apartheidu*) wraca

do sprawy spisku w Afrykańskim Kongresie Narodowym. Tylko że jego zdaniem najbardziej podejrzany jest Joe Modise, były komendant partyzantki Umkhonto we Sizwe i pierwszy czarnoskóry minister obrony narodowej nowej RPA. Według Johnsona miał on być tajnym agentem służb specjalnych apartheidu. I to on miał zlecić zamordowanie Chrisa Haniego, gdyż Hani odkrył gigantyczną aferę korupcyjną. Modise miał zdefraudować olbrzymią kwotę dwóch i pół miliona randów, sprzedając na lewo dostarczaną dla czarnych partyzantów broń, a pieniądze zainkasować do własnej kieszeni.

Kiedy ukazują się rewelacje Johnsona, minister Joe Modise od ośmiu lat już nie żyje. Autor nie próbuje też swojej teorii skonfrontować z siedzącymi w więzieniu zabójcami i zapytać ich, czy współpracowali z Modise.

Jeszcze dalej idzie w 2013 roku internetowy portal News24. W tekście *Chris Hani, Jesuits, the Pope and Mugabe (Chris Hani, jezuici, papież i Mugabe)* próbuje znaleźć związek między Kościołem rzymskokatolickim, Janem Pawłem II, reżimem południowoafrykańskim, Januszem Walusiem, CIA i nazistami. I znajduje. Odkrywa, że Clive Derby-Lewis był w młodości uczniem katolickiego college'u Christ Brothers, jego pochodząca z Australii żona Gaye jest natomiast byłą zakonnicą, a Janusz Waluś, jak piszą, jezuitą. To ma potwierdzać uwikłanie Kościoła w zabójstwa polityczne w Południowej Afryce, w tym również Chrisa Haniego[52].

Rok później holenderska działaczka na rzecz praw człowieka Evelyn Groenink rozwija twórczo teorię Johnsona. Też pisze, że Hani zginął, bo odkrył korupcję w szeregach ANC przy zakupie broni dla partyzantów, ale od siebie dodaje, że mógł też zablokować przygotowywany przez liderów Kongresu gigantyczny kontrakt wartości siedemdziesięciu miliardów randów.

Groenink sugeruje, że skrajna prawica poświęciła Janusza Walusia, by chronić handlarzy bronią i ich skorumpowanych klientów z Afrykańskiego Kongresu Narodowego, zaplątanych w tę zbrodnię. Kluczową rolę w zabójstwie Haniego miał odegrać Peter Jackson, przyjaciel Walusia, jego ostatni pracodawca, właściciel firmy transportowej (według autorki był on znanym w RPA handlarzem bronią). Tym, którzy zastanawiają się, dlaczego więc nie trafił za kratki, autorka od razu wyjaśnia: bo śledztwo zostało

zmanipulowane tak, by Janusz Waluś i Clive Derby-Lewis skazani zostali tylko we dwóch.

Nie za bardzo jednak można sobie wyobrazić, jak miałaby wyglądać współpraca komunistów z antykomunistami. Wiadomo przecież, że najbardziej antykomunistyczną partią była wtedy Partia Konserwatywna, a tam najbardziej zaciekłym przeciwnikiem komunizmu był Clive Derby-Lewis. Czy podjąłby się współpracy ze znienawidzonym wrogiem?

Czy Nelson Mandela, który mówił o Chrisie Hanim, że traktuje go jak własnego syna, mógł brać udział w spisku, by wyeliminować go z wyścigu prezydenckiego? Groenink też chyba czuje, że to mało prawdopodobne, więc tę sprzeczność próbuje wyjaśnić tak: „W czasach przemian politycznych wczorajszy sojusznik polityczny może szybko stać się dzisiejszym politycznym zagrożeniem".

Evelyn Groenink kontynuuje śledztwo przez kolejne lata i swoje odkrycia publikuje w internecie i w gazetach. W końcu dochodzi do wniosku, że Waluś prawdopodobnie miał na miejscu wspólnika[53]. Powołuje się przy tym na odnalezionego przez siebie świadka. Pielęgniarka Dudu Kraai mieszkała w Dawn Park i w chwili morderstwa Haniego wysiadała z taksówki w okolicach jego domu. Teraz, po ćwierć wieku, opowiada Groenink, że widziała dwa samochody jadące za Hanim. Ten drugi był cały biały, a w środku siedział biały mężczyzna o oliwkowej karnacji. Zaczął wyprzedzać samochód Haniego, zrównał się z nim, a potem odjechał. Na Hakea Crescent został już tylko Waluś w czerwonym fordzie laserze.

Ale w dokumentach śledztwa ani w relacjach świadków do tej pory nic nie było o tym tajemniczym białym aucie. To dlatego – tłumaczy Groenink – że wszystkie informacje o nim zostały z dokumentów usunięte.

Tylko dlaczego Retha Harmse, główny świadek oskarżenia, nie powiedziała nic o tym drugim samochodzie? Groenink ma też na to stosowne wytłumaczenie. Po prostu – wbrew ustaleniom śledztwa – nie było jej pod domem Haniego w chwili zabójstwa. Ale skoro Harmse nie było pod domem Haniego, to w jaki sposób zdobyła numery rejestracyjne samochodu zabójcy i kto przekazał je policji?

No i co z zeznaniami samego Janusza Walusia, który przed Komisją Prawdy i Pojednania potwierdził, że niebieska mazda Rethy Harmse zatrzymała się na ulicy, gdy stał z bronią przy ciele zabitego Chrisa Haniego? On też miałby kłamać?

Jest w tych poszukiwaniach alternatywnych wyjaśnień jeszcze jeden wątek polski. W 2016 roku w tygodniku „W Sieci" ukazuje się artykuł Tadeusza Brzozowskiego poświęcony sprawie Janusza Walusia. Autor przywołuje wszystkie wcześniej głoszone teorie spiskowe, ale dodaje coś od siebie, o czym dotychczas nie słyszał nikt, ani w Polsce, ani w Południowej Afryce. Jego zdaniem Janusz Waluś i Clive Derby-Lewis oprócz tego, że zajmowali się polityką, byli również handlarzami nielegalną kością słoniową. Brzozowski nie precyzuje, kto komu dostarczał towar, ale twierdzi, że Chris Hani był winny mnóstwo pieniędzy obu działaczom Partii Konserwatywnej. W tej opowieści również występuje minister obrony Joe Modise i też jest on czarnym charakterem, tylko odgrywa rolę nie malwersanta, a donosiciela. Chcąc się zemścić na nielubianym konkurencie z Umkhonto we Sizwe, donosi Walusiowi i Derby-Lewisowi, że Hani nie zamierza się z nimi uczciwie rozliczyć. Wtedy obaj oszukani wspólnicy podejmują decyzję, żeby pozbyć się Haniego[54].

Pretoria – Kgosi Mampuru II

To był pomysł Gaye, żony Clive'a, żeby ocieplić mój wizerunek. Przed procesem miałem pokazać, jaki jestem religijny. Wierzący byłem, tylko z praktykowaniem było słabiutko. Nie miałem nawet pewności, że jestem katolikiem. Stroniłem od Kościoła katolickiego w Południowej Afryce, bo był przeciw rządowi, wspierał czarnych radykałów i biskupi wykrzykiwali różne bzdury. Że nie wszyscy w Kościele zwariowali, przekonałem się, gdy poznałem księdza Waltera. To był tradycyjny katolik z Bractwa Piusa X, absolutny antykomunista, który nie uznaje II Soboru Watykańskiego, który był gwoździem do trumny Kościoła katolickiego.

Okazał się fantastycznym facetem. Spotkałem prawdziwego księdza, wspaniałego kapłana, spowiednika, duszpasterza i przyjaciela. Inteligentny, ludzki, ze zdrowym

podejściem do sprawy. To mi po prostu zmieniło wiarę.

Przekonałem się, że jest jeszcze prawdziwy Kościół i są zasady. Stałem się katolikiem tradycjonalnym. Zbliżenie z Kościołem miało służyć tylko budowie mojego wizerunku, a okazało się, że jest to jedyna religia, z którą mogę się utożsamiać i przez którą mogę się próbować ulepszyć.

U mnie nie ma nagłych przełomów, jest tylko chłodna analiza. Rozmawialiśmy o religii, Kościele katolickim, historii i na pewno są tam jeszcze zgrzyty, ale wydaje mi się to najbardziej spójne.

Ksiądz W. pomagał, wspierał, przynosił dobre książki i jak odprawiał mszę, to zawsze miał tyle winka, żeby coś dla mnie i Clive'a zostało.

Przez dwadzieścia lat był moim kapelanem więziennym. Jest dla mnie jak rodzina.

Mojego czynu nie mógł pochwalić, ale zadał mi pokutę, której pozostałą część będę mógł spełnić, jeśli przypadkiem wrócę do Polski.

Jak się wgłębisz w doktryny kościelne, to dowiesz się, że zabijanie podczas wojny jest usprawiedliwione. Ale to zbyt skomplikowana sprawa, żeby mógł mnie ot tak rozgrzeszyć.

Z ojcem W. rozmawiamy o historii i polityce. Podziwiamy ludzi cywilizacji iberyjskiej: Antónia Salazara, Francisca Franco, Augusta Pinocheta.

Zatrzymali komunizm. Propaganda liberalna pokazuje dziś ich „straszne" zbrodnie, a oni działali, ograniczając przemoc do minimum, bo wszyscy byli głęboko wierzącymi katolikami. Taki facet wie, że za swoje uczynki będzie musiał kiedyś odpowiedzieć, nie przed opinią publiczną czy przed przekupnymi sędziami, ale przed samym Bogiem.

Franco uratował podczas wojny dwieście tysięcy Żydów. Hiszpańskie ambasady pracowały na okrągło, pomagając przerzucać ich do Ameryki Południowej, a i tak nazywany jest faszystą.

Przedmieścia Pretorii

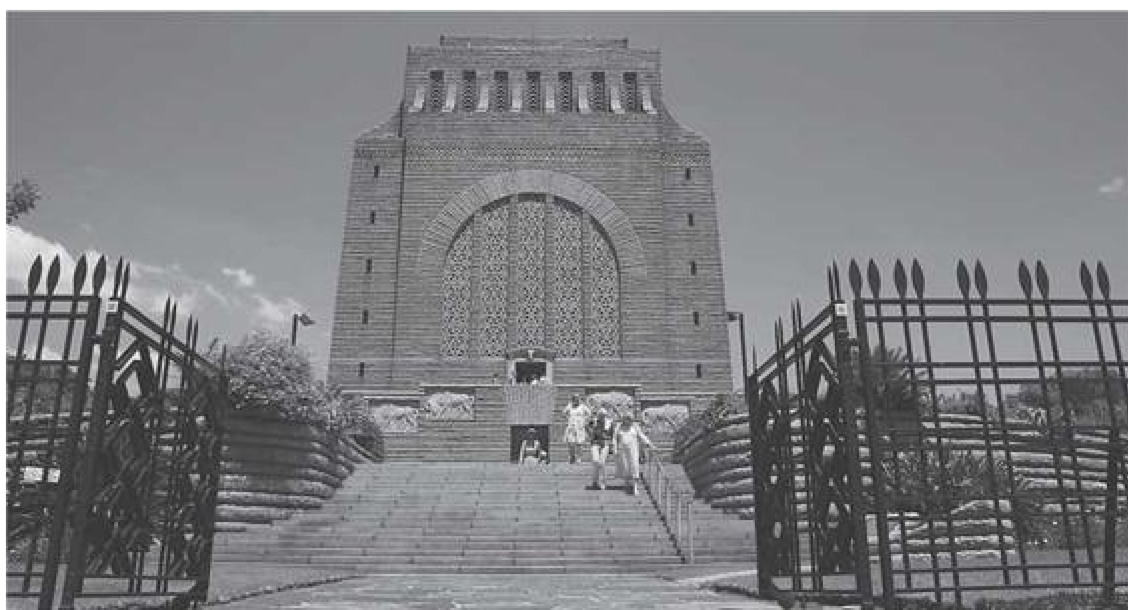
Wielki szary samotny granitowy kloc stojący na górce przy wjeździe do Pretorii. Widać go z autostrady. Sześćdziesiąt dwa metry wysokości

i czterdzieści szerokości. To święte miejsce Afrykanerów, ich Jasna Góra i Wawel.

Z daleka wygląda jak schron atomowy, z bliska – jak mauzoleum. W środku – jak kościół. Wysokie sklepienia, marmury, cisza i półmrok. Tylko zamiast witraży ażurowe ściany, przez które ledwo przebija się światło.

Pomnik Voortrekkera to świątynia apartheidu.

„Hołd w granicie złożony boskiemu prawu zapewniającemu ludowi Afrykanerów rządzenie Południową Afryką" – pisze liberalny tygodnik „Mail & Guardian".



Pomnik Voortrekkera.
Fot. Cezary Łazarewicz

Nic nie jest tu przypadkowe. I nawet ułożona w jodełkę posadzka ma wyobrażać rozchodzące się kręgi w wodzie, symbolizujące rozprzestrzenianie się ducha poświęcenia, przenoszonego na cały kraj przez Voortrekkerów.

Voortrekkerzy to założyciele państwa afrykanerskiego – Burowie, potomkowie holenderskich osadników, którzy zrzucają brytyjskie jarzmo, zaprzęgają woły do wozów i wyruszają w 1835 roku z bezpiecznej i europejskiej Kolonii Przylądkowej na samym końcu Afryki w nieznane, by

szukać nowych pól uprawnych i nowego domu. W tej niebezpiecznej ekspedycji nazwanej Wielkim Trekiem bierze udział dwadzieścia tysięcy Burów. Jadą na wschód i północ kontynentu, by walczyć z tubylcami o każdą piędź ziemi.

Wybudowany w 1949 roku pomnik Voortrekkera to miejsce spotkań wyznawców apartheidu i – obok hymnu oraz flagi – jeden z trzech najważniejszych jego znaków firmowych, do którego czarnym wstęp jest wzbroniony.

Tutaj ministrowie pierwszego apartheidowskiego rządu ślubowali w 1949 roku wierność państwu.

Tutaj sto tysięcy Afrykanerów oklaskiwało w 1961 roku premiera Hendrika F. Verwoerda, który ogłaszał wystąpienie z Brytyjskiej Wspólnoty Narodów i powoływał niepodległe państwo – Republikę Południowej Afryki.

I to tutaj 26 maja 1990 roku, gdy rodziła się nowa Południowa Afryka, Afrykanerzy przyszli zaprotestować przeciwko zniesieniu segregacji rasowej. Andries Treurnicht, lider Partii Konserwatywnej, wezwał ich wtedy do usunięcia prezydenta Frederika de Klerka, obrony białego państwa i trzeciej wojny o wolność[55].

Gdy zapytał, czy wierzą, że przejęcie władzy przez czarnych jest nieuniknione, Janusz Waluś był jednym z sześćdziesięciu tysięcy gardeł, które krzyczały wtedy: „Nie! Nie! Nie!”.

Dziś mówi, że warto to miejsce odwiedzić, by poczuć, jak ważne było dla Afrykanerów.

(„Można Burów nie lubić, ale skoro żyjemy z nimi pod jednym dachem, to ich prawem jest przywództwo w narodzie” – mówił mi w więzieniu, gdy go odwiedziłem przed rokiem).

Po upadku apartheidu w 1994 roku podupadł również symbol apartheidu – pomnik Voortrekkera.

Dla białych był symbolem siły charakteru ich wspaniałych przodków – bohaterów podboju Czarnego Lądu przez białego człowieka. Dla czarnych z kolei – rasizmu i dominacji białego człowieka.

Były nawet pomysły, by to znienawidzone przez czarnych miejsce przemalować na różowo i urządzić wewnątrz klub gejowski.

Symbol rasistowskiej Afryki ocalał, ale już jako komercyjna ciekawostka na turystycznym szlaku. Za sto osiemdziesiąt randów od głowy może tu wejść każdy czarny, kolorowy, Azjata. To Gerrit Opperman, emerytowany generał apartheidowskich sił zbrojnych, przekształcił to dawne sanktuarium białego człowieka w muzeum kultury i historii Afrykanerów, przed którym ustawił budkę z parówkami.

„Same sentymenty nie wystarczą, by przetrwać – mówił tygodnikowi »Mail & Guardian«. – Musimy przeprowadzić proces demitologizacji pomnika Voortrekkera, by otworzyć się na szkolne wycieczki czarnej młodzieży i zagranicznych turystów".

Dyrektor Opperman ma mnóstwo pomysłów, jak przyciągnąć klientów: czarni przewodnicy, mówiący w językach plemion afrykańskich, fast food, sklep z pamiątkami, wizyta prezydenta Nelsona Mandeli, koncerty jazzowe. (Tam, gdzie niedawno liderzy apartheidu modlili się za ojczyznę).

Na lekcję narodowej dumy przyprowadził mnie tu Witold Waluś. Janusza też pierwszy raz tu oprowadzał tuż po jego przyjeździe w 1981 roku. I tak jak mnie teraz, musiał mu wszystko tłumaczyć.

Historia założenia państwa Burów w Afryce została tu przedstawiona na dwudziestu siedmiu tablicach.

Wygląda to jak wielki komiks wyrzeźbiony w białym marmurze, trzymający w napięciu od pierwszego do ostatniego obrazka, gdzie zamiast dymków są miedziane tabliczki informacyjne. To historia podboju Afryki opowiedziana przez podbijającego. Walka dobra (białego) ze złem (czarnym). Przypomina to trochę stacje drogi krzyżowej, gdzie przy każdym przystanku zapoznajemy się z męczeństwem narodu burskiego. Tych marmurowych stacji jest dwadzieścia siedem i mają łącznie dziewięćdziesiąt dwa metry długości.

Idziemy od lewej do prawej.

Stacja numer 1: rok 1835, voortrekkerzy wozami zaprzężonymi w woły wyruszają z Kolonii Przylądkowej, czyli okolic Kapsztadu. Dwa lata później są

już daleko na wschodzie, w Górach Smoczych i wkraczają właśnie do Natalu (stacja 11.). Tu natykają się na wojownicze plemię Zulusów. Ale mądry dowódca Burów Piet Rietief, zamiast walczyć z nimi o ziemie, podpisuje traktat pokojowy. Zulusi wyznaczają Burom teren między rzekami Tugela i Mzimvubu (w okolicach dzisiejszego Durbanu), gdzie mogą się bezpiecznie osiedlać (stacja 12.). Tylko że po podpisaniu traktatu Piet Retief zostaje zwabiony przez króla Dinganego kaSenzangakhonę do zuluskiej stolicy, podstępnie zamordowany 6 lutego 1838 roku zuluską ręką, a wraz z nim setka jego najbliższych towarzyszy (stacja 13.). Zły i zdradliwy król Dingane daje swoim wojownikom rozkaz wymordowania wszystkich pozostałych Burów. Rzeź pod Weenen, w której ginie pięciuset Afrykanerów, to jeden z przełomowych momentów wielkiej wędrówki. Stacja 14. to dziki atak Zulusów na obóz Burów, poprzebijane włóczniami dzieci i zmasakrowane ciała kobiet. (Po lewej widać zuluskiego wojownika trzymającego w ręku płonącą pochodnię. Pierwotnie trzymał dziecko, które wrzucał pod koła jadącego wozu, ale po protestach, że jest to zbyt drastyczne, złagodzono wymowę tej sceny, zamieniając dziecko na pochodnię).

Stacja 19.: przybycie do Natalu generała Andriesa Pretoriusa w dniu 22 listopada 1838 roku (to ten, na którego cześć nazwano stolicę nowego państwa Pretorią).

Pretorius szybko opanował sytuację, wystawiając przeciwko czterdziestotysięcznej zuluskiej armii czterystu sześćdziesięciu czterech mężczyzn, sześćdziesiąt cztery wozy konne, pięćset koni i dziewięćset wołów.

Wie, że tylko cud może ich ocalić, więc wskakuje na niewielką armatkę i składa przysięgę. Jeśli Bóg wszechmogący pomoże mu zwyciężyć w bitwie Zulusów, to dzień ten po wsze czasy Burowie będą czcić jako Święto Dziękczynienia (stacja 20.).

(Witold zwraca uwagę na małą burską armatkę, zamontowaną na osi konnego wozu, na której stoi Pretorius. Taki sam cenny eksponat ma w swojej militarnej kolekcji za miastem).

Do wielkiej bitwy dochodzi przy stacji 21. Uzbrojeni w tarcze i dzidy półnadzy Zulusi stoją naprzeciw uzbrojonych w strzelby Burów siedzących na koniach. Szesnastego grudnia 1838 roku dochodzi do wielkiej bitwy w okolicach rzeki Ncome. Ludzie Pretoriusa zabijają tam trzy tysiące

zuluskich wojowników, nie ponosząc przy tym żadnych strat. Wielu rannych Zulusów umiera, gdy próbują sforsować rzekę, która tego dnia robi się od spływającej krwi czerwona. Krwawa Rzeka – tak ją będą od tej chwili nazywać voortrekkerzy.

Zwycięstwo nad Krwawą Rzeką przesądza o zasiedleniu przez Afrykanerów północno-wschodniej części kraju i staje się mitem założycielskim powstałego sto lat później państwa apartheidu. Pomnik Voortrekkera był w Południowej Afryce miejscem państwowego kultu, a rocznica zwycięstwa nad Krwawą Rzeką najważniejszym narodowym świętem aż do końca apartheidu w 1994 roku.

Szesnasty grudnia nadal jest świętem państwowym, tylko że zmienił swój charakter i nazwę. Dzień Przysięgi nazywa się teraz Dniem Pojednania i obchodzony jest, by wspierać tolerancję i rasową harmonię.

Tłumy Afrykanerów, które przychodziły do pomnika Voortrekkera każdego roku, by świętować zwycięstwo nad Zulusami, znacznie się przerzedziły. Najwierniejsi spotykają się wciąż przy granitowym sarkofagu pod Salą Bohaterów – symbolicznym grobie zamordowanego przez Zulusów Pieta Ratiefa i innych bohaterów wymordowanych podczas Wielkiego Treku.

Raz w roku, 16 grudnia punktualnie o dwunastej, przez otwór w kopule budynku wpada pojedynczy promień, oświetlając wyryte w kamieniu słowa: „Ons vir jou, Suid-Afrika" (My dla ciebie, Południowa Afryko).

Ten promień też jest symbolem – Bożego błogosławieństwa dla pracy i aspiracji voortrekkerów.

Port Elizabeth

Katolicki dom opieki Nazaret w Port Elizabeth nad Oceanem Indyjskim położony jest w najstarszej części miasta. Wielki park z egzotycznymi ogrodami, wśród których rozrzucone są niskie pojedyncze budynki. Jedynie przy samym wjeździe na posiadłość stoi coś bardziej okazałego – kremowy budynek, jak rezydencja kolonialnego gubernatora. Na parterze, na końcu białego korytarza, tuż za kuchnią, ostatnie drzwi po lewej. Za nimi zapach lizolu, duchota i półmrok. Przez ciężkie zasłony ledwo przedziera się ostre

lutowe słońce. Brzęczenie wentylatora, szum napełniającego się worka cewnika i ciężki oddech starego człowieka, którego pukaniem wybudzam z letargu. Jest bardzo słaby. Z wielkim wysiłkiem próbuje mozolnie przekręcić wielkie ciało w moją stronę.

– Za to głowa jest całkiem w porządku. – Puka się w czoło.

Ojciec W. jest buntownikiem w Kościele katolickim. Urodził się w angielskiej rodzinie protestanckiej, ale uciekł do katolików. W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku zwrócił się, jak mówi, ku prawdziwej wierze i jest jej wierny do dziś jako jeden z pięciuset na świecie księży lefebrystów z Bractwa Kapłańskiego Świętego Piusa X. Lefebryści walczą o prawdziwy rzymskokatolicki Kościół chrystusowy, a nie jakąś jego liberalną posoborową podróbkę. Dlatego reformy II Soboru Watykańskiego uważają za herezję neomodernizmu prowadzącą do zniszczenia Kościoła.

Są najbardziej konserwatywnym skrzydłem w katolicyzmie i od prawie pięćdziesięciu lat balansują na granicy schizmy. Za największe zagrożenia uznają komunizm i masonerię. Wciąż odprawiają msze po łacinie, w rycie trydenckim, stoją do wiernych plecami. I właśnie kogoś takiego poszukiwał Clive Derby-Lewis, gdy został w kwietniu 1993 roku aresztowany za zlecenie zabójstwa Chrisa Haniego. Ojciec W. przyszedł wtedy do centralnego więzienia odprawić mszę dla Derby-Lewisa, którego znał sprzed aresztowania. Tam poznał jego przyjaciela z Polski.

– Kuba nie był zbyt żarliwym katolikiem, ale też nie myślał o zerwaniu z Kościołem. Zaniedbał swoją wiarę, trzymał się z dala od Kościoła, bo był zdegustowany tymi modernistycznymi biskupami – mówi z trudem ojciec W. – Trochę czasu minęło, zanim udało mi się nakłonić go do spowiedzi.

W. przychodzi do więzienia w Pretorii dwa razy w miesiącu. Odprawia mszę dla Clive'a i Kuby, rozmawia z nimi o Bogu, o ostatnio przeczytanych książkach i napełnia ich nadzieją. Wspiera, odpowiada na trudne pytania, rozwiewa teologiczne wątpliwości. Za jego sprawą Waluś wraca na łono Kościoła, spowiada się, przyjmuje komunię i zaczyna odmawiać różaniec.

Ojciec W. nigdy nie pyta go o zabójstwo Haniego („Tego w więzieniu się nie robi. Nawet więźniowie nie rozmawiają między sobą o własnych przestępstwach"), nie ogląda relacji telewizyjnych z procesów, nie czyta gazet. Wie, że został z Clive'em skazany na śmierć, ale to go nie dziwi.

– Wyrok był sprawiedliwy jak na takie przestępstwo, a kara nie była zaskoczeniem, bo się jej spodziewał – mówi. – Kuba zniósł wszystko bardzo spokojnie i dzielnie. Był przygotowany na śmierć. Rozmawiałem z nim o tym uczciwie, bo nie jest moim celem dawanie fałszywych nadziei. Kara śmierci była wtedy wciąż zapisana w kodeksie karnym i niczego nie można było być pewnym. Nie zapomnij, że obaj byli najgorętszymi kartoflami w rękach rządu.

Chcesz się dowiedzieć, dlaczego Kuba wszystko poświęcił, zaryzykował własne życie, by zabić Chrisa Haniego?

Chciał powstrzymać komunistycznego tyrana i zatrzymać komunizm. Jeśli tego nie rozumiesz, nigdy nie zrozumiesz, co się wtedy wydarzyło.

Zabił Haniego, bo był on komunistą, najważniejszym i najbardziej popularnym komunistą w Południowej Afryce. Gdyby żył, to on, a nie Mandela, byłby pierwszym czarnym prezydentem, a wtedy wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Jego śmierć zmieniła historię. Mandela został prezydentem, bo nie było już Haniego.

Gdyby Hani został prezydentem, byłyby tu wojna domowa, śmierć i zniszczenie. Byłby tu taki sam komunizm jak w Korei, Angoli czy w Mozambiku.

Pytasz, czy komunizm był popularny?

Wielu czarnych, Żydów, a nawet białych, uwierzyło w komunizm. Poczytaj sobie, co to byli za ludzie. To byli ludzie bez żadnej wiary, bez religii, ateiści i liberałowie.

Ale zobacz, do czego doprowadzili. Niech ci się nie wydaje, że skoro jest tu kolorowo i słonecznie, to jest też miło. Tu nie jest miło. Tu jest bardzo niebezpiecznie. Kiedy stąd wyjdziesz, mogą ci wyrwać telefon albo zastrzelić cię na ulicy.

Rosną przestępczość, bałagan, zepsucie. Władza sobie nie radzi. Nawet wielu czarnych dziś mówi, że pod rządami apartheidu lepiej im się żyło.

Powinniśmy być wdzięczni Kubie. Chciał nas wszystkich ochronić.

Mówisz, że to śmiertelny grzech.

Zawsze był. Ale jeśli naprawdę żałujesz, to każdy grzech może zostać ci odpuszczony. Komuniści krzyczą, że Kuba nie wykazał skruchy. To nieprawda. On żałuje tego, co zrobił, ale nie w taki sposób, który by ich zadowolił. Dlatego siedzi dłużej niż wszyscy inni. To ich zemsta za to, że podniósł na nich rękę. Że podniósł rękę na komunistę.

Na koniec przysuwa się do krawędzi łóżka, każe mi klęknąć, wyciąga ręce nad moją głowę i zastyga w milczeniu.

Słychać tylko brzęczenie wentylatora, szum przepływającego płynu w cewniku i szept łacińskiego błogosławieństwa: „Et benedictio Dei omnipotentis, Patris et Filii et Spiritus Sancti descendat super vos et maneat semper". (Błogosławieństwo Boga wszechmogącego, Ojca, Syna i Ducha Świętego, niech zstąpi na was i pozostanie na zawsze). Poddaję się nastrojowi. Mówię amen, wstaję z kolan i wychodzę.

Pretoria

Ma woskową, pokrytą brązowymi plamami twarz, przyklejony pod siwym wąsem delikatny uśmiech, niebieskie oczy, z których nie można odczytać emocji, i penetrujące spojrzenie. Fason marynarki, kołnierzyk koszuli zdradzają, że jest z innego świata, którego już nie ma. Kiedy mówi, jego starcze ręce zaplatają się na kolanach. Jak dobry sprzedawca buduje zdanie po zdaniu przekonanie o swojej racji.

– Czuję się komfortowo. – Uśmiecha się do kamery. – Mój rak płuc jest w remisji i jestem za to bardzo wdzięczny Bogu wszechmogącemu.

W maju 2015 roku po pięciu latach sądowej batalii Clive Derby-Lewis wychodzi z więzienia na zwolnienie warunkowe z powodu złego stanu zdrowia. Ma wtedy siedemdziesiąt dziewięć lat, zaawansowanego raka płuc w czwartym stadium i niewielkie szanse na przeżycie. Przenosi się kilkanaście kilometrów na południe, do niewielkiego domku na strzeżonym osiedlu w Pretorii. Warunki zwolnienia nie przewidują opuszczania przez niego mieszkania, aktywności politycznej ani rozmów z dziennikarzami. Dlatego Ernst Roets, afrykanerski producent filmowy i autor książki *Kill the*

Boer (Zabić Bura) o mordowaniu białych farmerów, musi zagwarantować, że nagrana rozmowa będzie wyemitowana dopiero po jego śmierci.

– Myślę, że chciał skorzystać z ostatniej szansy, by opowiedzieć swoją historię, a ja chciałem zrozumieć, dlaczego to zrobił, i poznać jego sposób myślenia – mówi dziś Roets, który zjawił się z ekipą filmową w domu Clive'a Derby-Lewisa 2 października 2016 roku, piętnaście miesięcy po opuszczeniu przez niego więzienia.

„Dlaczego zabiłeś Chrisa Haniego?", to pierwsze pytanie, które pada podczas tej rozmowy.

„Bo był twardogłowym komunistą. Był radykalny i niekontrolowany. Za cel swoich ataków wybierał cywilne i wojskowe obiekty. Był naszym wrogiem publicznym numer jeden. Każdą cenę warto było za to zapłacić" – odpowiada bez zastanowienia Derby-Lewis.

„Kiedy de Klerk zamknął nam demokratyczną drogę do zmiany władzy, było jasne, że nie jest możliwe, byśmy przeprowadzili ten proces demokratycznie – tłumaczy Roetsowi. – Wtedy z jednym ze starszych członków Partii Konserwatywnej zaczęliśmy myśleć, jak to zatrzymać, bo chcieliśmy przejąć władzę, by chronić kraj. Rzuciłem wtedy pomysł, by usunąć Chrisa Haniego. Był bardzo popularny i bardzo radykalny. Przypuszczałem, że jego śmierć wywołałaby bunt i zamieszki, które mogły być powstrzymane tylko przez siły bezpieczeństwa i stan wojenny. Liczyłem, że wojsko przywróci porządek i potem ogłosi nowe wybory [tylko dla białych]. Gdybyśmy je wygrali, to my [Partia Konserwatywna] tworzylibyśmy nowy rząd. Chcieliśmy kontynuować politykę osobnego rozwoju [segregacji rasowej], ponieważ to się sprawdziło i były sukcesy.

Omówiłem tę sprawę w wielu dyskusjach, również z nim [Januszem Walusiem]. Odwiedzał nas regularnie. Dużo dyskutowaliśmy. Powiedział, że jest gotowy. Zaakceptowałem jego ofertę. Nie mogłem mu zlecić popełnienia morderstwa, zgłosił się na ochotnika. Powiedziałem: »OK, jeśli chcesz to zrobić, to rób, ale trzymaj mnie od tego z daleka«.

Kiedy powiedział, że potrzebuje nielicencjonowanej broni, to mu ją dałem. Dostał ode mnie też wielką fioletową perukę, którą miał nosić, żeby go nie zidentyfikowali. Miał też zmienić rejestrację w samochodzie.

Jedyna instrukcja, którą mu naprawdę dałem, brzmiała: nikt poza Hanim nie może zginąć.

O tym, że Chris Hani nie żyje, dowiedziałem się na herbacie u znajomych. Gdy to usłyszałem, miałem ogromne poczucie ulgi. Wiedziałem, że nie mógł tego zrobić Waluś, bo wciąż miałem dla niego amunicję, której potrzebował.

Następnego dnia okazało się, że to jednak był on.

Nie mogłem też zrozumieć, dlaczego zamiast jechać autostradą, gdzie można się łatwo zgubić, z jakiegoś powodu wybrał główną ulicę Boksburga. Tam wypatrzyło go dwóch policjantów. Jego rysopis zgadzał się z tym, co podała sąsiadka, która go tam widziała. I został zatrzymany".

***

„[George] Bizos próbował różnymi sposobami udowodnić, że to nie było zabójstwo polityczne. Badał nawet moje finanse, by sprawdzić, czy przypadkiem nie zapłacono mi za to. Nic nie znaleźli. Bo nic osobistego w tej historii nie było.

W mojej partii miałem pozycję ministra, a kiedy ministrowie podejmują działania, to ponoszą za nie odpowiedzialność. Podjąłem decyzję, że Hani powinien zginąć. Zrobiłem to w interesie Południowej Afryki, naszej wolności i porządku publicznego. To było konieczne. Jestem pewien, że to, co zrobiłem, było też korzystne dla mojej partii".

„Powiedziałeś, że zrobiłeś to w obronie ludzi. Czy nadal tak uważasz?" – pyta Roets.

„W tamtych okolicznościach wierzyłem, że to właściwe działanie. To był jedyny sposób, żeby ich powstrzymać. Jeśli chcesz osiągnąć cel, w który wierzysz, musisz podjąć działanie. A oni chcieli przecież zniszczyć państwo. To oznaczało katastrofę dla nas wszystkich, nie tylko dla białych. Widzisz przecież, do czego doprowadzili".

„I warto było za to iść na dwadzieścia dwa lata do więzienia?"

„Nie spodziewałem się, że trafię do więzienia. Ale gdy już się tam znalazłem, zaangażowałem się w różne przedsięwzięcia i to pomogło mi przetrwać. Prowadziłem w więzieniu sklepik i starałem się powierzone mi

obowiązki wykonywać jak najlepiej się da. Nigdy nie zabrakło tam pasty do zębów ani papieru toaletowego".

Niczego się nie wypiera, niczemu nie zaprzecza. On to wszystko wymyślił, on pomógł Walusiowi zdobyć broń i to on czuje się politycznie za tę śmierć odpowiedzialny. Ale politycznie nie znaczy karnie, bo to nie on wysłał Walusia, by zabił Haniego. To była samodzielna decyzja Polaka. Fatalny zbieg okoliczności sprawił, że został w to zamieszany i trafił na długie lata do więzienia.

***

Miesiąc po wywiadzie Derby-Lewis umiera z powodu powikłań pooperacyjnych w Life Eugene Marais Hospital w Pretorii.

Nad urną przemawia jego przyjaciel, prawnik Paul Kruger. („Paul też próbował ratować ten kraj i też trafił do więzienia" – mówi o nim Gaye, która przysyła mi jego patetyczne i wzniosłe przemówienie).

„Chwała Bogu, który cudownie nas uratował w Krwawej Rzece i dał nam człowieka takiego jak Clive Derby-Lewis. (...) Jesteś uosobieniem lojalności i wytrwałości! Gdyby tylko ułamek naszego narodu posiadał twoje kwalifikacje, nigdy byśmy nie skończyli tu, gdzie jesteśmy teraz. (...) Nie musisz już nikogo przekonywać, że miałeś rację i że twój sposób działania był właściwy. Każdy dzień i każda noc spędzona w tym piekle dowodzi, że miałeś rację".

Prochy Derby-Lewisa żona wiezie do Prowincji Przylądkowej Zachodniej i rozsypuje je między Kapsztadem a Portem Elizabeth na jednej z gór, skąd rozpościera się widok na równiny Kario.

„Kochał Kario, spędził tu mnóstwo czasu i znał tu każde miasteczko" – pisze z Pretorii Gaye.

Dwa tygodnie później Ernst Roets umieszcza siedemdziesięciominutowe nagranie rozmowy w sieci. „Tajemnice Derby-Lewisa nie zostały zabrane do grobu" – tak reklamuje swój wywiad.

Ale nie ma tam żadnych tajemnic. Derby-Lewis opowiada głównie o swoim życiu, walce politycznej, kulisach funkcjonowania apartheidowskiego państwa i spisku de Klerka, który doprowadził do oddania władzy czarnym

z ANC. Swoją rolę w zamachu na Haniego sprowadził do epizodu nieświadomie zaplątanej ofiary. Żadnej mitycznej góry zlecającej zabójstwo nie ujawnił, a na to przecież wszyscy czekali.

Pretoria

Po raz pierwszy Janusz Waluś występuje o złagodzenie wyroku w roku 2000. Jego adwokat domaga się wtedy skrócenia kary do dwunastu lat, ale sąd odrzuca wniosek. „Zasługuje na najsurowszą karę. To zabójstwo miało wywołać wojnę domową" – pisze w uzasadnieniu wyroku sąd i decyduje, że o przedterminowe zwolnienie skazany będzie mógł się ubiegać najwcześniej w 2013 roku.

Cierpliwie czeka, aż po dwudziestu latach więzienia komisja do spraw zwolnień warunkowych uznaje, że Janusz Waluś został zresocjalizowany i może żyć poza zakładem karnym. Tylko że ostateczną decyzję w tej sprawie ma podjąć minister sprawiedliwości, a ten zwleka.

„Decyzja ministra to jak totolotek – mówi Waluś przez telefon dziennikarzowi sportowemu Michałowi Zichlarzowi[56]. – Wszystko może się zdarzyć, a szanse oceniam pół na pół"[57].

Lipiec 2014

– W mojej sprawie panuje cisza – mówi Zichlarzowi. – Próbuję nie być paranoiczny, ale czasami mam wrażenie, że starają się mnie sprowokować do nerwowej reakcji. A to mam kłopoty z wysłaniem listu, który i tak nie dojdzie, a to odmawia mi się pod byle pretekstem wizyt.

Minister sprawiedliwości Michael Masutha ostatecznie odmawia. Twierdzi, że na zwolnienie warunkowe jest jeszcze za wcześnie. Mówi, że skazany nie wyraził wystarczającej skruchy wobec rodziny ofiary.

Waluś wysyła więc list do wdowy:

„Wiem, że cokolwiek bym zrobił, nie zrekompensuję Pani tego, co wam uczyniłem. Jedyne, co mogę zrobić, to powiedzieć, że jest mi bardzo przykro z powodu tego, czego doświadczyła Pani przez te wszystkie lata – utraty ukochanej osoby i wychowywania dzieci bez ojca.

Ubolewam z powodu odejścia jednej z Pani córek, za której śmierć czuję się do pewnego stopnia odpowiedzialny (może to być konsekwencją braku ojca w domu).

Jeśli przebaczenie jest niemożliwe, w pełni zrozumiem i uszanuję Pani decyzję".

Limpho Hani jest niewzruszona. „Była zbrodnia, musi być kara" – odpowiada dziennikarzom, gdy pytają ją o przebaczenie.

– Na razie wiem tyle, że moje położenie zmienia się z gorszego na jeszcze gorsze. Moja sprawa miała być rozpatrywana we wrześniu, październiku, ale tutaj w tym czasie wszyscy już myślą o wakacjach – skarży się Zichlarzowi na początku 2015 roku[58].

Ostatecznie jego sprawa trafia na wokandę North Gauteng High Court 10 marca 2016 roku. Biała sędzia Nicolene Janse van Nieuwenhuizen decyduje wtedy o zwolnieniu sześćdziesięciopięcioletniego Walusia z więzienia. Wyrok ma być wykonany w ciągu dwóch najbliższych tygodni.

Po wyroku brytyjski „The Guardian" analizuje nastroje społeczne w RPA: „Kraj nadal zmaga się ze swoim dziedzictwem. Ostatnio pojawiły się apele o ściganie ministrów z apartheidowskiego rządu. Jest przekonanie, że dążenie do pojednania narodowego doprowadziło do bezkarności apartheidowskich elit. Czarna większość, której nie zdołano poprawić jakości życia, jest zagniewana.

Wiadomość, że Waluś, który odsiedział dwadzieścia trzy lata z kary dożywotniego więzienia, zostanie w tym miesiącu zwolniony warunkowo, tylko zwiększy ten gniew".

„To smutny dzień dla Południowej Afryki" – mówi wdowa i oskarża sędzię Nicolene Janse van Nieuwenhuizen o rasizm. „Dla niej życie czarnego nie ma znaczenia, bo wydając wyrok, prawie nie wspomina o moim mężu".

Przeciwko zwolnieniu Walusia protestuje Afrykański Kongres Narodowy i Południowoafrykańska Partia Komunistyczna. Zapowiadają, że zrobią

wszystko, by nie dopuścić do tego, by Polak opuścił więzienie.

„Ma zgnić w więzieniu" – powtarzają jak mantrę pod bramą Kgosi Mampuru II w Pretorii, wystawiając pikietę z transparentem „Nie – dla warunkowego zwolnienia Janusza Walusia". W tym samym czasie Polak po drugiej stronie więziennej kraty odbiera już gratulacje od współwięźniów.

Jak mówi Zichlarzowi przez telefon, nie wiadomo jeszcze, czy minister sprawiedliwości będzie apelował w jego sprawie, czy nie. Ale nawet gdyby odwoływał się od decyzji sądu, jego prawnik zamierza wystąpić o tak zwane *interim order*. To znaczy, że Waluś wyszedłby z więzienia, a gdyby ministrowi apelacja się udała, to potem by do niego wrócił.

„Na razie czekam na warunki zwolnienia. Jeśli będą na południowoafrykańską modłę, to będę w areszcie domowym. Gdzie? Nie wiem. Wiele osób chce mnie zabić. Na pewno najlepszy byłby powrót do Polski. Mam już po dziurki w nosie tutejszej demokracji" – mówi Zichlarzowi[59].

***

– Jego wyjście na wolność jest już pewne. Pisze o tym miejscowa prasa, mówi telewizja i potwierdza mi to jego brat Witold – mówi Jerzy Jurecki, redaktor naczelny „Tygodnika Podhalańskiego", którego biura znajdują się kilkaset metrów od rodzinnego domu Walusia w Zakopanem. W marcu 2016 roku Jurecki przebywa w Pretorii i dowiaduje się, że lada chwila Janusz Waluś zostanie zwolniony z więzienia.

„W RPA mało już kto pamięta historię Haniego i Walusia. Zwłaszcza czarnoskórzy mieszkańcy Południowej Afryki nie znają nazwiska Polaka, a i o Hanim niewiele wiedzą. Inaczej jest wśród białych. Po Wałęsie to tu drugi najbardziej znany Polak" – pisze Jurecki z Pretorii, zapowiadając, że w ciągu najbliższych godzin Waluś opuści więzienie.

„Władze wyraźnie nie chcą, aby stało się to wydarzeniem medialnym. Stąd trudno o informacje na ten temat. Prawdopodobnie odbędzie się to w tajemnicy i w dyskretny sposób. Jeśli wyrok sądu ma zostać wykonany, Waluś musi opuścić więzienie do najbliższego piątku".

W Wielką Sobotę, 26 marca 2016 roku redaktor Jerzy Jurecki od rana czeka więc na wybrukowanym parkingu przed bramą Kgosi Mampuru II Correctional Centre, tym samym, na którym zostawiam samochód, gdy idę na widzenie z Walusiem. Trwa to kilka godzin, potem dowiaduje się, że żadnego zwolnienia warunkowego nie będzie.

Widzi w telewizji zdenerwowaną żonę Haniego. Mówi, że o żadnym zwolnieniu warunkowym Walusia nie chce słyszeć, i zapowiada, że zrobi wszystko, by do tego nie dopuścić.

Pretoria – Kgosi Mampuru II

Dużo ćwiczę. Trenuję podnoszenie ciężarów i karate, którego treningi rozpocząłem w 1987 roku. Jestem aktywnym członkiem więziennego klubu karate, uczę innych i sam się uczę. To pomaga zachować samokontrolę.

Duchowo rozwija mnie moja religia rzymskokatolicka i czytanie dobrych książek. Nie tylko religijnych, ale także filozoficznych i historycznych. Zawsze interesowałem się historią i zawsze uwielbiałem czytać. Nie potrafię zliczyć, ile ich już przeczytałem, ale wszystkie pamiętam.

Przez cały ten czas próbuję się ulepszyć.

Żeby ubiegać się o zwolnienie warunkowe, musisz najpierw zaliczyć kurs dla sprawców przestępstw, który ma cię przygotować do życia na wolności i dialogu z ofiarami. Trwa to osiem miesięcy i prowadzi to bardzo miła pani z tych protestanckich chrześcijan. Rozmowy są o przebaczeniu – jak dostrzec w sobie zło, jak odkupić winy, jak pozbyć się zgryzoty – zapomnieć, wybaczyć, gdy żółć cię ze złości zalewa.

Na zajęciach uczymy się dialogu z ofiarami, przygotowujemy na spotkanie i piszemy do nich listy.

Ja piszę do żony Haniego i jego dwóch żyjących córek – Neo i Lindiwe. We wszystkich listach piszę mniej więcej to samo – że przepraszam, że jest mi przykro, że zdałem sobie sprawę, na jaki ból je naraziłem, i że rozumiem, dlaczego nie chcą się ze mną spotkać. Ale jeśli takie spotkanie mogłoby w czymś pomóc, ukoić cierpienie, to ja bardzo chętnie się spotkam. Wiedzą, gdzie jestem i jak mnie odnaleźć.

Zastanawiam się, czy gdyby ktoś z mojej rodziny został zamordowany i dostałbym taki list od mordercy, to co miałbym z tym zrobić? Po co miałbym się z mordercą spotkać? Co mu powiedzieć? W dziewięćdziesięciu pięciu przypadkach na sto nikt na te listy nie odpowiada. Może to się sprawdza w przypadku kradzieży, pobicia, rabunku, ale nie, jeśli chodzi o zabójstwo. Zabójstwa raczej nikt nie wybacza.

Nie rozumiem tego idiotycznego systemu, ale chodzę na te wszystkie kursy, bo inaczej nie dostanę przedterminowego zwolnienia. Moi adwokaci mówią: „Bądź grzeczny i rób, co ci każą". Więc robię.

Przez trzy lata nie dostaję żadnej odpowiedzi, a gdy w 2013 roku staję przed komisją do spraw zwolnień warunkowych, to mówią mi, że mam znów przeprosić wdowę. Chcę ją przeprosić, tylko że ona żadnych przeprosin ode mnie nie chce. Mówi, że może się kontaktować tylko przez swoją kancelarię adwokacką. Wysłałem kolejny list do jej prawnika.

Czy ona i córki te listy ode mnie dostały, czy je przeczytały? Tego nie wiem.

Trzy lata później skontaktował się ze mną kapelan więzienny. Powiedział, że córka Haniego chce się ze mną spotkać.

Johannesburg/Pretoria

Na spotkanie z mordercą ojca ubiera się na czarno. Czarna spódnica, czarna koszula, czarne rajstopy, czarne buty. Tylko na ustach ma czerwoną szminkę.

Miesiąc wcześniej spotkała się z przebywającym na zwolnieniu warunkowym Derby-Lewisem w jego domku w dzielnicy Waterkloof na południowych przedmieściach Pretorii.

Jest zawiedziona spotkaniem z mistrzem intelektu (tak go nazywa w swojej książce) i jego demoniczną żoną.

On: kręci, zwala winę na innych, nie potrafi spojrzeć krytycznie na własne życie i wziąć odpowiedzialności za czyny. Ona: narzeka, że przez jego więzienie stracili tyle lat życia.

W więzieniu w Pretorii (Kgosi Mampuru II) pojawia się po raz pierwszy w kwietniu 2016 roku, gdy ważą się losy warunkowego zwolnienia Janusza Walusia.

Strażnicy prowadzą ją do biur administracji. Spotkanie z mordercą odbędzie się w pokoju w odcieniu ciepłej ochry, w którym stoi duże dębowe biurko. Ona upiera się, by rozmawiać z nim w cztery oczy.

– Ludzie pomyśleliby, że jesteśmy szaleni, gdybyśmy zostawili cię samą z człowiekiem, który zabił twojego ojca – tłumaczy Lindiwe dowódca strażników i zostawia ją w obecności więziennego kapelana.

Za chwilę przyprowadzą mordercę jej ojca.

„Czuję śmiertelny spokój i przechodzę od tej chwili w tryb filmowy, jakbym oglądała to z boku na filmie" – notuje potem.

Morderca ma na sobie pomarańczowy uniform i wygląda na przestraszonego. Wita się skinieniem głowy i zajmuje najdalsze możliwe miejsce przy stole.

„Być może spodziewał się z mojej strony ataku gniewu? Bo nie licząc wystrzelonych do taty pocisków, jedyne doświadczenie, jakie miał z rodziną Hani od dwudziestu trzech lat, to wielki gniew mojej matki, którego doświadczał, gdy tylko pojawiał się na jakiejś sali sądowej".

Chce wiedzieć o nim wszystko. Gdzie mieszkał, co robił, czy miał rodzeństwo, czym zajmowali się rodzice, czy miał szczęśliwe dzieciństwo i dlaczego wyjechał z Polski?

„Chcę sprawić, żeby poczuł się bezpieczny i mniej przestraszony, wtedy zapytam go o zamordowanie tatusia – pisze Lindiwe. – I chcę, żeby był ze mną całkiem szczery. (…) Desperacko szukam odpowiedzi, która pomoże mi zrozumieć człowieka, który zabił mojego ojca".

Stara się jej wszystkie swoje motywacje dokładnie wyjaśnić.

– To była nienawiść do systemu, a nie do osoby, którą zabiłem – tłumaczy. – Nigdy czarnych nie traktowałem źle.

– Ale zamordowałeś czarnego człowieka – odpowiada Lindiwe.

– Ale nie dlatego, że był czarny. Nie zrobiłem tego z powodu rasy, ale jego politycznych przekonań. Zrozum, proszę, jego rasa nie miała tu znaczenia – mówi on.

(„Być może w polskiej głowie Janusza Walusia fakt, że mój tata był komunistą, był ważniejszy niż to, że był czarny" – notuje ona).

O tym, jak zastrzelił tatę, ma jej opowiedzieć na następnym spotkaniu.

Trzy tygodnie później robi głęboki wdech i znów jest dla niego wielkosobotni poranek, jedzie autostradą do Dawn Park w Boksburgu. Wjeżdża w uliczkę Hakea Crescence, tam dostrzega Haniego w dresie. Jedzie za nim do sklepu, wraca, wyciąga pistolet zza paska. Dwa strzały z daleka, dwa z bardzo bliska.

– Ta chwila zmieniła wszystko w moim dwunastoletnim świecie. To był punkt zwrotny, zmieniający wszystko i na zawsze. – Tak dziś mówi o tym, co ją wtedy spotkało.

On ją za to wszystko przeprasza.

– Bardzo przepraszam za to, co zrobiłem tobie i twojej rodzinie… ja bardzo przepraszam – powtarza, zanim na długo zamilknie.

„W pokoju robi się bardzo cicho. Ocieram łzy, połykam krzyk i jestem spokojna. Patrzę tylko w oczy Walusiowi.

Zrozumiałam, że od chwili zamordowania ojca moje życie zostało na zawsze z nim, mordercą, połączone. Nie było przed nim ucieczki. Musiałam to zaakceptować. Ten związek zostawił we mnie ziejącą pustkę bólu. Moje życie zawsze polegało na ucieczce i ukrywaniu się przed tym bólem, dlatego brałam narkotyki.

Kiedy siedziałam naprzeciwko Walusia, słuchając, jak z zimną krwią mordował mojego ojca, nie miałam gdzie uciec. Otworzyła się rana skrywanego bólu. Musiałam tego wszystkiego wysłuchać i skonfrontować z własnymi przeżyciami. I to zagasiło ten ból.

Chciałam od niego czegoś więcej niż tylko przeprosin, wyjaśnień, szczegółów śmierci tatusia. Był ostatnim żywym łącznikiem między mną a tatą, bo tylko on widział go do samej śmierci.

Kiedy poznałam jego historię, zobaczyłam, że nie jest szatanem, jak sobie go wyobrażałam. Jest nawet jakaś cząstka we mnie, która współczuje temu człowiekowi, szaremu, wychudzonemu w jego pomarańczowym kombinezonie.

Ten człowiek wyrządził zło, ale z godnością za nie teraz odpokutowuje w więzieniu. Nieoczekiwanie znalazłam w sobie szacunek dla jego stoickiej postawy. (…)

W niewytłumaczalny sposób polubiłam tego człowieka, który zabił mojego ojca, a jednocześnie chcę go desperacko odepchnąć od siebie. (...)

Nie jestem pewna, czy wybaczę mu zamordowanie człowieka, którego tak bardzo kochałam, ale wiem, że dzięki niemu sama pozbyłam się gniewu i nienawiści. Mam nadzieję, że zostawiłam go z poczuciem ulgi i nadzieją, że poza szarym światem za kratami jest dla niego trochę ciepła i ludzkiej dobroci".

Zakopane/Poznań/Warszawa

„Pragniemy, aby Pan wiedział, że gdzieś tam w Polsce, w samym sercu Skalnego Podhala, w Zakopanem są ludzie, którzy pamiętają o tragicznym losie polskiego emigranta i w pełni rozumieją, jakimi pobudkami kierował się (...). Niech Chrystus Zmartwychwstały napełni Pańskie serce, Panie Januszu, łaską, radością i nadzieją. (...) W erze ideowego szaleństwa proszę pamiętać o właściwym znaczeniu tych Świąt i czerpać z nich siłę do dalszej walki w obronie słusznych Wartości" – piszą w grudniu 2012 roku do Pretorii członkowie podhalańskiego oddziału Obozu Narodowo-Radykalnego. Ta faszystowska przed wojną organizacja w połowie lat dziewięćdziesiątych odradza się w wolnej Polsce. Głosi program dominacji białego człowieka, ale nie jest w stanie przyciągnąć na swoje wiece więcej niż kilkaset osób. Wszystko zmienia się w 2010 roku, gdy na organizowany przez ONR Marsz Niepodległości w Warszawie przychodzi kilka tysięcy osób. Następnego roku ta liczba się podwaja, potem potraja. Na kolejnych manifestacjach pojawiają się portrety Walusia i transparent „Naszym wzorem Janusz Waluś".

Tę przemianę następującą w Polsce najlepiej widać na trzecim piętrze bloku sekcji G4 więzienia w Pretorii, gdzie zaczynają przychodzić masowo widokówki i listy z Polski od osób zupełnie nieznanych. (Na święta jest ich nawet pięćdziesiąt).

Do więzienia pisze ideowa i konserwatywna młodzież ze Szturmowego Poznania. Walczą o czystą krew i białą Europę.

„Piszemy z serca polskiego nacjonalizmu, a dziś, niestety, z gniazda lewicy i marksizmu kulturowego. Wiedz, że jest tu wielu pseudo-dziennikarzy i ojkofobów, którzy plują nie tylko na swój kraj i nasze idee, ale także na Ciebie.

Ale pamiętaj, że polska, patriotyczna młodzież w głębokim poważaniu ma ich bzdurne teksty i oszczerstwa. My kochamy Polskę, wierzymy też w to, że powróci miniona wielkość białego Świata. Naszego Świata. A Ty Januszu jesteś dla nas BOHATEREM.

Jesteśmy nacjonalistami i nie pozwolimy, by lewicowcy zniszczyli nasz kraj. Jest nas wielu, nasze szeregi wciąż rosną, a więc jutro należy do nas" [pisownia oryginalna].

Nie jest w stanie na wszystkie listy odpisywać. Odpowiedzi dostają nieliczni. Jak Jan K. i jego koledzy. Waluś pisze niebieskim długopisem na skrawku wyrwanej z zeszytu kartki.

„Wielkość białego Świata może tylko wrócić przez przywrócenie prawdziwych wartości, nie tylko patriotycznych, ale także chrześcijańskich. Duże rodziny i prawidłowe wychowanie przyszłych pokoleń. (Nie mówię tu o »wartościach chrześcijańskich« głoszonych przez naszego biednego, zagubionego Papieża względem tzw. uchodźców). Nie chodzi tu o jakąś bezpodstawną dumę, czy obsesję, ale jeśli nie wróci wielkość Naszego Świata to możemy powiedzieć cywilizacji jako takiej, nie »do widzenia«, ale żegnaj.

Przestrzegam Was także przed rasową nienawiścią. Mam wielu przyjaciół wśród Murzynów, tak więźniów, jak strażników. Trzeba ich po prostu widzieć takimi jacy są, a nie tak jak ich chce widzieć liberalstwo. Tworzenie »wielokulturowych« społeczeństw w Europie to nawet nie utopia, ale szaleństwo.

Niektórzy piszą o mnie – morderca, bandyta. Nie ma to dla mnie znaczenia. Ważne co myślą tacy jak Wy, ludzie patriotyczni i konserwatywni" [pisownia oryginalna].

Sabalele

Jadę wynajętym na lotnisku w Johannesburgu samochodem. Osiemset pięćdziesiąt kilometrów na południe autostradą na East London. Po prawej zostawiam Bloemfontein, po lewej granicę z Lesotho. Nocleg w okolicach rezerwatu Longhill w Queentown. Rano krajówką na Cofimvabę i w połowie drogi odbić w prawo na St. Marks. Dalej prosto.

Według mapy na smartfonie punkt w nicości – między wąską dróżką, która się nagle urywa, a jakimś strumyczkiem płynącym przez góry. Do najbliższego większego miasta siedemdziesiąt kilometrów, ale nawet w Queenstown, stolicy Obszaru Municypalnego im. Chrisa Haniego, nie są pewni, czy w Sabalele żyje tysiąc, czy pięć tysięcy mieszkańców. Teraz prowadzi tam nowa, zbudowana kilka lat temu szosa. Częściej niż samochody pojawiają się na niej krowy, owce i kozy. Wygląda to, jakby asfaltowa droga prowadziła przez bieszczadzkie połoniny, tylko z rozrzuconymi po górkach lichymi, parterowymi domkami przypominającymi cyrkowe barakowozy. Raczej skały niż łąki. I nawet nie ma kogo zapytać o dokładne miejsce urodzenia Haniego, bo nikogo tu nie ma.

Na końcu drogi metalowa siatka z drutem kolczastym. Za nią Centrum Rozwoju imienia Chrisa Haniego, Centrum Wypoczynku Chrisa Haniego, Muzeum Chrisa Haniego i Biblioteka Chrisa Haniego, do wypożyczenia jedna książka o nim – *Hani: A Life Too Short*. Ale nikt jej jeszcze nie wypożyczył, bo napisana jest w języku angielskim, a w Sabalele wszyscy mówią xhosa, językiem najbardziej wpływowego, obok Zulusów, plemienia Południowej Afryki. Z plemienia Xhosa pochodzą dwaj laureaci Pokojowej Nagrody Nobla (Desmond Tutu i Nelson Mandela), dwaj prezydenci Południowej Afryki (Nelson Mandela i Thambo Mbeki) i dwa legendarne symbole walki z rasizmem (Oliver Tambo i Chris Hani). Tu, w Sabalele, Hani wciąż nazywany jest Martinem Thembisilem, bo *thembisile* znaczy w języku xhosa „obietnica”, a on obietnicy dotrzymał.

– Chciał zwycięstwa rewolucji i tak się stało, dlatego prezydent Mandela nazywał go duchem prowadzącym nas do zwycięstwa rewolucji – mówi Loyiso Nobokwana, oprowadzając mnie po muzeum towarzysza Chrisa Haniego, największego z rewolucjonistów Południowej Afryki. Loyiso ma nie więcej niż trzydziestkę, do pracy przychodzi w białej koszuli, a dziś ma

jeszcze turkusową przepaskę na głowie, by pot nie spływał mu z czoła, gdy oprowadza turystów po salce, trochę większej niż kawalerka na Ursynowie, zastawionej tablicami z portretami Haniego, wycinkami ze starych gazet, przemówieniami i cytatami z jego przemówień.



Muzeum Chrisa Haniego w Sabalele.
Fot. Cezary Łazarewicz

O pobycie Thembisilego w Sabalele jest niewiele.

„Życie było tu dla nas bardzo trudne, ciężkie to były czasy, cały budżet rodzinny mamy pochodził z tego, co zebrała na naszym polu, bo ze strony ojca, który zawsze pracował dla białych kapitalistów, mogliśmy liczyć tylko na niewielkie wsparcie.

Pięć razy w tygodniu chodziłem dwadzieścia kilometrów do szkoły, ten sam dystans pokonywałem w każdą niedzielę, idąc do kościoła.

Mając osiem lat, zostałem ministrantem w Kościele katolickim i stałem się bardzo pobożny.

Po ukończeniu szkoły podstawowej miałem żarliwe pragnienie zostać księdzem, ale mój ojciec się temu sprzeciwił.

W 1954 roku, kiedy chodziłem do szkoły średniej, reżim apartheidu wprowadził edukację bantu, która miała na celu indoktrynację czarnych uczniów, aby uznali wyższość białego człowieka nad czarnymi. To nas oburzyło i ostatecznie utorowało mi drogę do zaangażowania w walkę” – napisał Hani w swoim życiorysie, który dziś nazywa się autobiografią i każdy może ją ściągnąć ze stron internetowych Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej.

W 1962 roku mieszkańcy Sabalele widzieli go po raz ostatni. Miał dwadzieścia lat, był wysoki, dobrze zbudowany i lubił żartować. W pobliskiej wsi miał dziewczynę, Judy Thunyiswę, i dojeżdżał do pracy w kancelarii Schaeffer and Schaeffer w Kapsztadzie. A potem zniknął na wiele, wiele lat. Podobnie jak jego ojciec Gilbert.

We wsi zostali jego dwaj bracia, Victor zwany Dushe i Nkosana, oraz ich matka – prosta wiejska kobieta, która nie umiała nawet pisać ani czytać. Mary Hani tylko sporadycznie była nękana. Przyjeżdżali do jej domu biali policjanci i pytali, gdzie ukrywa się Thembisile.

Ale tej historii Loyiso Nobokwana dokładnie nie zna, bo jest na to za młody.

Do osób, które pamiętają Haniego, ma mnie doprowadzić Bandezwa Zake. Dziewczyna w różowym kapeluszu. (Mieszka przy podwórku z łażącymi po nim kurami).

Najpierw pod dom Dushe. Niewielki murowany domek na wzgórzu, z ogrodzeniem z metalowej siatki. Dushe spoczywa pod betonową wylewką przy domu, ale wciąż żyje jego córka Otula, która powinna pamiętać wujka. Stoimy pod jej domem i co sił w gardle krzyczymy:

– O-tu-la, O-tula!

Bandezwa mówi, że widocznie nie ma jej w domu, idziemy dalej kilkaset metrów.

Gniazdo rodziny Hani jest na stromej działce. Łatwo je poznać, bo w ogródku stoi wielki grobowiec z granitu. Leżą tu rodzice Thembisilego – po lewej Gilbert Dafulani (zmarł 1994 roku), po prawej Mary Nomayisi (zmarła w 2000). To można przeczytać nawet z drogi.

Bandezwa coś tłumaczy siedzącemu przed domem staremu człowiekowi, który kiwa ze zrozumieniem głową i uśmiecha się do mnie.

Dom jest prosty, parterowy i mały. Murowane ściany, dach kryty blachą. W środku trzy pokoje – jeden duży i dwa po bokach. Z każdego widać przez okno bezkresne góry. W salonie wciąż stoi wielki drewniany stół otoczony krzesłami z wysokim oparciem. To prezent, który Thembisile przywiózł rodzicom w latach dziewięćdziesiątych, gdy już powrócił z wygnania.

Mężczyzna w rozdeptanych trampkach i kanarkowej koszulce to Mawethu Hani, syn Nkosana Haniego i bratanek Thembisilego.

Wujka widział tylko raz, trzy tygodnie przed jego śmiercią, gdy przyjechał tu w marcu 1993 roku.

Mawethu miał wtedy czternaście lat. Przed domem babci i dziadka pomagał w uboju krowy. Wielkie wydarzenie, więc byli wszyscy sąsiedzi z wioski. I nagle podjechał samochód Thembisilego. (Nikt nie pamięta, jak był wtedy ubrany). „Dobrze, że go w końcu poznasz osobiście" – szepnęła mu babcia.

Mawethu pamięta, że wujek był bardzo ważnym człowiekiem. Mówili o nim w radiu i pisali w gazetach. Rozeszło się więc po wsi, że przyjechał, i ci, którzy go pamiętali, przyszli do domu Gilberta i Mary, żeby zobaczyć Chrisa z bliska. Zachowywał się bardzo zwyczajnie. Pamiętał nawet wszystkich z imienia. Obiecał, że wróci.

(„To było dziwne i przerażające doświadczenie – opowiadał Hani o wizycie w Sabalele. – Zdałem sobie sprawę, jak niewiele się tam jednak zmieniło. Oni wciąż nosili wodę na głowach do swych skromnych domów, wciąż chodzili pieszo piętnaście kilometrów do najbliższego sklepu, by kupić tam mydło lub cukier. Nikt nie miał telewizora, a tylko kilka osób radio. Problemy analfabetyzmu były takie same jak czterdzieści lat temu, gdy byłem dzieckiem"[60]).

Trzy tygodnie później był już martwy. Mary z Gilbertem marzyli, by wrócił do domu i znów byli razem, ale wdowa zdecydowała inaczej. Pojechali więc na pogrzeb do Soweto. Wtedy po raz pierwszy w transmitowanym na żywo programie cały świat usłyszał o małej wiosce Sabalele z Prowincji

Przylądkowej Wschodniej. Potem wieś odwiedził pierwszy czarny prezydent Nelson Mandela i jego następca – Thabo Mbeki.

Ale boomu turystycznego nigdy nie było. I tak jest do dzisiaj.

Każdego roku w rocznicę śmierci Haniego pod jego dom luksusowymi samochodami zajeżdża miejscowa władza. Notable ściskają się, klepią po plecach, rozdają sobie dyplomy i medale.

Za sprawą Thembisilego powstają tu drogi, wodociągi, szpital, biblioteka, jest medialne zainteresowanie. Dziennikarze zwykle szukają najbliższej rodziny i znajdują Mawethu Haniego. Opowiada im wtedy o spotkaniu przy uboju krowy; za swą historię pobiera niewielką opłatę pięćdziesięciu randów (tyle bierze od dziennikarzy z Polski).

Nazwisko Waluś wypowiada bezbłędnie, prawie bez obcego akcentu. Wie, kim jest zabójca wujka Thembisilego, i mówi, że powinien za to zgnić w więzieniu.

Pretoria – Kgosi Mampuru II

Mojemu więziennemu psychologowi powiedziałem, że będzie to trudniejsze niż wysłuchanie własnego wyroku śmierci. Ale wiedziałem, że nie mogę odmówić. Sam o to przecież prosiłem. Muszę przez to przejść. Opowiadałem tę historię Komisji Prawdy, psychologom, terapeutom i szefowi więziennych kapelanów, który przygotowywał mnie do rozmowy z nią. Nie jest przyjemne ciągle do tego wracać, a tym bardziej spotkać się twarzą w twarz z kimś, komu zabiłeś ojca.

Spotkania z Lindiwe odbywają się w biurach komisarza, w bardziej cywilizowanych warunkach niż więzienie.

Na początku jest drętwo.

Ona zaczyna. Chce się dowiedzieć więcej o mnie.

Opowiadam o swoim dzieciństwie, gdzie urodzony, gdzie wychowany, ojciec, matka, zainteresowania, szkoły. Pyta o Polskę, co to za kraj i dlaczego tu przyjechałem.

Nie pyta wprost: „Dlaczego zabił pan mojego tatę?”, bo jest taktowna, ale chce znać szczegóły.

Jak do tego doszło, jak padały strzały i jakie były ostatnie chwile życia ojca. Obawiałem się, jak się zachowa, gdy to wszystko usłyszy, ale była bardzo opanowana.

Pytała, skąd wiedziałem, że ojciec był sam. Może myślała, że ktoś ich zdradził?

„To był przypadek" – powiedziałem i zapewniłem, że nie było żadnego piętrowego spisku. Powiedziałem, że minęło ponad dwadzieścia lat i gdyby ktoś jeszcze był w to zamieszany, na pewno zostałby już namierzony.

I chyba w końcu w to uwierzyła.

Rozmawialiśmy na luźne tematy. Trwało to bardzo długo, a potem był lunch. Chciałem się urwać, ale mnie zatrzymała.

Spotkałem kogoś, kto chciał mnie słuchać, nie oceniał, nie mówił: „Kłamiesz" i „Powinieneś gnić w więzieniu do końca życia". Wręcz przeciwnie – chciała wysłuchać, co mam jej do powiedzenia.

Na ostatnim spotkaniu powiedziała: „Nie wiem, czy ci wybaczę". Niczego od niej nie oczekiwałem, na nic nie naciskałem. Nie potrzebuję wybaczenia, raczej zapomnienia, zaakceptowania i zrozumienia.

Rzutka, bardzo inteligentna, z poczuciem humoru, niezaślepiona.

Po pierwszym spotkaniu miałem dla niej bardzo dużo szacunku, po następnym ją polubiłem.

Zostawiła mi do siebie telefon, więc dzwonię do niej regularnie. Co roku po Bożym Narodzeniu składam jej życzenia urodzinowe. Czasem wyczuwam dystans, czasem sympatię, ale zawsze chwilę rozmawiamy.

Powiedziała ostatnio, że chciałaby się ze mną spotkać, ale jest jej trudno, bo ma nieregularną pracę i ciężko jej się wyrwać.

Dałem jej telefon do Ewy i powiedziałem, że może w każdej chwili zadzwonić.

Jeszcze nie zadzwoniła.

Pretoria/Warszawa

„Miał tej ostatniej nocy jasne oczy. Patrzył nimi tak, jakby już wszystko wiedział.

I zdradził mi wtedy ten sekret, coś, czego nikomu powiedzieć nie mogę" – mówi zaraz po śmierci męża dziennikarzowi „The Citizen"[61]. I za nic w świecie nie chce mu zdradzić tego sekretu.

Po trzech latach pytam ją o tę tajemnicę, ale nie może sobie przypomnieć, o co w ogóle wtedy chodziło.

– To nie było nic politycznego, jeśli dobrze pamiętam – mówi Gaye Derby-Lewis, która już się tak nie nazywa, bo po śmierci męża zmieniła nazwisko.

Niewiele się zmieniła. Wygląda jak na zdjęciach z procesu. Krótko ścięte, ułożone starannie włosy i grube szkła okularów. Masywna i bardzo wysoka.

Urodziła się w Australii. („Miłe, ale nudne miejsce"). Była młoda, gdy wyjechała do Południowej Afryki. Tu poznała oficera wywiadu Antona G. – Niemca z kolonii w południowo-zachodniej Afryce.

(„Bardzo mili i przyjaźni ludzie, ci Niemcy, ale jest z nimi coś nie tak, bo nawet jak grają latynoskie piosenki, brzmi to jak marsz"). Rozwodzi się po pięciu latach i przenosi do Johannesburga. Tu prowadzi pub i konserwatywną krucjatę. Poznaje bliżej Clive'a Derby-Lewisa z Partii Konserwatywnej. Wydają razem partyjne gazetki i ideologiczne broszury.

Łączą ich poglądy polityczne, a od 1986 roku również związek małżeński.

Gaye trafia do więzienia trzy dni po aresztowaniu męża. („Omal nie umarłam, gdy powiedzieli mi, że jestem oskarżona o morderstwo").

Po trzech i pół miesiąca zostaje zwolniona za kaucją. („Trzymali mnie w malutkiej celi, bez możliwości kontaktu z kimkolwiek").

W procesie morderców Chrisa Haniego posadzona zostaje na ławie oskarżonych obok męża i Janusza Walusia, ale zostaje uniewinniona z powodu braku wystarczających dowodów. Sąd uznaje, że lista z adresami przeciwników apartheidu, którą posługiwał się Janusz Waluś, jest tylko dziennikarską notatką, wykorzystaną bez wiedzy i zgody właścicielki.

Sąd nie znajduje też dowodów na to, że cokolwiek wiedziała o przygotowaniach do zamachu.

Przez dwadzieścia trzy lata w każdy możliwy weekend przyjeżdża do więzienia w Pretorii, by przez godzinę być z mężem.

Jest zła, że więzieniem odebrali Clive'owi tyle lat życia. – A to, co się dzieje z Kubą, to już prawdziwy skandal – mówi.

Dom stoi na zamkniętym osiedlu na południowych przedmieściach Pretorii, a mimo to wszystkie drzwi wejściowe chronione są kratą.

W salonie wciąż wisi zdjęcie męża w mundurze. (Są też fotografie australijskiej rodziny Gaye). To ten sam pokój, w którym udzielał swojego ostatniego przed śmiercią wywiadu Ernstowi Roetsowi.

Nic się tu nie zmieniło, nawet meble stoją tak samo.

Nic po mężu nie zostało, co można by uznać za jego polityczny testament. Nie zostawił też wspomnień, notatek ani zapisków. Nic, co można by było traktować poważnie.

Mówi, że sama to kiedyś opisze, ale na razie są ważniejsze sprawy.

Kończy właśnie książkę śledczą, w której ujawni, kim naprawdę są ludzie Afrykańskiego Kongresu Narodowego, którzy zniszczyli Południową Afrykę. Będzie to książka o ucisku białego człowieka przez czarną afrykańską większość.

– To moja przestroga dla świata – mówi. – Wierz mi, przyjacielu, czarni Afrykańczycy są kompletnie inni od nas, białych ludzi. A wasz błąd, ludzi przyjeżdżających z Europy, polega na tym, że myślicie, że oni są tacy sami jak wy, tylko mają inny kolor skóry. To zupełnie coś innego. To są odmienne kultury, jak chrześcijanie i muzułmanie. Dlatego żyjemy tu jak złe małżeństwo, które nie może się rozwieść.

Ze stert ułożonych kartek wyjmuje skserowane artykuły z gazet (każda notatka ma swoją sygnaturę), wyciąga książki z biblioteczki, przynosi własne notatki. Mówi, że to bardzo ważne, żebym wszystko dobrze zrozumiał. Większość artykułów pochodzi z prawicowego „The Citizen" i jest o tym, że Chris Hani jest bardzo niebezpiecznym i złym człowiekiem. (To tak, jakby na podstawie lektury „Gazety Polskiej" próbować sobie wyrobić zdanie o Donaldzie Tusku).

Swoim pięknym angielskim stara się tłumaczyć mi jak najprościej, bym w końcu zrozumiał:

– Ten piękny kraj zbudowali biali ludzie. Nikt im w tym nie pomógł. Ani Organizacja Narodów Zjednoczonych, ani Unia Europejska. Czarni nie są w stanie niczego sami zbudować. Uwierz mi, przyjacielu. To nie jest

przypadek, że w Afryce nie używali koła, nie zbudowali żagla i nie znali pisma. Oni nie potrafią wyhodować nawet ziemniaka. Dlaczego nasi przodkowie się rozwinęli, a ich nie? Musisz sam do tego dojść, mój przyjacielu.

I znika nagle w pokoju obok. Za chwilę kładzie na stole grubą książkę. To dziennik ekspedycji Andrew Smitha[62], brytyjskiego ornitologa, który w 1834 roku wyruszył badać tereny dzisiejszej Południowej Afryki.

– Co on tu znalazł? – pyta Gaye. – Nic. Bo tu niczego nie było.

Kartkujemy kolejne ryciny: półnagie kobiety, mężczyźni z włóczniami, łuki, strzały, szałasy z liści palmowych, garbowane tygrysie skóry, narzędzia z patyka i groty z kamienia. Zulusi, Xhosa, Sutu i najbardziej prymitywne z plemion – Buszmeni.

– Widzisz, jak oni żyli? – pyta. – Gdyby umieli wykorzystać swój mózg do budowy maszyn, to wydobywaliby stąd złoto i diamenty i to oni, a nie my, biali, zbudowaliby tu swoje bogactwo.

Próbuję ci tylko powiedzieć, że bez białego człowieka nic by tutaj nie było. Podobnie w Australii, skąd pochodzę. Co z tego, że od czterdziestu tysięcy lat byli tam Aborygeni, skoro nic nie potrafili wybudować. Nic stworzyć. I dopiero gdy wylądowaliśmy tam my, Brytyjczycy, wszystko ruszyło i zaczęło się zmieniać.

Różniłam się z Clive'em w ocenie sytuacji. On był przekonany, że można coś jeszcze zrobić, ja byłam od początku sceptyczna. Nie wierzyłam, że biali ludzie mogą się jeszcze uratować. Nigdy nie byliśmy wystarczająco silni, by się tym dzikusom przeciwstawić.

Dopiero tu otworzyły mi się oczy, gdy zaczęłam zatrudniać czarnych. Poznałam ich dobrze. Wiem o nich wszystko. I teraz będę ostrzegać innych, bo mogą zniszczyć kolejny kraj.

Kuba to wszystko rozumiał, kiedy do nas przyszedł w połowie lat osiemdziesiątych. To wyjątkowa osoba. Świetnie przygotowany. Rozumiał komunizm. Wiedział, jakie to zagrożenie. Dołączył do Partii Konserwatywnej, bo była najbardziej antykomunistyczna.

W sprawie Chrisa Haniego Gaye ma podobne zdanie jak nieżyjący mąż:

– To był prawdziwy dzikus. Uwierz mi, przyjacielu, on był naprawdę złym człowiekiem i bardzo niebezpiecznym. Był facetem, który wykrzykiwał, wygrażał i biegał po ulicach z bronią. Był komunistą, był terrorystą. Partia Narodowa chciała go zabić kilka razy, ale zawsze wychodził z tego żywy.

Mówię ci, mój przyjacielu, Kuba ocalił ten kraj. Ale nie wiem, czy zwykli biali ludzie wiedzą, czego on dokonał. I dobrze by było, żeby się tego od ciebie dowiedzieli.

Podziwialiśmy Kubę. Wspaniała postać. Nigdy nie czuliśmy do niego urazy. Clive wiedział, że Kuba został przez policję oszukany i że próbował go tylko ostrzec. Wszyscy walczyliśmy na tej samej wojnie. Nie byliśmy jakimiś kryminalistami napadającymi na bank. Nie robiliśmy tego dla siebie. To była sprawa ratowania ojczyzny.

Kuba nie mógł się bronić, mówić, że tego nie zrobił. Został złapany z bronią i nie było wątpliwości. Jedyna obrona, jaką miał, to antykomunizm. Tego się trzymał.

Ale przeciwko Clive'owi nie było żadnego dowodu. Nie mieliśmy pieniędzy, bo wszystkie nasze oszczędności szły na propagandę i wydawanie gazet. Poprosiliśmy więc Partię Konserwatywną o pomoc i dali nam adwokata. Dostali tego głupiego, cholernego adwokata, który powiedział Clive'owi, że nie może nic mówić podczas procesu.

On nic nie rozumiał. „To proces polityczny – tłumaczyłam mu. – Oni potrzebują wroga, a jeden Polak, Pan Nikt, to dla nich za mało. Chcą na ławie oskarżonych posadzić Partię Konserwatywną, bo to jest jedyna biała opozycja, która protestuje przeciwko porozumieniu de Klerka z czarnymi z ANC. A jak ma siedzieć prawica, to Clive nadaje się do tego najlepiej. Jest jedną z najważniejszych osób w Partii Konserwatywnej i jedyną, którą można powiązać z Kubą".

Gaye planuje przyjazd do Warszawy. W Polsce będzie pierwszy raz, więc dopytuje teraz o ważne szczegóły: czy jest tam bardzo zimno, czy na ulicach leży śnieg, czy w hotelach są wanny, czy na ulicach jest bezpiecznie i czy dużo jest tu czarnych?

– Myślisz, że biali i czarni będą mogli kiedyś żyć obok siebie? – pytam.

– Nigdy – odpowiada. – Mówię ci przecież, że to zupełnie inna kultura. Nie chciałbyś chyba, żeby twoje dziecko mieszkało obok nich. Prawda?

***

Trzy tygodnie później spotykamy się w Warszawie.

Gaye mieszka przy ulicy Smolnej, w luksusowym apartamencie Chopin w stylu lat dwudziestych. Rano ekologiczne śniadania, wieczorem koncerty fortepianowe.

Na Nowym Świecie plucha, zacina śnieg z deszczem. Jemy pączki z różą w kawiarni Bliklego.

Gaye opowiada o problemach południowoafrykańskiego wymiaru sprawiedliwości. Czarni przejęli sądy i stały się stronnicze. („Nie obowiązuje już tam prawo białego człowieka”).

Ostatnią deską ratunku jest jeszcze najwyższa izba – Sąd Konstytucyjny, bo tam wciąż większość sędziów jest biała. Trzeba się liczyć z tym, że sprawa Walusia ostatecznie trafi właśnie tam. Wtedy Janusz będzie potrzebować co najmniej siedemdziesięciu tysięcy dolarów, by opłacić wszystkie koszty. Gaye wie nawet, skąd weźmie te pieniądze. Na pomysł wpadła kilka miesięcy temu, gdy na WhatsAppa ktoś przysłał jej zdjęcie z Polski. Na fotografii był jakiś stadion pełen ludzi, wielkie banery z podobizną Kuby i transparenty „Uwolnić Janusza Walusia”.

– Pomyślałam, że gdyby każdy z tych ludzi siedzących na trybunach dał choć po dolarze na Janusza, to nie trzeba się będzie martwić o opłaty sądowe – mówi.

Za kilka dni ma się w tej sprawie spotkać z kibicami Legii i Rakowa Częstochowa. Chce ich namówić do udziału w wielkiej charytatywnej zbiórce pieniędzy, którą właśnie prowadzi na rzecz Walusia. Dla polskich sympatyków Kuby przywiozła z Pretorii jego oprawiony w ramy portret, który można by sprzedać na licytacji za grube pieniądze.

Ale po kilku miesiącach pisze w mailu, że się na tej współpracy zawiodła. Portret gdzieś zaginął, pieniądze z aukcji do niej nie dotarły, a nawet nie może się dowiedzieć, co się z nimi stało. Jest zniechęcona i wycofana.

„Drogi przyjacielu – pisze w kolejnym liście. – Nie wymieniaj nigdzie mojego nowego nazwiska, bo moi wrogowie o mnie nie zapomnieli. Ich zemsta nie zna granic, a ja właśnie zaangażowałam się w międzynarodowy biznes. Muszę być bardzo ostrożna, bo zbyt dużo mam teraz do stracenia”.

Kraków

Najlepszy kolega nazywa się Bogdan Rudnicki, jest biografem Hłaski i jednym z założycieli krakowskiego teatru KTO.

Telefon w jego krakowskim mieszkaniu dzwoni regularnie. Rozmawiają co dwa, trzy tygodnie, a jeśli przerwa trwa dłużej, to znak, że dziesięć tysięcy kilometrów stąd na więziennym oddziale G aparat znów jest uszkodzony.

Poza obowiązkowymi tematami – zwolnienie warunkowe, ostatnie sesje z psychologiem, sytuacja polityczna w Polsce i na świecie – są zdrowie, ciekawe lektury z ostatnich dni i co słychać u znajomych.

Poznali się pół wieku temu w drugiej B V Liceum Ogólnokształcącego im. Augusta Witkowskiego w Krakowie. Kuba Waluś zostaje tam przeniesiony przez rodziców po pierwszej klasie z Nowodworka (I LO im. Bartłomieja Nowodworskiego), gdzie nie radził sobie z nauką. Mieszka w Borku Fałęckim na obrzeżach Krakowa i codziennie dojeżdża do szkoły tramwajem.

Nauka go specjalnie nie wciąga, ale jest oczytany. Pochłania głównie książki spoza listy szkolnych lektur.

Trenuje judo. Sporty zespołowe go nie interesują. Ani piłka nożna, ani ręczna, ani koszykówka. Indywidualista. Mówi, że nie podoba mu się ta zbiorowa odpowiedzialność w sporcie. „Jak ktoś mnie rzuci na matę, to wiem, że to moja wina, a jak wygrywam, to jest to tylko mój sukces i nie muszę się nim dzielić” – tłumaczy.

Najlepszy kolega rozpoczyna studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jest na jednym roku z buntującymi się studentami: Stanisławem Pyjasem, Bronisławem Wildsteinem, Lesławem Maleszką [ten ostatni okazał się współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa]. Czas jest gorący. W czerwcu 1976 roku wychodzą na ulice robotnicy Radomia, we

wrześniu 1976 roku powstaje w Warszawie KOR, a w maju 1977 roku, po śmierci Stanisława Pyjasa, Studencki Komitet Solidarności. Kraków buntuje się, buzuje i samoorganizuje. W akademikach i przy dominikańskim kościele Świętej Trójcy powstają przyczółki opozycji.

– Poglądy mamy identyczne, ale Kuby zbiorowe uniesienia nie porywają. Nie włącza się, bo nie czuje się dobrze w tłumie. Nie manifestuje i nie gardłuje. Wybiera rajdy i samochody. I za chwilę ucieka do tego kolorowego i pięknego świata – mówi najlepszy kolega. – Rzadko pisze. Czasem dzwoni, ale rozmowy są bardzo drogie, więc wszystko krótko.

Mówi, że w Południowej Afryce musi nastąpić ewolucja systemu. Zastanawia się tylko, czy pójdzie to na żywioł, czy będzie ewoluowało. Czy natychmiast czarni analfabeci dostaną prawa wyborcze i państwo poniesie od razu klęskę, czy będzie to proces stopniowych zmian, by nie nastąpiło tąpnięcie. Dla niego jest jasne, że to musi ewoluować. Innego wyjścia nie widzi. Inaczej dojdzie do wrzenia i utraty kontroli.

Nie mam wrażenia, że on się radykalizuje. Racjonalnie ocenia sytuację i ma nadzieję, że wszystko się dobrze skończy.

Że coś w nim pęka, czuję, gdy jesienią 1992 roku pierwszy raz przyjeżdża do Polski. Gadamy całą noc. Jest już innym facetem. Czuć, że jest przed jakimś przełomem, że szykuje się do czegoś ważnego i nie wie, jak to się skończy. Musi być już zdecydowany i wie, że się nie cofnie, ale mnie o niczym nie mówi.

Dowiaduję się z mediów, jak wszyscy. Najpierw z radia. Nazwisko z początku nie pada. Podali je w kolejnych wiadomościach. Na drugi dzień Marta Szostkiewicz zaprasza mnie do swojej audycji w Radiu Kraków. Dyskutujemy, czy on mógł to zrobić. „Ja w to nie wierzę" – powtarzam. Bo całe moje doświadczenie z nim związane temu przeczy.

Szukam czegoś w przeszłości, co byłoby jakąś wskazówką, sygnałem, że mógłby to zrobić. Nic nie znajduję.

Nie mogę zrozumieć, dlaczego zaangażował się tak mocno. Przecież do większości spraw podchodził sceptycznie, z dystansem, z ironią. Nigdy nie poddawał się zbiorowym emocjom. Ze wszystkich kolegów z liceum stał najbardziej twardo na nogach. Łatwiej by było zwerbować mnie niż jego.

Odezwał się po wyroku. To był zwykły list, tyle że po angielsku. Napisał, gdzie teraz jest i jak się miewa. Nie zamierzał się przede mną tłumaczyć.

Zaczynamy znów korespondować. Najpierw po angielsku, bo inaczej nie można było, a po kilku latach po polsku.

Rozmowy telefoniczne to sprawa ostatnich dziesięciu–dwunastu lat.

Minęło dużo czasu, zanim mi wszystko opowiedział. Na siłę nic nie chciałem wyciągać, a on się nie wywnętrzał. Mówiłem: „Jak możesz – opowiedz, jak nie – nie ma problemu". Gdy wyczuwałem, że temat staje się bolesny, to się wycofywałem.

Spokojnie, pomalutku, tydzień po tygodniu szliśmy do przodu, aż w końcu wszystkiego się dowiedziałem.

To nie znaczy, że wszystko jest dla mnie jasne.

Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, jak można się zdobyć na to, by odebrać życie drugiemu człowiekowi.

Gdy byłem dzieckiem, pytałem o to ojca, który walczył z Niemcami na wojnie. Odpowiedzi nigdy nie uzyskałem. Kubę też o to pytałem i też mi nie odpowiedział.

Polityczne kalkulacje Clive'a okazały się przecież całkowicie nietrafione. Zamiast zahamować proces oddawania przez białych władzy, śmierć Haniego tylko go przyspieszyła.

Trzyma się konsekwentnie tego, że wykonywał powierzone zadanie i że chciał spowolnić proces przekazywania władzy czarnym.

Dla niego miało to sens.

Jeśli teraz, po dwudziestu sześciu latach spędzonych w więzieniu, pozbawi się go tego poczucia sensu, to zrobi się z niego zwykłego mordercę, a on nie czuje się mordercą, tylko więźniem politycznym. I trzyma się tego z żelazną konsekwencją. Doskonale to rozumiem.

Wie, że popełnił straszliwy czyn, żałuje człowieka, ale jednocześnie mówi, że w podobnych okolicznościach zrobiłby to samo.

Żeby wyjść na wolność, musiałby zmienić zdanie. Wszyscy mu to doradzają. Tylko nie jest to takie proste. Gdyby tak zrobił, to przekreśli wszystko, co sobie zbudował w więzieniu, żeby się chronić i nie zwariować.

Może być sobą lub próbować wyjść na wolność, zaprzeczając sobie.

Jeśli odwoła wszystko, w co wierzył, to zaprzeczy samemu sobie. Wyjdzie na wolność z poczuciem zeszmacenia i nie będzie mógł spojrzeć w lustro, więc po co miałby żyć?

A jeżeli tego nie zrobi, będzie tam siedział nie wiadomo jak długo.

Niepojęte jest dla mnie, jak przez te wszystkie lata on to odosobnienie wytrzymał. Jaką niesłychaną dyscyplinę wewnętrzną sobie narzucił, by to znieść ze spokojem i godnością.

Pretoria

Prowadzi kancelarię prawną w najbardziej luksusowej dzielnicy Pretorii – Brooklynie. Urzęduje za białym murem posiadłości przy cichej uliczce Murray. Ale spotykamy się naprzeciwko, w ogrodzie z egzotycznymi roślinami hoteliku Brooklyn.

Nosi kolorowe koszule i specjalizuje się w zwolnieniach warunkowych, ale nie byle jakich. Wyciąga z więzień najbardziej znanych zbrodniarzy apartheidu. Największemu z nich – Eugene'owi de Kockowi, dowódcy szwadronów śmierci na fermie Vlakplaas – wywalczył cztery lata temu zwolnienie i wolność. Pułkownik de Kock, nazywany w gazetach „Pierwszym złym" lub „Egzekutorem okularnikiem", ma na sumieniu co najmniej trzy i pół tysiąca ofiar. Został skazany na dwieście dwanaście lat więzienia i dwa dożywocia. Odsiedział dwadzieścia lat. Wyszedł na początku 2015 roku. Dzięki mecenasowi Julianowi Knightowi.

Clive Derby-Lewis odsiedział dwadzieścia dwa lata. Został zwolniony z więzienia w połowie 2015 roku. Też dzięki Knightowi. Pytany przez media o swoje sukcesy, odpowiadał skromnie: „Zwycięstwo niezależnego sądownictwa".

Ostatnie zwycięstwo Juliana Knighta to Ferdi Barnard, nazywany w południowoafrykańskiej prasie maszyną do zabijania. Ten agent Biura Współpracy Cywilnej odbywał karę dożywotniego więzienia za zamordowanie profesora Davida Webstera, działacza antyapartheidowskiej opozycji, i usiłowanie zabójstwa innego aktywisty antyapartheidowskiego, Dullaha Omara. Wyszedł na wolność w marcu 2019 roku, po dwudziestu jeden latach za kratami.

Waluś jest ostatnim z tej wielkiej czwórki odsiadującym wyrok na oddziale Maximum C więzienia Kgosi Mampuru II, który wciąż tam jeszcze przebywa.

W kwietniu 2019 rozpoczął się dwudziesty siódmy rok jego uwięzienia. W historii więziennictwa Południowej Afryki tylko dwóch więźniów przebywało w zamknięciu dłużej: Dimitri Tsafendas (trzydzieści trzy lata za zasztyletowanie w parlamencie premiera RPA Hendrika Verwoerda w 1966 roku) i Nelson Mandela (dwadzieścia siedem lat za walkę z apartheidem).

W życiu Janusza Walusia mecenas Julian Knight pojawia się niespodziewanie w 2015 roku, tuż po swoim największym sądowym zwycięstwie – zwolnieniu z więzienia Eugene'a de Kocka. Przez znajomych przesłał do więzienia numer swojego telefonu i poprosił Walusia, żeby do niego zadzwonił. Przez telefon powiedział, że chętnie pomoże i zajmie się wyciągnięciem Walusia z więzienia. Jest zaangażowany, waleczny, wierzy w swoją misję i broni Janusza Walusia *pro bono*. („Co nie znaczy, że procesy nic nie kosztują"). To on doprowadza do sądowego przełomu w marcu 2016 roku i zwolnienia warunkowego Polaka z więzienia. Wtedy minister sprawiedliwości i służb więziennych Michael Masutha odmówił wykonania sądowego wyroku.



Mecenas Julian Knight przed drzwiami do swojej kancelarii.
Fot. Cezary Łazarewicz

Sprawa trafiła do Naczelnego Sądu Apelacyjnego w Bloemfontein, który po półtora roku anulował postanowienie ministra z powodów proceduralnych i przekazał je do ponownego rozpatrzenia temu samemu ministrowi. W styczniu 2019 roku Masutha[63] ogłasza ponownie, że nie przyzna Walusiowi zwolnienia warunkowego, a w wieczornym programie telewizyjnym *The Full View* pokrętnie tłumaczy, że to z powodu sprzeczności w raportach psychologów. Każe poddać się Polakowi zabiegom psychoterapii, by rozwiązał swoje emocjonalne problemy: depresję, napady agresji i nawiedzające go myśli samobójcze. To na razie ostatni akt batalii o zwolnienie warunkowe.

– Gdyby chodziło o kogoś innego niż Waluś, już dawno byłby pewnie na wolności – mówi Knight, popijając cappuccino w hotelu Brooklyn. – Ale ponieważ zastrzelił lidera komunistów Chrisa Haniego, to minister sprawiedliwości i więziennictwa ma problem, bo sam jest członkiem partii komunistycznej.

„Waluś nigdy nie zostanie zwolniony, bo zabił naszego komendanta. Powinien za to wisieć, ale skoro nie ma już kary śmierci, to niech zgnije

w więzieniu” – mówią nieoficjalnie adwokatowi współpracownicy ministra. Oficjalnie natomiast – są wykręty.

– Niestety, w państwie jest kompletny bałagan – opowiada Knight. – Nie działa konstytucja, nie działa system prawny, nie ma najwyższych wartości, do których możemy się wszyscy odwołać. Są za to ludzie, którzy chcą robić karierę. I robią ją dzięki partii. Dzięki partii dostają wysokie stanowiska i nadal partii służą. Jak ktoś taki trafi do rządu, to instrukcje dostaje od partii, a nie od premiera. Dla Afrykańskiego Kongresu Narodowego Związek Radziecki jest wciąż wzorem do naśladowania.

Parlament, rząd, sądy to fikcja. Wierzą, że partia ma zawsze rację, a prawo i sądy są tylko po to, by służyć partii. Sędziowie wykonują polecenia partyjne, ale coraz częściej sądowe wyroki zastępuje decyzja ministra.

Kiedy zapada wyrok o zwolnieniu Walusia, to technicznie ma go wykonać minister sprawiedliwości i więziennictwa, ale go ignoruje, więc sprawa trafia ponownie do sądu. Sędzia Bakwa, który ją prowadził, też jest członkiem komunistycznej partii. Żaden sędzia w sprawie Walusia niczego nie zaryzykuje, jeśli chce awansować. Bo jeśli będzie kiedyś chciał pracować w sądzie apelacyjnym czy w Sądzie Najwyższym, będzie musiał się wytłumaczyć przed partyjnymi zwierzchnikami, dlaczego wypuścił Walusia.

A przecież wiadomo, że przy każdej próbie złagodzenia wyroku najgłośniej od lat protestuje partia komunistyczna.

Czy któryś z sędziów w takiej sytuacji zaryzykuje karierę?

***

Linia obrony Knighta na najbliższe miesiące, a może i lata, jest dość prosta:

W sensie prawnym uznaje on wyrok zwolnienia warunkowego Walusia z więzienia za obowiązujący, tylko jeszcze niewykonany. Skoro sąd zwolnił więźnia, a minister nie wykonał wyroku, to trzeba go do tego przymusić. Pierwszy krok to wystawienie odpowiednich dokumentów, by Janusz Waluś po opuszczeniu więzienia mógł opuścić kraj i wyjechać od razu do Polski. Nie jest już obywatelem Południowej Afryki, władze RPA pozbawiły go obywatelstwa w 2017 roku, więc powinien mieć dokumenty podróżne. Minister Masutha tego nie zrobił, więc w kolejnym odwołaniu Knight

domaga się jak najszybszego ich wystawienia, by po ich otrzymaniu Waluś mógł natychmiast opuścić więzienie i kraj.

– Spędziłem z nim sporo czasu i trochę go znam – mówi Knight. – Nie musicie się go obawiać. Po powrocie do Polski nie stanie się ważnym politykiem, bo nie ma szans, by zajął się polityką. Zapewniam też, że nie stanie się bossem przestępczego podziemia. On chce wrócić do Polski i żyć tam normalnie. Nic więcej. Resztę życia spędzi ze swoją córką i wnuczką, ponieważ ona mu to zagwarantowała w dokumentach zwolnienia warunkowego.

Janusz zasługuje na pomoc. O jego sprawie powinno być głośno w Polsce, na forum Narodów Zjednoczonych i w europejskim Trybunale Sprawiedliwości. Ale nikt mu nie pomaga, bo to nie jest dobrze widziane. I będzie to trwało, dopóki szaleńcy z prawicy, te bandy przebierających się za Ku Klux Klan, będą go miały na swoich sztandarach. Jak długo będzie dla nich bohaterem, tak długo będzie postrzegany jak Adolf Hitler.

Warszawa

Christian Davies, warszawski korespondent brytyjskiego dziennika „The Guardian", pierwszy raz usłyszał to nazwisko na Jasnej Górze w Kaplicy Cudownego Obrazu, na mszy kończącej patriotyczną pielgrzymkę kibiców w roku 2018. Gdy prowadzący nabożeństwo ksiądz powiedział, że jest ono w intencji Janusza Walusia, zapytał swojego polskiego znajomego, o kogo chodzi. „Będziemy się modlić za mordercę" – wyszeptał zapytany.

– Zdziwiłem się, ale od razu pomyślałem, że to może być ciekawy temat dla brytyjskiego czytelnika – mówi mi Davies. – Zachodnie media bardzo się interesują odradzającym się w Europie rasizmem, nacjonalizmem i skrajną prawicą, a Polska to symbol tych przemian. Postrzegana jest jako kraj białej dumy, oporu przeciwko wartościom Unii Europejskiej i emigrantom. A sprawa Walusia, który zabił innego człowieka i stał się przez to bohaterem dla polskich kibiców, to bardzo ciekawa ludzka historia.

„Kult Janusza Walusia rozpoczął się w latach dziewięćdziesiątych, ale ostatnio bardzo się rozwinął z powodu odrodzenia się skrajnej prawicy

w Polsce” – pisze o nowym polskim bohaterze na łamach brytyjskiego dziennika „The Guardian”[64]. W artykule próbuje wyjaśnić Brytyjczykom fenomen popularności Walusia w Polsce, dlaczego stał się wzorem i co to znaczy, że jest ostatnim żołnierzem wyklętym. („Tak nazywa się polskich bojowników ruchu oporu, torturowanych i mordowanych przez reżim komunistyczny w epoce stalinowskiej”). Jeśli więc Walusia nazywa się „ostatnim żołnierzem wyklętym”, znaczy to tyle – wyjaśnia brytyjskim czytelnikom autor – że zabójstwo Chrisa Haniego postrzega się w Polsce jako kontynuację tej walki prowadzonej przez żołnierzy wyklętych.

„The Guardian” pisze, że zabójca Haniego stał się ikoną polskich kibiców. Organizowane są turnieje piłkarskie jego imienia, jego portrety noszą kibice podczas pielgrzymek na Jasną Górę („najświętsze sanktuarium w południowo-zachodniej Polsce”) i wywieszane są na największych polskich stadionach, a posłowie rządzącej prawicy widzą w nim więźnia politycznego.

Tekst jest ilustrowany zdjęciem wspierających Walusia kibiców na ulicach Krakowa. Niosą z sobą baner z jego portretem i drogowym znakiem zakazu z wpisanym w środek sierpem i młotem.

„Sympatycy Walusia zapewniają mu więcej niż tylko wsparcie moralne, zbierając pieniądze, za które opłacany jest jego prawnik”. Davies zauważa, że to dzięki pomocy finansowej swoich sympatyków Janusz Waluś może prowadzić skutecznie walkę o zwolnienie z południowoafrykańskiego więzienia.

„The Guardian” odnajduje na forach internetowych polskich kibiców list, który Waluś napisał z więzienia do swoich zwolenników skupionych wokół Legii Warszawa i Rakowa Częstochowa.

„Pragnę wyrazić moją głęboką i gorącą wdzięczność za Wasze wsparcie duchowe i materialne. Za wszystkie prowadzone przez Was akcje. Za kartki pocztowe z wyjazdów. Za demonstracje na stadionach. Za fundusze, które robią moją/Waszą walkę na gruncie prawnym możliwą”.

Ten pisany ręcznie drukowanymi literami na kancelaryjnym papierze list wręczył mi rok temu podczas mojego ostatniego z nim spotkania w więzieniu Kgosi Mampuru II. Poprosił, bym przekazał go w Warszawie człowiekowi, który od kilku lat bardzo go wspiera.

W słuchawce młody męski głos. Umówiliśmy się na parkingu pod warszawskim biurowcem wielkiej międzynarodowej korporacji, w której pracuje K. Ma trzydzieści pięć lat, krótko ścięte włosy, wypastowane buty i pastelową koszulę.

To on zorganizował kibiców Legii Warszawa i Rakowa Częstochowa i zbiera wśród nich pieniądze dla Walusia. Kwestę prowadzą na stadionach, zebrane pieniądze przekazują Ewie, a ta przez zaprzyjaźnionych ludzi wysyła je prawnikom w Południowej Afryce. Część z nich trafia na więzienne wypiski dla Walusia, dzięki którym może kupić dodatkowe jedzenie lub papierosy. („Bez tego wsparcia bardzo trudno byłoby prowadzić walkę o zwolnienie taty" – mówi córka).

Ale o tym, w jaki sposób organizowana jest zbiórka, K. nie chce rozmawiać.

– To tajemnica i bardzo delikatna sprawa – mówi.

K. pochodzi z małego miasteczka na Podlasiu, gdzie jego ojciec był działaczem „Solidarności". W stanie wojennym został internowany, a po wyjściu z obozu się zradykalizował i działał w podziemiu z „Solidarnością Walczącą". Sam K. komunizmu nie pamięta, ale jest przeciw, bo wszystko mu ojciec powiedział.

Miał dziewięć lat, gdy w telewizorze zobaczył zastrzelonego w Dawn Park Haniego. Ojciec bardzo się tą historią przejął. Dużo mówił o niej w domu. Gdy K. podrósł, sam zaczął się nią interesować. Dużo czytał, bo chciał jak najwięcej wiedzieć i wszystko zrozumieć. Dziś uważa, że Waluś to bohater i należy go bronić.

Trzy lata temu zdobył telefon i zadzwonił do Ewy Waluś. Powiedział, że chce pomóc jej ojcu i uruchomił do tego kibiców. Gdy pojawił się w Radomiu, była niezwykle miła. Zażartowała, że spodziewała się łysego, napakowanego osiłka.

Efekty jego pracy widać dziś na założonym przez niego facebookowym profilu Freedom for Janusz Waluś. Są tam selfie z hashtagiem #FreedomForJanuszWaluś, uśmiechnięci ludzie w koszulkach „Wolność dla Janusza Walusia", polskie stadiony z rozwieszonymi hasłami „Naszym wzorem Janusz Waluś", „Trzymaj się mocno bracie", „Wolność dla Janusza

Walusia”. Są zdjęcia z Polski, Węgier, Czech i Wielkiej Brytanii. Są banery, graffiti, wlepki, artykuły, polemiki, dyskusje.

I tylko jeden napisany przez K. post: „Janusz Waluś chwycił za broń i zdecydował się powstrzymać zło. Dzisiaj, gdy opętani nienawiścią do białych czarni marksiści rządzący RPA doprowadzają do powolnego ludobójstwa potomków założycieli kraju, historia milcząco przyznaje rację Walusiowi”.

K. wie, że czym mniej ideologicznego żaru, tym lepiej dla sprawy. Dlatego usuwa wszystkie rasistowskie komentarze i trzyma się z dala od ONR i NOP, bo ich radykalizm tylko szkodzi sprawie. – Jak się stawia pikietę i krzyczy o dominacji białej rasy, to ciężko kogoś przekonać do siebie – mówi. – Facet zrobił to, co zrobił, odbębnił w więzieniu dwadzieścia sześć lat i chodzi o to, żeby mógł już wrócić do Polski.

Kraków

Pierwsza połowa lat pięćdziesiątych. Małgorzata Grzywińska (teraz Ostaszewska) ma ze cztery lata. Spędza z rodzicami wakacje w Ponicach koło Rabki. Wanda i Krzysztof Grzywińscy wynajmują tam willę na lato. W domu mieszka jeszcze małżeństwo z dwójką synów – niemowlakiem Kubą i trochę starszym od niej Witkiem, z którym się często bawi. Rodzice są w serdecznych stosunkach z poznanym właśnie małżeństwem. Spędzają z nim całe dnie, a wieczorem zasiadają do brydża.

Walusiowie, bo tak się nazywają, mieszkają w drewnianej willi w centrum Zakopanego, do której Małgosia pojedzie na ferie, gdy już pójdzie do szkoły. Teresa, zwana Reną, zajmuje się domem, a Tadeusz jest prywaciarzem. Produkuje czekoladę na działce w Gaju pod Krakowem, gdzie Walusiowie wkrótce postawią swój dom. Grzywińscy są tam częstymi gośćmi, bo obie rodziny bardzo się lubią i często odwiedzają. Z Gaju Małgorzata pamięta piękne, zagraniczne zabawki chłopców, rozwieszone na drzewach zabite ptaki, które miały odstraszać wróble, i to, że Walusiowie są bardzo, bardzo bogaci.

Na obiady i kolacje zjeżdża tam cała krakowska elita. Sędziowie, prokuratorzy, dyrektorzy, rektorzy. (Ostaszewska zapamiętała Kiejstuta Żemaitisa z Akademii Górniczo-Hutniczej i Mieczysława Karasia z Uniwersytetu Jagiellońskiego). Na przyjęciach w Gaju stoły uginają się od jedzenia i zagranicznych alkoholi, które można kupić tylko za dolary w Pewexie.

– Nigdy niczego im nie brakowało, żyli na niewyobrażalnym dla nas poziomie i wszystkie drogi mieli otwarte – opowiada. Pamięta, że Walusiowie jeździli co roku na wakacje do luksusowego Grand Hotelu w Sopocie, gdzie mieli wynajęty na lato apartament – pokój, kuchnię, sypialnię. („Zatrzymywaliśmy się tam z rodzicami w drodze do Juraty"). Ich synowie na szkolne obiady chodzili do Hotelu Francuskiego na Starym Mieście, najlepszego, najelegantszego miejsca w Krakowie, gdzie zatrzymywały się zagraniczne wycieczki.

Rena była życzliwa i hojna, Tadeusz – zaradny i operatywny. W swojej fabryce czekolady zatrudnia Wandę, kupuje jej wartburga, którym mama Małgosi od poniedziałku do soboty rozwozi towar i zbiera zamówienia. W niedzielę Grzywińscy mają samochód do własnej dyspozycji, więc wożą dzieci na wycieczki za miasto. Tadeusz wyciąga też pomocną dłoń do Krzysztofa, gdy traci pracę dyrektora Krakowskiego Zjednoczenia Przedsiębiorstw Handlowych, i zatrudnia go w szlifierni kryształów w Kozienicach. Grzywiński prowadzi firmę aż do czasu wyjazdu Tadeusza z Polski w 1981 roku. – To, że jadą do Południowej Afryki, było trzymane w tajemnicy – wspomina Małgorzata. – Że nie zamierzają wracać, nie było dla nas jasne. Ojciec miał o to żal do Tadeusza, że mimo przyjaźni, która ich łączyła, nic mu nie powiedział i nie rozliczył się z nim za pracę w Kozienicach. I kontakt się urwał. Tylko Rena czasem pisała listy do mamy z Południowej Afryki. Ale po zabójstwie bardzo długo się nie odzywała, a potem napisała, że zrozumie, jeśli przyjaciele się od niej odwrócą, bo przecież urodziła mordercę. Mama jej nigdy nie odpisała. Byli tym wszystkim, co stało się z Kubą, wstrząśnięci. Bardzo to przeżywaliśmy i nie mogliśmy zrozumieć, jak to możliwe, że ktoś, z kim byliśmy tak blisko, mógł dokonać tak strasznej zbrodni.

Że Walusiowie byli w Polsce prześladowani, musieli stąd uciekać, a Kuba ratował świat przed komuną, dowiedzieliśmy się kilka lat później. Przyznam, że wpadłam w osłupienie, czytając te nieprawdopodobne kłamstwa. Byli to bardzo majętni ludzie, skupieni na własnym biznesie i pieniądzach. Umizgiwali się do komuchów, czerpali z życia garściami i nie było tam żadnej ideologii.

Życie Janusza upływało w dostatku. Niczego mu nigdy nie brakowało i nie wiedział nawet, jak żyją w Polsce zwykli ludzie. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek interesował się polityką. Na pewno nie zaznał żadnych od komuny krzywd. Trwonił czas i pieniądze, kupując i rozbijając kolejne samochody.

Tu, w Krakowie jest jeszcze kilka osób, które dobrze pamiętają, jak było.

Pretoria – Kgosi Mampuru II

Najgorzej jest rano. Budzisz się, rozglądasz wokół i uświadamiasz sobie, gdzie jesteś. Jeśli wieczorem zasypiałeś w poczuciu, że był to najgorszy dzień w twoim życiu, to rano już wiesz, że wczoraj to jeszcze nie to.

Kiedy przekraczasz mury więzienia, musisz w sobie stłumić, bo całkiem chyba zabić się tego nie da, tę wielką tęsknotę za wszystkim, co pozostało na zewnątrz. To jest możliwe po dziesięciu, piętnastu latach, ale nigdy nie mija całkowicie. Po prostu – musisz przestać myśleć o ludziach, sprawach, miejscach, które były ci bliskie. Nie możesz oczekiwać od ludzi, że będą się angażować w twoje sprawy. Dla nich jesteś martwy.

Zostaje najbliższa rodzina i prawdziwi przyjaciele.

Musisz zaakceptować, że jesteś tu prawie sam. I ta samotność boli.

Ale gorsze od samotności jest to, że inni kierują twoim życiem. Nikt się z tobą nie liczy i nic od ciebie nie zależy.

Decydują, o której wstajesz, co jesz, z kim się spotykasz, o której idziesz spać. Wybierają ci psychologów i terapeutów. A ty na wszystko się godzisz, bo wiesz, że to jedyna droga do ewentualnego przedterminowego zwolnienia. No i musisz się uodpornić, bo minister, który decyduje o twoim losie, znajdzie na pewno jakiś haczyk,

żeby ci zwolnienia odmówić. Będą kłamać, kręcić, lawirować, bylebyś tylko nie wyszedł z więzienia. Nie możesz się nawet obrazić, bo twój los jest w ich rękach.

Brak wolności jest jak tortura. To ciągły ból, z którym się zmagasz, aż w końcu uczysz się z nim żyć. Bo do wszystkiego człowiek się przyzwyczai. Musisz tylko zaakceptować, że tkwisz w tym gównie po uszy, nie ma dla ciebie ratunku i nie wiadomo, co z tobą zrobią. A potem już tylko popadasz w rutynę. Tu jest twój dom, tu jest twoje życie. I nie możesz mieć marzeń, nie możesz myśleć, że zaraz stąd wyjdziesz, bo to cię zabija.

O ucieczce myślisz tylko na samym początku, a potem już wiesz, że jest za późno i czas już minął. Jeśli nie uciekniesz w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin, to z każdym kolejnym dniem jest coraz trudniej. W moim przypadku były nawet jakieś rozmowy o wsparciu z zewnątrz, ale z maximum security *w Pretorii jest ten problem, że stąd nie da się uciec. Nikomu się to dotąd nie udało. Musiałbym być chyba jakimś Houdinim*[65]*. Ostatecznie zniechęcił mnie mój spowiednik – ojciec W. „Musisz odsiedzieć swój wyrok – powiedział. – I traktuj to jak pokutę".*

Wtedy przestałem myśleć o ucieczce. Szukam innych sposobów. Zostaje tylko droga prawna. Zaczynasz w to święcie wierzyć. Masz tylko nadzieję, że stanie się to szybko, ale niestety, wszystko się strasznie przedłuża. Najpierw jest apelacja, potem czekanie na przesłuchania przed Komisją Prawdy i Pojednania. Jak przychodzi odmowa amnestii, to myślisz, że na pewno się pomylili i zadziała, jak napiszesz odwołanie. Znowu praca z prawnikiem, rok przygotowań, apelacja, odmowa apelacji, odwołanie od odmowy. To wszystko zabiera czas, a ty tu żyjesz. Walczysz. Nie dajesz się stłamsić. Przez ten czas wbija cię w więzienne życie, tracisz werwę i dajesz się zinstytucjonalizować.

Wiele razy się rozczarowałem. W latach dziewięćdziesiątych i potem. Byłem już nawet na kursie dla więźniów korzystających ze zwolnienia warunkowego, ale nic z tego nie wyszło. Pierwszy raz uwierzyłem, że naprawdę będę wolny, trzy lata temu. Miałem sądowy nakaz zwolnienia z więzienia. Miałem wyjść w ciągu dwóch tygodni. Strażnicy mówili, żebym się już pakował. Z komendantem więzienia odbyłem nawet pożegnalną rozmowę. Widziałem otwierającą się przede mną więzienną bramę i już czułem się wolny. I nagle przychodzi ta informacja, że wszystko jest odwołane. „Wyrok sądu jest nieważny – mówią mi. – O twoim losie zdecyduje minister".

Ciężko to znoszę. Trudno się po czymś takim pozbierać, złapać równowagę.

Od tamtej pory podchodzę do sprawy z rezerwą. Wiem, że pewnego dnia stąd wyjdę. Ale kiedy? O tym w ogóle nie myślę. To zostawiam już Opatrzności.

Wolny poczuję się, gdy mój samolot wyląduje w Polsce. Bo za bramą więzienia zawsze mnie mogą zawrócić.

***

Mówią, że powinienem być szczęśliwy, bo karę śmierci zamienili mi na dożywocie. I to ma być dla mnie dobrodziejstwo. Gówno, a nie dobrodziejstwo. Nigdy nie byłem przeciwnikiem kary śmierci, ani przed, ani po wyroku. Bez kary śmierci nie uda się utrzymać porządku w Afryce.

Mnie nikt nie pytał, co wolę. Bo gdyby takie pytanie padło, w ogóle bym się nie zawahał. Wybrałbym śmierć.

Bo wyrok dożywotniego więzienia jest gorszy od śmierci. To tortury psychiczne. To zabijanie człowieka na raty zamiast raz a dobrze. Śmierć to tylko chwila, z którą musisz się zmierzyć tylko raz, a w przypadku dożywocia musisz się ciągle mierzyć z upokorzeniami.

Wiem, co tu przeżyłem przez te wszystkie lata, i mówię ci: śmierć jest karą humanitarną. Człowiekowi skazanemu na śmierć musisz okazać szacunek, a z więźnia można zrobić szmatę.

Pewnie, że mógłbym sam rozwiązać ten problem. Nachodzą mnie czasem takie złe myśli, gdy zdaję sobie sprawę z beznadziejności swojego położenia. Przy życiu trzymają mnie wtedy wiara, miłość do bliskich i naturalny ludzki strach, nie tyle przed śmiercią, ile przed bólem, który jest z tym związany. A najbardziej przed tym, co czeka mnie po drugiej stronie.

Myślę wtedy o bliskich, których nie chciałbym zawieść, i tych młodych ludziach z Polski, którzy piszą do mnie listy. Dla nich jestem bohaterem i wzorem. Mogliby sobie pomyśleć, że nie wytrzymałem presji. Moja śmierć byłaby dla nich wielkim zawodem. Nie chciałbym też dać satysfakcji tym, którzy mnie tu więżą.

Można na moje życie spojrzeć krytycznie: byłem naiwny, wykorzystali mnie, dałem się złapać, wszystko przegrałem. Mógłbym płakać nad sobą i liczyć stracone w więzieniu lata. Ja tak nie myślę.

Za bohatera się nie uważam. Nie chciałem tylko siedzieć z założonymi rękami. Podjąłem się trudnego zadania. Znałem ryzyko niepowodzenia, wiedziałem, co mi

grozi. Nie wycofałem się. Wykonałem zadanie najlepiej, jak potrafiłem. Zrobiłem to, co do mnie należało.

Tutaj, w RPA, tylko moje pokolenie o tym pamięta, ale w Polsce młodzież się tym bardzo interesuje. Może moja postawa zmieni ich sposób myślenia? To dla mnie ważne. Bo trzeba w młodych podsycać patriotyzm, konserwatyzm i zdrowy rozsądek.

***

To nasze ostatnie spotkanie.

Jest niedziela, 3 marca 2019 roku.

Janusz Jakub Waluś spędził za kratami trzysta jedenaście miesięcy, dziewięć tysięcy czterysta pięćdziesiąt osiem dni, dwieście dwadzieścia sześć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dwie godziny. I nikt nie wie, jak jeszcze długo.

Modderfontein/Johannesburg

– Kiedy mówię o moich demonach, myślę o tym, co mnie opętało po śmierci taty. Nie poradziłam sobie z tym. Miałam w sobie dużo bólu, gniewu i nienawiści.

Nienawidziłam go, od kiedy pamiętam. Nienawidziłam za to, że tak bardzo zranił naszą rodzinę. I nie mogłam przestać o nim myśleć. Miałam szesnaście lat, gdy zobaczyłam jego zdjęcie w kolorowym magazynie. Patrzył na mnie z okładki, a ja zastanawiałam się, kim jest ten nieznajomy człowiek, który przyjechał z obcego kraju, żeby zabić mi tatę, i dlaczego to zrobił?

Pierwszy raz pomyślałam wtedy, że chcę się z nim spotkać. Chciałam go poznać, żeby wszystko zrozumieć, a jednocześnie się tego bałam.

To stało się moją obsesją.

Mając trzydzieści sześć lat, przezwyciężyłam moje demony i strach. Przekroczyłam bramę więzienia, żeby spotkać się z człowiekiem, który zabił mojego ojca.

To jak wsadzenie ręki do ognia, którego się bardzo boisz, a jednocześnie wiesz, że jak tego nie zrobisz, to nigdy nie uwolnisz się od tego strachu i będziesz zawsze jego zakładnikiem.

Opowiedział mi wtedy o swoim życiu: ojcu, matce, bracie, miasteczku w górach, gdzie się urodził i wychował, szlifowaniu kryształów i wyścigach samochodowych. O swoim nieudanym małżeństwie, o córce Ewie, która mieszka w Polsce, i wnuczce Marysi, której nigdy nie widział.

Jak dorastał w komunistycznej Polsce, która była strasznym krajem, i jak znienawidził komunizm. Mówił, że komunizm zniszczył Polskę, dlatego uciekł do Afryki. Kiedy zamieszkał u nas, w Południowej Afryce, to pojawił się nagle mój tata, który wrócił z wygnania. Zobaczył wtedy, kim tata jest i o co walczy, i jak sądzę, miał jakąś retrospekcję. Zabił mojego tatę, bo reprezentował wszystko, czego Janusz nienawidził. Tyle się od niego podczas tych spotkań dowiedziałam.

„Zrobiłem to" – powiedział i zaczął mi opowiadać, jak zastrzelił tatę czterema kulami. „Dlaczego nie poprzestałeś na jednej?" – zapytałam.

Odpowiedział, jakby był żołnierzem: „Musiałem ukończyć misję".

Poznałam prawdę. Ale płakać zaczęłam dopiero wtedy, gdy wróciłam do domu.

I dotarło wreszcie do mnie, że taty naprawdę już nie ma i nigdy już do mnie nie wróci.

Zaczęła się moja żałoba. Wyzbyłam się gniewu i nienawiści do niego.

Powiedział, że pierwszy raz pomyślał o krzywdzie, którą nam wyrządził, w 1997 roku, gdy zmarł jego ojciec. Dopiero wtedy zobaczył w moim tacie kogoś więcej niż tylko komunistę. Powiedział, że dostrzegł wtedy w nim cudzego ojca, którego odebrał rodzinie i dzieciom.

A ja pierwszy raz dostrzegłam w nim wtedy człowieka. Zrozumiałam, że nie jest szatanem, którego w nim widziałam przed naszym spotkaniem. Zobaczyłam błyskotliwego, inteligentnego człowieka z poczuciem humoru.

Siedziałam naprzeciwko tego potwora, zabójcy mojego taty, który zniszczył mi i mojej rodzinie życie, przez którego miałam nocne koszmary, i byłam wściekła na siebie, bo zaczynałam myśleć, że być może nie jest takim do końca złym człowiekiem. W niewytłumaczalny dla siebie sposób zaczynałam go lubić, a jednocześnie desperacko pragnęłam go od siebie odepchnąć. Nienawidziłam go za to, co zrobił, a jednocześnie zalewała mnie fala empatii, że w taki godny sposób odpokutowuje w więzieniu krzywdę, którą nam wyrządził.

„Wiesz, Lindi, myślałem, że nigdy cię nie polubię" – powiedział kiedyś z tym swoim twardym, wschodnim akcentem. On też był zaskoczony tym, że polubił córkę Chrisa Haniego.

„Zabawne jest to – odpowiedziałam – że gdybyś poznał mojego ojca, usiadł naprzeciwko niego i porozmawiał z nim, to też byś go polubił".

Pamiętam, jak się tego przestraszył. „Nie. Nie. Nie. Na pewno nie" – gwałtownie zaprzeczył. Czy jest rasistą? Oczywiście. Myślę, że on nadal uważa, że biali są lepsi od czarnych i że powinni żyć osobno. Nie sądzę, by kiedykolwiek mógł się związać z czarną kobietą, choć pewnie spotyka pojedynczych czarnych, których akceptuje.

Pamiętam, jak pół roku później zadzwonił do mnie niespodziewanie złożyć mi życzenia na Boże Narodzenie. „Co on sobie, do cholery, wyobraża?" – pomyślałam ze złością, gdy usłyszałam jego głos w słuchawce.

Wiele godzin spędziłam z moim terapeutą, zanim się pogodziłam, że pozwalam sobie myśleć o nim z sympatią. Więc gdy teraz dzwoni, podnoszę słuchawkę, uśmiecham się do siebie i mówię: „Cześć, Janusz. Jak się masz? Co u ciebie słychać w więzieniu?".

Znajomi pytają, czy to może być przyjaźń. Nie wiem. Nie potrafię tego zdefiniować.

Przyjaciółmi na pewno nie jesteśmy, ale też nie traktuję go już jak wroga. Nie jest to takie proste, żeby powiedzieć, że albo nienawidzisz, albo wybaczasz. To przecież jest bardzo długi proces przechodzenia z nienawiści do wybaczenia.

Na razie przeprosił mnie za to, co zrobił, a ja te przeprosiny przyjęłam.

To nie znaczy, że mu wybaczyłam.

Są chwile, kiedy myślę o nim ze współczuciem. Że najlepszą rzeczą, jaka mogłaby mu się przytrafić, to spędzić ostatnie lata życia z córką i wnuczką w Polsce. Dużo mi o nich opowiadał.

Myślę, że wiele nas łączy. Ja i ona dorastałyśmy bez ojca, a nasze córki bez dziadka. Podobnie cierpimy z powodu tej tragedii. Współczuję Ewie, bo wiem, jak boli, gdy nie ma się przy sobie ojca.

Ale nie mogę zapomnieć, że to on odebrał mi szansę, bym mogła tatę mieć przy sobie. Wszystko bym oddała za te kilka spędzonych z nim chwil.

Dlatego tak trudno mi sobie wyobrazić, że pewnego dnia Janusz będzie wolny.

Nie sądzę, żeby kiedykolwiek moja mama na to pozwoliła. Jeśli będzie to od niej zależało, on nigdy nie opuści więzienia.

Mama nadal cierpi. My też cierpiałyśmy – i Neo, i Nomakhwezi, i ja, bo nigdy nie zapomnimy naszego taty. Nie możemy pozwolić sobie na luksus zapomnienia, bo co roku Afrykanie, którzy tatę wciąż pamiętają i wciąż kochają, nie dają nam o tym zapomnieć.

Teraz, gdy pakuję notes do torby, mówi, że chce się czegoś ode mnie o Polsce dowiedzieć.

– Czy to prawda, że w polskim domu Janusza jest teraz muzeum?

– Nie, skąd taki pomysł?

– Bo słyszałam, że jest dla was bohaterem. Oczywiście ja tego nie potępiam, bo każdy ma prawo do własnej opinii, ale ciekawi mnie, czy on stał się bohaterem tylko dlatego, że zabił mojego tatę?

Wbijam oczy w posadzkę.

– Chciałabym kiedyś przyjechać do Polski i to wszystko zrozumieć – mówi.

Konstancin-Jeziorna, maj 2019

Podziękowania

Nie byłoby tej książki bez dziesiątek osób, które przez ostatnie dwa lata bezinteresownie mnie wspierały i mi pomagały. Bardzo im za wszystko jestem wdzięczny.

Szczególne podziękowania składam Alkowi Korabowi, który zaangażował się w tę książkę z całego serca, podrzucając mi kolejne pomysły i zabiegając o jedno z najważniejszych spotkań – z Lindiwe Hani. To dzięki niemu doszło do skutku.

Nieocenioną pomoc okazał mi Krzysztof Śliwiński – były ambasador Polski w Pretorii w latach 2000–2004, który otworzył mi drzwi ważnych gabinetów. Dzięki niemu dotarłem do osób, które spotykały się z Januszem Walusiem, gdy już przebywał w więzieniu.

Księdzu Kazimierzowi Sowie – za konsultacje teologiczne.

Scotii Gilroy i Martynie Łazarewicz – za tłumaczenia.

Uli i Philowi Jones – za wsparcie językowe i pomoc merytoryczną.

Małgorzacie Weiss, kierowniczce działu nagrań muzycznych i słownych Koszalińskiej Biblioteki Publicznej – za kwerendę.

Adamowi Bodnarowi za kontakty na najwyższym szczeblu.

Wojtkowi Jagielskiemu – za pomoc w zrozumieniu Południowej Afryki.

Grażynie Żok – za logistykę.

Marcinowi Czernowałowi za poświęcony czas i tłumaczenie rzeczywistości.

Ewie za cierpliwość, wsparcie i miłość.

Bibliografia:

Balicki Jan, *Dyskryminacja rasowa. Przeszłość i teraźniejszość*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1896.

Berger Michele, *Chris Hani*, Maskew Miller Longman, Cape Town 1994.

Bębnik Grzegorz, *Ostatnia walka Afrykanerów*, Agencja Reklamowo-Wydawnicza Arte, Biała Podlaska 2004.

Bianke Arnold, *Państwo apartheidu*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1986.

Draga Sonia, *RPA. Kraj niespodzianek*, Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2010.

Gąsowski Andrzej, *RPA*, Wydawnictwo TRIO, Warszawa 2006.

Haape Johannes, *South Africa*, Apa Publications, Singapore 1992.

Hani Lindiwe, Ferguson Melinda, *Being Chris Hani's Daughter*, MF Books Joburg, Johannesburg 2017.

Jagielski Wojciech, *Trębacz z Tembisy. Droga do Mandeli*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2013.

MacMillan Hugh, *Chris Hani*, Jacana Media, Johannesburg 2014.

Mandela Nelson, *Long Walk to Freedom*, Little, Brown and Company, Boston–New York–London 1994.

Mandela Nelson, Langa Mandala, *Dare Not Linger. The Presidential Year*, MacMillan, London 2017.

Nattrass Gail, *A Short History of South Africa*, Jonathan Ball Publisher, Cape Town & Johannesburg 2017.

Noah Trevor, *Nielegalny. Moje dzieciństwo w RPA*, przeł. Ł. Witczak, Wydawnictwo WAB, Warszawa 2016.

Nuttall Tim, *From Apartheid to Democracy. South Africa 1948–1994*, Shuter and Shooter, Randburg 1998.

Smith Andrew, *Andrew Smith's Journal of his Expedition Into the Interior of South Africa 1834–1836*, Publisher for the South Africa Museum, Cape Town 1975.

Smith Janet, Tromp Beauregard, *Hani: A Life Too Short*, Jonathan Ball Publishers, Cape Town 2009.

They Shaped Our Century. The Most Influential South Africans To The Twentieth Century, Human and Roussea, Cape Town–Pretoria–Johannesburg 1999.

Zichlarz Michał, *Zabić Haniego. Historia Janusza Walusia*, Wydawnictwo Replika, Zakrzewo 2013.

Dokumenty:

Instytut Pamięci Narodowej

Akta Paszportowe Janusz Jakub Waluś – IPN Ra PF 35/21101.

Akta Paszportowe Tadeusz Waluś – BUWa-I-541-639/18.

Teczka Personalna TW Jacek – IPN Rz 0090/597.

Odwołanie Clive'a Derby-Lewisa i Janusza Walusia od wyroku sądowego i wyrok z dnia 30 listopada 1994, www.saflii.org/za/cases/ZASCA/1994/189.html.

Stenogramy przesłuchań Clive'a Derby-Lewisa i Janusza Walusia przed Komisją Prawdy i Pojednania, http://www.justice.gov.za/trc/.

Przypisy

[1] *The African National Congress* (Afrykański Kongres Narodowy) – założona w 1912 roku partia polityczna walcząca o równouprawnienie czarnoskórych mieszkańców Południowej Afryki. W okresie apartheidu została zdelegalizowana (1960), a jej przywódcy, w tym Nelson Mandela, aresztowani i skazani na dożywocie (1963). Po masakrze w Sharpeville, w której policja zastrzeliła 69 czarnoskórych demonstrantów, przy ANC powstało zbrojne jej skrzydło Umkhonto we Sizwe (Włócznia Narodu), odpowiedzialne za sabotaż i akcje terrorystyczne. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku partia została zalegalizowana i rządzi nieprzerwanie RPA od czasu pierwszych demokratycznych wyborów w 1994 roku.

[2] W trakcie przesłuchania przed Komisją Prawdy i Pojednania Waluś potwierdził, że Hani upadając, coś krzyczał. „To mógł być krzyk strachu" – powiedział.

[3] L. Hani, M. Ferguson, *Being Chris Hani's Daughter,* MF Book Joburg, Johannesburg 2017.

[4] Zobacz: www.kwa-kwa.pl.

[5] Narodowe Siły Zbrojne – konspiracyjna organizacja, która po zakończeniu drugiej wojny światowej walczyła z Armią Czerwoną, Ludowym Wojskiem Polskim i milicją. Organizacja była oskarżana o antysemityzm, mordowanie Żydów i współpracę z Niemcami.

[6] Bantustany – wyodrębnione z terenu RPA terytoria z dużą autonomią zamieszkiwane przez czarnych. Obdarzone autonomią regiony były rezerwatami poszczególnych grup rasowych. Bantustan QwaQwa na południowy wschód od Pretorii został utworzony w 1969 roku i zamieszkiwany był przez plemię Sotho.

[7] 17 marca 1992 roku odbyło się w RPA referendum, w którym 69 procent głosujących opowiedziało się za zmianą konstytucji, znoszącą system

apartheidu. W referendum mogli brać udział tylko biali obywatele RPA.

[8] A. Donaldson, *Obituary: Clive Derby-Lewis*, https://www.news24.com/Obituaries/obituary-clive-derby-lewis-20161103, dostęp: 24 września 2019.

[9] T. Nuttall i in., *From Apartheid to Democracy. South Africa 1948–1994*, Shutter & Shooter, Pietermaritzburg 1998.

[10] M. Berger, *They Fought for Freedom. Chris Hani*, Cape Town 1994.

[11] Sierżant Mike Holmes zapisuje słowa Walusia w protokole śledztwa.

[12] *Remand for Waluś*, „The Star", 14 kwietnia 1993 roku, s. 1.

[13] N. Mandela, *Long Walk to Freedom*, Little, Brown and Company, Boston, New York, London 1997.

[14] Tamże

[15] *Address by Nelson Mandela on the assassination of Martin Thembisile (Chris) Hani*, za: http://www.mandela.gov.za/mandela_speeches/1993/930410_hani.htm, dostęp: 24 września 2019

[16] *Auf des Messers Schneide*, „Der Spiegel" nr 16/1993, s. 180–181.

[17] N. Mandela, *Long Walk To Freedom*, Little, Brown and Company, Boston, New York, London 1997, s. 111.

[18] Wyrok Sądu Najwyższego RPA.

[19] J. Heard, *„Hani witness: did right thing*, „The Star", 15 kwietnia 1993.

[20] Shell House.

[21] Zeznania Clive'a Derby-Lewisa przed Komisją Prawdy i Pojednania.

[22] C. Derby-Lewis, *The last interview*, https://www.youtube.com/watch?v=PXy35jHQRb4, dostęp: 24 września 2019.

[23] *Hani's Last Journey*, „The Star", 19 kwietnia 1993.

[24] L. Hani, M. Ferguson, *Being...*, dz. cyt.

[25] W. Jagielski, *W cieniu morderstwa*, „Gazeta Wyborcza" nr 90, 17 kwietnia 1993, s. 7.

[26] W. Jagielski, *Ślady prowadzą wyżej*, „Gazeta Wyborcza" nr 91, 19 kwietnia 1993, s. 7.

[27] Amandla – władza, Awethu – dla narodu.

[28] W. Jagielski, *Trębacz z Tembisy. Droga do Mandeli*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2013.

[29] Andries Petrus Treurnicht (1921–1993) – pastor holenderskiego Kościoła reformowanego, wiceminister edukacji, minister do spraw administracji i statystyki. W 1982 roku założył Partię Konserwatywną Południowej Afryki i kierował nią; od 1987 roku była największą partią opozycyjną w parlamencie Południowej Afryki.

[30] T. Younghusband, *All he's ever shot are some beer cans*, „The Sunday Star", 16 kwietnia 1993, s. 2–3.

[31] W. Jagielski, A. Kaniewski, *Nie zabiłem – twierdzi Waluś*, „Gazeta Wyborcza" nr 87, 14 kwietnia 1993, s. 3.

[32] W. Jagielski, *Dola Kuby-Naprawiacza*, „Gazeta Wyborcza" nr 104, 6 maja 1994, s. 8.

[33] L. Hani, M. Ferguson, *Being...*, dz. cyt.

[34] N. Kanhema, *Hanging them won't bring back my dad*, „The Sunday Star", 17 października 1993, s. 15.

[35] J. Carlin, *Witnesses identify 'Hani killer'*, https://www.independent.co.uk/news/world/witnesses-identify-hani-killer-street-scuffles-and-racial-insults-as-trial-starts-of-three-charged-1508727.html, dostęp: 5 października 1993.

[36] J. Carlin, *Hani court told of accused's fanaticism*, https://www.independent.co.uk/news/world/hani-court-told-of-accuseds-

fanaticism-1508915.html, dostęp: 6 października 1993.

[37] Tamże.

[38] P. Thornycroft, *From the Hani trial...*, „Sunday Star", 10 października 1993, s. 26.

[39] J. Carlin, *Two found guilty of murdering ANC chief: Brother pleads for life of Polish immigrant facing death penalty*, https://www.independent.co.uk/news/world/two-found-guilty-of-murdering-anc-chief-brother-pleads-for-life-of-polish-immigrant-facing-death-1510753.html, dostęp: 15 października 1993.

[40] P. Thornycroft, *Some want trapdoors to open more time*, „The Sunday Star", 17 października 1993, s. 15.

[41] W. Jagielski, *Dola Kuby-Naprawiacza...*, dz. cyt.

[42] H. Pustuła, *Śledztwo w sprawie Jagielskiego*, „Gazeta Wyborcza" nr 107, 10 maja 1994, s. 7.

[43] R. Malik, *Moje sumienie jest czyste*, „Rzeczpospolita" nr 103, 5 maja 1994, s. 22.

[44] Ślub Janusza Walusia z Beril Roy ma się odbyć 10 marca 1998 roku. Sprawa budzi jednak wielki niepokój władzy. „Zakłady karne nie są pięciogwiazdkowymi hotelami, a przestępcy zostali zamknięci nie po to, by urządzać sobie przyjęcia i potańcówki" – mówi prasie południowoafrykański komisarz więziennictwa. Na kilkanaście godzin przed wyznaczonym terminem uroczystości komisarz odwołuje pozwolenie na zawieranie przez więźniów związków małżeńskich w celach. Główną pomysłodawczynią zaostrzenia więziennych przepisów jest wdowa Limpho Hani, wówczas szefowa parlamentarnej komisji do spraw więziennictwa – ujawnia południowoafrykańska prasa.

[45] W rzeczywistości kartki na mięso wprowadzono w lutym 1981 roku, a na masło dwa miesiące później. Jajka natomiast nie były reglamentowane.

[46] W. Jagielski, *Wolność za prawdę?*, „Gazeta Wyborcza" nr 282, 4 grudnia 1997, s. 12.

[47] Tamże.

[48] Tamże.

[49] *Raport końcowy Komisji Prawdy i Pojednania, Część 6, sekcja 1, rozdział 4, podrozdział 5. Clive Derby-Lewis i Janusz Waluś: Zabicie Chrisa Haniego*, http://sabctrc.saha.org.za/reports/volume6/section1/chapter4/subsection5.htm, dostęp: 24 września 2019.

[50] L. Hani, M. Ferguson, *Being...*, dz. cyt.

[51] J. Jachowicz, *Ruch apartheidu w Polsce, „Gazeta Wyborcza"*, 19 kwietnia 1993, s. 4.

[52] https://www.news24.com/MyNews24/Chris-Hani-Jesuits-the-Pope-and-Mugabe-20130319, dostęp: 19 marca 2013.

[53] E. Groenink, *Hani: Holes in the evidence*, https://mg.co.za/article/2018-03-23-hani-holes-in-the-evidence, dostęp: 23 marca 2018.

[54] T. Brzozowski, *Zabij Bura*, „W Sieci" nr 15/2016, s. 85–87.

[55] Dwie pierwsze to toczone w latach 1880–1881 i 1889–1902 wojny burskie, w których Afrykanerzy walczyli z Brytyjczykami.

[56] Michał Zichlarz jest dziennikarzem sportowym. W 2010 roku przyjechał do RPA relacjonować piłkarskie mistrzostwa świata. Spotkał się z Walusiem w więzieniu i od tego czasu są w stałym kontakcie telefonicznym. Na swoim blogu (www.afrykagola.pl) opisuje sprawę Janusza Walusia. Zichlarz jest również autorem książki *Zabić Haniego: historia Janusza Walusia* (Wydawnictwo Replika, Zakrzewo 2013).

[57] Afryka Gola, blog Michała Zichlarza,www.afrykagola.pl.

[58] Tamże.

[59] Tamże.

[60] J. Smith, B. Tromp, *Hani: A Life Too Short*, Jonathan Ball Publishers, Cape Town 2009.

[61] V. Keppler, *Derby-Lewis' widow vows to take his deathbed secret to her grave*, https://citizen.co.za/news/south-africa/1335192/derby-lewis-widow-vows-take-deathbed-secret-grave/, dostęp: 4 listopada 2016.

[62] *Andrew Smith's Journal of His Expedition Into The Interior of South Africa 1884–1886*, red. W.F. William, A.A. Balkema for the SA Museum, Cape Town 1975.

[63] *Minister Michael Masutha on decision on the parole application of Janusz Walus*, https://www.gov.za/speeches/minister-michael-masutha-decision-parole-application-janusz-walus-16-jan-2019-0000, dostęp: 16 stycznia 2019.

[64] C. Davies, *Hero's welcome in Poland awaits hitman who killed Mandela's ally*, https://www.theguardian.com/world/2018/nov/11/heros-welcome-janusz-walus-apartheid-hitman-chris-hani-poland, dostęp: 11 listopada 2018.

[65] Pochodzący z Mozambiku seryjny gwałciciel Annanias Mathe jest jedynym więźniem, któremu udało się uciec z oddziału C-Max więzienia w Pretorii. W listopadzie 2006 roku wysmarował się wazeliną i przecisnął przez okno o rozmiarach 60 × 20 cm, po czym spuścił się po sznurze zrobionym z koców i prześcieradeł. Został złapany po dwóch tygodniach.

Spis treści

Dawn Park
Benoni
Dawn Park
Pretoria – Kgosi Mampuru II
Benoni
Qunu/Johannesburg
Pretoria
Dawn Park
Pretoria
Pretoria – Kgosi Mampuru II
Krugersdorp
Dawn Park/Johannesburg
Johannesburg
Pretoria – Kgosi Mampuru II
Radom
Johannesburg
Dawn Park
Johannesburg
Johannesburg
Pretoria – Kgosi Mampuru II
Pretoria

CZĘŚĆ 4

Warszawa
Radom
Pretoria – Kgosi Mampuru II
Johannesburg
Pretoria/Mamelodi
Pretoria – Kgosi Mampuru II
Warszawa

CZĘŚĆ 5